Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 11 (1302) 12 MARCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Tort dla rozbijaczy gigantów

Czytaj str. 2

Kiedy na wsi znów pojawią się nowoczesne wiatraki?

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W końcu stycznia ukazał się na łamach „Odgłosów" reportaż o **Henryku Rynkowskim** — 90-letnim dziś, niedocenionym i prawie zupełnie już zapomnianym konstruktorze siłowni wiatrowych z Głowna. Opowiedziałem w nim o człowieku, który ponad 30 lat swego jakże bogatego i twórczego życia poświęcił wiatrakom — urządzeniom — zdawać by się mogło — należącym do zamkniętego już na zawsze rozdziału techniki. Okazuje się jednak, że idea działania wiatraka — tak przecież prosta — nadal fascynuje ludzi na całym świecie To prawda, że wiatraki, niegdyś liczne i powszechnie stosowane, zniknęły już właściwie z naszego krajobrazu, że w poszukiwaniu nowych, niekonwencjonalnych źródeł energii przywiązuje się do nich być może nie tak duże znaczenie, jak do innych rozwiązań. Ale prawdą jest również, że w wielu, przede wszystkim najbogatszych krajach na prace badawczo-konserwacyjne związane z wykorzystaniem energii wiatru wydaje się z roku na rok coraz więcej pieniędzy, oczekując, iż przyniesie to znaczące efekty. Zwłaszcza w minionym 10-leciu, które rozpoczęło się pod znakiem światowego kryzysu energetycznego, zainteresowanie siłowniami wiatrowymi znacznie wzrosło. Czy jednak tylko kryzys energetyczny był tego powodem?

Jak obliczno, 2 proc. energii słonecznej docierającej do Ziemi zmienia się w energię kinetyczną wiatru, której trzecia część występuje w bezpośrednim sąsiedztwie powierzchni naszej planety — mniej więcej od wysokości 1 km, a więc tam, gdzie możliwe jest zaprzęgnięcie jej do pracy przez człowieka. Gdyby udało się wykorzys-

10

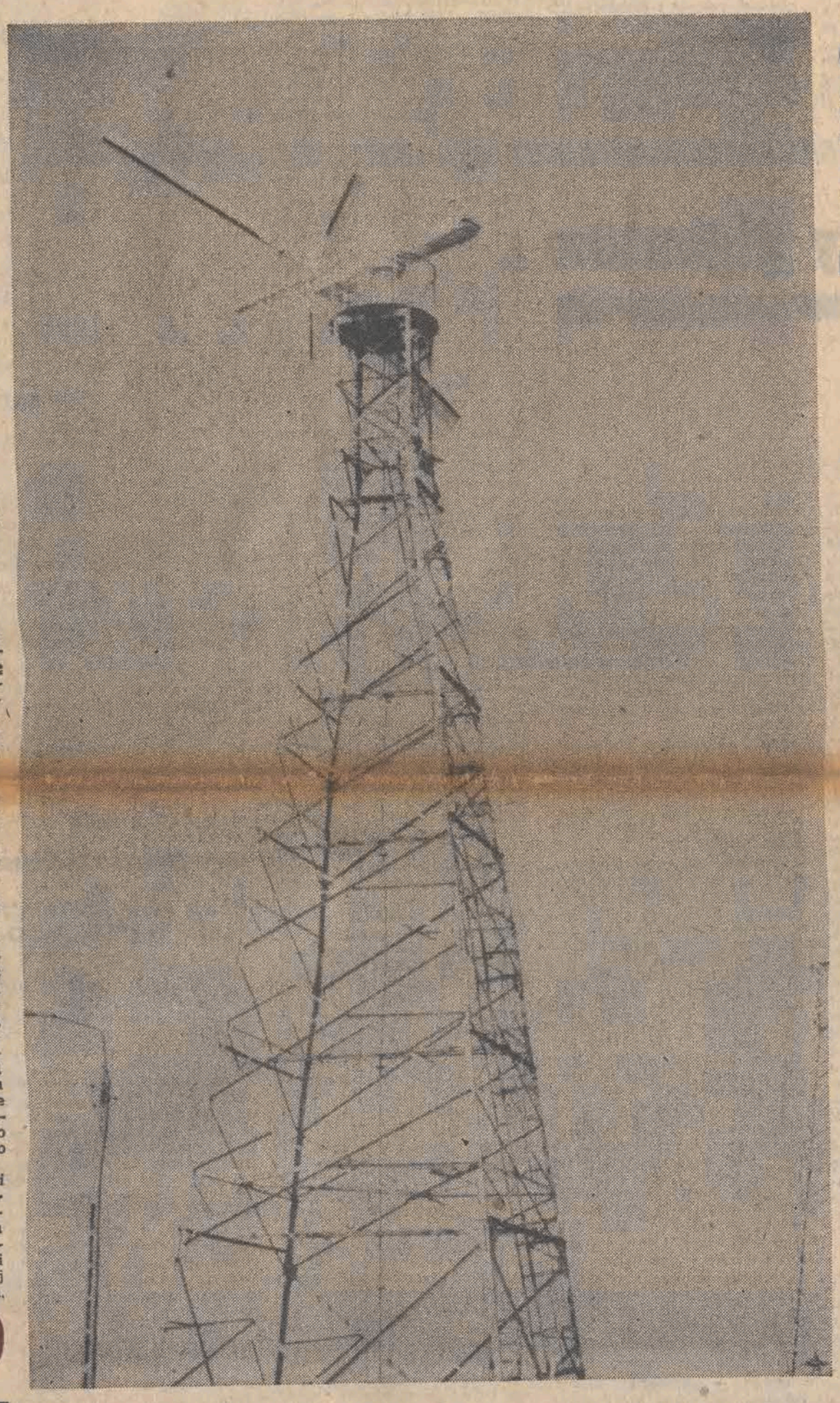

Jak wyjść z kryzysu i nie dopuścić do następnego

Porozumienie jest nam niezbędne, porozumienie co do tego, jak wyjść z kryzysu, jak ma odrodzić się naród, jak odbudować te wartości które decydują o naszej przyszłości? Jest to także cel Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Ale ruch ten dopiero tworzy się. Mimo to zebrało się już wokół niego sporo nieporozumień, zastrzeżeń, a nawet chyba mitów. Żeby zbliżyć tę problematykę Czytelnikom, zaprosiliśmy do redakcji działaczy Tymczasowej Rady PRON w Łodzi: IGORA SIKIRYCKIEGO, WŁODZIMIERZA MAGINA, HENRYKA PAWLAKA, WŁADYSŁAWA RZYMSKIEGO i STANISŁAWA WOJTUNIKA.

Przedstawiliśmy następujące problemy pod dyskusję:

— czy PRON nie zajmuje się zbytnio strukturą, co może grozić sformalizowaniem ruchu.

— czy PRON nie grozi przerost funkcji konkretnych, co może grozić nawet wyręczaniem administracji, a także rodzić przekonanie, że PRON wszystko może ludziom załatwić,

— jaka jest rola partii i stronnictw w PRON,

— czy w PRON mają być członkowie, czy uczestnicy.

Ze strony „Odgłosów" w dyskusji uczestniczyli: JERZY KWIECIŃSKI, KAROL J. STRYJSKI i LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

I. SIKIRYCKI: — Myślę, że w sprawie każdego ze zgłoszonych przez redakcję problemów będziemy się starali odpowiedzieć indywidualnie, albowiem należy wspomnieć, że nas, podobnie jak i cały ruch, który się jeszcze rodzi nie cechuje bynajmniej jednomyślność. I sądzę, że tak być powinno. Zwłaszcza w początkowej fazie naszej działalności.

Pierwsze z postawionych pytań sprowadza się w istocie do krytycznego stwierdzenia, czy my czasami nie za bardzo zaczęliśmy się zajmować sprawami strukturalnymi i jak to się ma do przedsięwzięć programowych. Otóż, na wstępie chciałbym przeciwstawić stwierdzenia tych, co to traktują PRON jako już ukształtowaną instytucję. Po pierwsze — jestem przekonany, że ruch nasz nigdy nie powinien stać się instytucją, ani też nie powinien próbować zastępować czy wyręczać inne instytucje. Po drugie zaś — PRON jest ruchem politycznym, którego struktura jeszcze się kształtuje.

Stoimy u progu naszej działalności, ponieważ PRON dopiero powstaje. Wychodzimy przy tym z założenia, że nie ma takiej ludzkiej sprawy, którą PRON nie powinien się zająć, załatwić, aby innym pomóc. Jednakże mamy przed sobą o wiele szersze zadania, które zostały sprecyzowane w Deklaracji Ideowo-Programowej.

H. PAWLAK: — Nie ma między nami a radami dzielnicowymi czy miejskimi żadnej hierarchicznej zależności czy podległości. Właściwie poza kontaktami personalnymi żadna z tych rad nam, tzn. Tymczasowej Wojewódzkiej Radzie ściśle nie podlega. Natomiast istnieją między nami więzi służące wymianie doświadczeń. Nie ma pionowej struktury od władz krajowych po osiedla czy gminy.

Trwa natomiast w dalszym ciągu dyskusja nad wypracowaniem struktury i form organizacyjnego działania PRON. W dyskusji tej widoczne są dwa nurty, dwa stanowiska. Są tacy, którzy opowiadają się za jasno sprecyzowaną, ujednoliconą strukturą, legitymacjami, itp. Przeciwne stanowisko zajmują ci, którzy widzą PRON jako ruch amorficzny. Myślę, że z tych dwu krańcowych poglądów uda się w najbliższym czasie wypracować jakąś formę pośrednią. My opowiadamy się za minimalnym zakresem struktur i form organizacyjnych, a więc jedynie takim, aby ruch nasz nie był amorficzny.

„ODGŁOSY": — Czyli można już w tym miejscu skonkludować, że o ostatecznym kształcie organizacyjnym i strukturze PRON winna zdecydować opinia społeczna, i że struktura ta winna z jednej strony odpowiadać ludziom w ruchu działającym, a z drugiej strony — gwarantować osiągnięcie celów PRON.

I. SIKIRYCKI: — Z całą pewnością. Ale warto przypomnieć, że bazę naszego ruchu stanowią także OKON-y, które są podstawowymi jego komórkami. Stąd mówi się o tym, aby połowę uczestników przyszłego kongresu PRON wyłaniały terenowe ogniwa ruchu.

W. RZYMSKI: — Wydaje się, że niewłaściwym jest pytanie o to, co to jest PRON? Dziś można jedynie pytać o to, czym powinien być PRON, jakie powinno być jego miejsce w życiu społecznym i jakimi sposobami do tego dojść? Zasadnicze zręby programowe, ale jedynie zręby znajdujemy w deklaracji PZPR, ZSL i SD oraz stowarzyszeń katolickich z 20 lipca 1982 roku. Deklaracja ta była jakby syntezą tego, co w kwestii budowy porozumienia narodowego działo się od jesieni 1981 roku. W momencie zmiany warunków politycznych w kraju zaistniała potrzeba poszukiwania nowej formuły skupienia społeczeństwa wokół spraw kraju i dla danej regionalnej społeczności najważniejszych. To jest to, co dotąd w naszej rozmowie nazywamy strukturą.

Jeśliby natomiast chcieć sprecyzować cele programowe, które w ten czy inny sposób zorganizowany nasz ruch miałyby wypełnić, to ja w pierwszym rzędzie wymieniłbym trzy. Po pierwsze — widzę PRON jako instytucjonalną formę dialogu i porozumiewania się w sprawach dla danej społeczności i dla całego kraju najważniejszych. Po drugie — widzę PRON jako instytucjonalną formę działania na rzecz przezwyciężania kryzysu politycznego, społecznego, gospodarcze-

3

Czy koniec kryzysu energetycznego?

HENRYK SROCZYŃSKI

Jeszcze kilka lat temu w prognozach przewidywano, że w połowie obecnego dziesięciolecia cena ropy za baryłkę (159 litrów) osiągnie... 80 dolarów. Tymczasem świat zaskakują zupełnie odwrotne tendencje — cena ropy wciąż spada. W niektórych krajach można ją otrzymać po 28-29 dolarów za baryłkę, a jak twierdzą optymiści, jeszcze w tym roku może spaść nawet do 25 dolarów.

Co się stało, że świat znalazł się w zupełnie nowej sytuacji, jeśli chodzi o ropę naftową? I czy rzeczywiście jest to „odprężenie cenowe" na dłuższą metę? Takie pytania łatwo jest stawiać, trudno natomiast dać na nie odpowiedź. Ale nie sposób nie rozważać tej kwestii w różnych jej aspektach. Sprawa dotyczy bowiem istotnego problemu kosztów produkcji towarów, a zatem i stopy życiowej, celowości wielu decyzji inwestycyjnych, zaś dla krajów najbiedniejszych ma wręcz żywotne znaczenie.

CO SIĘ STAŁO?

Szok, jaki nastąpił w początkach kryzysu energetycznego spowodował, że wszystkie państwa patrzyły na OPEC z uczuciem lęku. Cena baryłki ropy rosła w zastraszającym tempie, a perspektywy dla gospodarki światowej wprowadzały niektórych w histerię. Wnet jednak, a był to już rok 1976, zapotrzebowanie na ropę i jej ceny ustabilizowały się — gospodarka światowa mogła więc złapać oddech.

Po raz drugi kryzys osiągnął swe apogeum w 1979 r., gdy Iran ogarnięty rewolucją, poważnie zmniejszył dostawy ropy. Ceny znów skoczyły w górę, ale nastrój w kołach przemysłowych i finansowych Zachodu nie był już tak ponury. W trakcie realizacji znajdowały się bowiem plany i programy oszczędność ropy, przechodzenia na inne nośniki energii i przede wszystkim wielkich inwestycji mających wzbogacić własne źródła dostaw energii. Co jednak stanowiło największą pociechę dla Zachodu? Okazało się, że mimo niejednokrotnych podwyżek ceny ropy, można, poprzez podnoszenie cen towarów przemysłowych i żywnościowych importowanych przez kraje OPEC, zrekompensować sobie straty z tytułu kosztu energii. Ba, wyszło też na jaw, że wskutek spadku wartości dolara, ceny ropy faktycznie były w 1979 r. o 17 proc. niższe niż w 1974 r.

Dzisiaj wydobycie ropy, wskutek zmniejszającego się popytu, spada do najniższego od 1973 r. poziomu. Arabia Saudyjska, która dostarcza już ponad 10 milionów baryłek ropy dziennie, produkuje jej obecnie niewiele ponad 4 miliony.

Twierdzą niektórzy, że wpływa na to wyjątkowo ciepła zima w Europie, we wschodnich stanach USA

6

Tort dla rozbijaczy gigantów

Bardzo przepraszam, zaraz zacznę kogoś niszczyć, tymczasem jednak zaryzykuję bluźnierstwo, iż w ostatnim dziesięcioleciu Widzew zrobił dla Łodzi więcej, niż jakikolwiek myśliciel, alpinista czy śpiewnk operowy. Gdyby „Mazowsze" miało swoją siedzibę w jakimś okazałym Domu Kultury przy Piotrkowskiej, powiedziałbym nawet, że Widzew więcej zrobił dla miasta, niż ten znakomity skądinąd zespół, „Mazowsze" bowiem wyśpiewuje od lat te same, zdarte już trochę szlagiery, Widzew natomiast gra w każdym sezonie na szerokim, międzynarodowym forum kilka szlagierów nowych.

Tuszę (wspaniała staropolszczyzna!), iż nikt nie posądzi mnie w tym momencie o niechęć do muzyki, tym bardziej, że kiedyś związany byłem profesjonalnie z tą piękną dziedziną sztuki — kto nie wierzy, niech przeczyta w lutowej „Polityce" paszkwil Ryszarda Marka Grońskiego (zaraz zacznę faceta niszczyć), gdzie zostałem przedstawiony czytelnikom jako jazzman o jazzowatym szczęściu.

Wedle kanonów rzetelnego dziennikarstwa, nakazujących udowodnić bez zwłoki, zdanie po zdaniu, każde zawarte w tekście twierdzenie, wyłożę teraz, czego ten nasz ukochany Widzew dokonał. Otóż dokonał tego, iż w środę, około godziny trzeciej, wracając na piechotę z redakcji do domu drogą, która biegnie skrajem parku, a potem zahacza o bramy Łódzkiego Klubu Sportowego, dostałem się nagle, co można było w końcu przewidzieć, w niebywały kocioł samochodów wycieczkowych i regularnych autokarów „Orbisu", które parkowały rzędem, jeden obok drugiego, od dworca kolejowego aż po kościół Matki Boskiej Zwycięskiej i na szerokich przestrzeniach Alei Włókniarzy. To, że koła wspaniałych pojazdów wrzynały się bezlitośnie w grząskie trawniki, dodając i tak dość brzydkiej dzielnicy nowych okaleczeń i blizn, nie miało tego wieczoru większego znaczenia; podobnie zresztą czcigodny obywatel, gorący wszelako miłośnik Widzewa, mógł przymknąć oko na zachowanie się niektórych smarkaczy, pijanych, wrzaskliwych, zaczepnych, sprzyjających w swoim kretyńskim mniemaniu ukochanej drużynie poprzez wyśpiewywanie takich między innymi zwrotek:

Aleluja, aleluja

Widzew wygra, nie ma ch...!

Były to jednakże epizody. Większość kibiców znalazła się godnie, pałki milicyjne pozostały u pasa. I oto, będąc z urodzenia warszawiakiem, poczułem nagle w sercu miłe, łódzkie, szowinistyczne ciepło, jako że na mecz Widzewa zjechała się dosłownie cała Polska.

Udowodnić? Ano, udowodnię! Zacząłem po prostu śledzić z uwagą numery rejestracyjne mijanych autokarów. To, że ściągnęły wycieczki z Częstochowy, Radomia, Skierniewic i Zamościa, nie przewróciło mi jeszcze w głowie. Obecność emisariuszy wielkich i sędziwych miast, takich na przykład jak Kraków, Poznań, Wrocław, Opole czy Gdańsk, również wydawała się sprawą oczywistą. Skoro jednak zanotowałem, iż Widzew przyjechały także dopingować liczne grupy warszawiaków i ślązaków, co to uznawały do niedawna tylko swoje ubóstwiane Legie, Ruchy i Górniki, no!.. to już był doprawdy szok, wydarzenie bez precedensu, nieufni jednicy uznali wreszcie piłkarskiego króla i pokłonili mu się czapkami do ziemi na rubieżach robotniczego miasta.

Pamiętam moment, kiedy przed laty Widzew wkraczał do pierwszej ligi pod batutą Leszka Jezierskiego. Chryste, cóż to była za nędza i ileż w tym było pięknego, niekłamanego wzruszenia! Te koszuliny piłkarskie, szyte po nocach przez pracowite widzewskie tkaczki, te transparenty o koślawych literach, przygotowywane przez robotników na marginesach wolnego czasu, to boisko o nierównej nawierzchni i zmurszałych ze starości, drewnianych trybunach, gdzie strach było zapalić papierosa, żeby przypadkiem nie wzniecić pożaru, od którego mogłaby się przecież zająć nie mniej stara, drewniana hala sportowa i przycupnięte do niej, kunitzerowskie domki.

Gdyby ktoś wówczas powiedział, że nie Bałuty, nie Chojny, tylko Widzew właśnie zostanie niebawem najpopularniejszą dzielnicą Łodzi, i to dzięki piłce nożnej, a nie doskonałym wyrobom włókienniczym, zostałby wyszydzony, jeszcze bardziej zapewne, niż ja przez pana Grońskiego (zaraz facetowi przyłożę). E, pograją jeden sezon i wylecą! O żadnych mistrzostwach i wicemistrzostwach nikt nie marzył.

Przyszły jednak te zaszczyty: mistrzostwa, wicemistrzostwa, wyjazdy zagraniczne, recenzje i zdjęcia w prasie światowej, a w prasie łódzkiej, zakochanej mimo wszystko w Rycerzach Wiosny, sprawiedliwy podział łask dziennikarskich: tyle dla ŁKS co dla Widzewa, przy czym dużo czasu minęło, nim ten ostatni zajął uprzywilejowane miejsce na kolumnach sportowych.

Ano, z chłopa król, mieszczanin szlachcicem. Nędzarz, który zawsze walczył na krajowych i obcych boiskach z ogromną godnością, a mam tu na myśli godność piłkarską: ani cienia strachu, ząb za ząb, oko za oko, nie zlekceważysz mnie, frajerze, jednym słowem: żadnej czołobitności, którą wobec sławnych przeciwników objawiali często piłkarze warszawscy i śląscy, broniąc się na zgliszczach twierdzy z przesadną troską, albo wyciągając rękę do jakiegoś angielskiego czy holenderskiego obwiesia, który przed chwilą kopnął ich w kostkę, otóż nędzarz ten przestał być nagle nędzarzem, pewnie dlatego, że miał wielkie serce i mądrych, nie zdeprawowanych działaczy, którzy bardziej dbali o drużynę niż o swoje synekury — wybudowali nowy stadion, niewielki, lecz rasowy, bez bieżni lekkoatletycznej, wskutek czego (precedens w Polsce, lecz reguła w światowym biznesie piłkarskim) rozsierdzony kibic zawisł przeciwnikowi nad głową; no i postarali się o paru nowych zawodników. Niedużo kupowali, oj, niedużo! Ławka rezerwowych była straszliwie krótka, okazało się jednak, że pozyskani piłkarze nie mają nóg, tylko kule, i że te kule są ze złota, i jak dwie pary tych kul powędrowały do Włoch, Widzew był już tak dobry i zasobny, że gdyby w Polsce nie tępiono cen umownych i handlu żywym towarem, prezes Ludwik Sobolewski mógłby wrzasnąć: — W dwuszeregu zbiórka! — i miałby momentalnie przed sobą trzydziestu najlepszych krajowych piłkarzy, przywiązanych skądinąd całym sercem do swoich macierzystych, śląskich, warszawskich i krakowskich barw.

Dobra, czas na jakiś reportażowy wtręt (nim zacznę tego faceta niszczyć), aby się komuś przypadkiem nie wydało, że straciłem na wigorze. Wataha kibiców zaatakowała dwóch skromnie ubranych synów Albionu, podejrzewając, że nie są to wcale przybysze z Wysp, tylko szprechający po angielsku rodacy. Podszedłem i mówię:

— *Dajcie im spokój!*

— *To co się zgrywają?*

— *Nie zgrywają się. Są Anglikami.*

Moja szlachetna interwencja sprawiła, że zwróciłem na siebie uwagę innego, skromnie ubranego Brytyjczyka.

— *Jest tu jakaś restauracja?* — zapytał.

Jeśli ktoś zacznie wam wmawiać, że są trudne pytania, nie wierzcie mu, albowiem trudne bywają tylko odpowiedzi.

— *Nie ma.*

— *A kawiarnia?*

Wskazałem mu drogę do pobliskiej „Karolinki" nie wiedząc, że tego dnia, ajent zrobił sobie ze środy wolną sobotę. Jakkolwiek nie miałem jeszcze w tym momencie zamiaru pisać o meczu, ani też oglądać go na żywo, bo i jak? Sprawozdawcy sportowi, których spotkałem wcześniej w Klubie Dziennikarza, nie zaproponowali mi biletu, pewnie dlatego, że przyjechało z Warszawy paru fachowców i mogłoby dojść między nami do zwarcia — zagadnąłem z rozpędu o rezultat.

— *2:1* — rzekł Anglik.

— *Dla kogo?*

— *Dla nas.*

Był uprzejmy, ale nie przejawiał chęci do rozmowy, stanąłem więc u bram stadionu w oczekiwaniu na zastęp kibiców angielskich, z którymi mógłbym przeprowadzić wywiady. Zazwyczaj przyjeżdżali na pucharowe pojedynki z Widzewem tysiącami, dęli w trąby, wymachiwali flagami, ciągnęli gorzałę, że aż miło było popatrzeć, tym razem jednak odpuścili mecz, podobnie zresztą jak brytyjska telewizja, wychodząc pewnie z założenia, że nie czekają ich żadne nadzwyczajne atrakcje.

Mieli nosa. Fotoreporter, który obserwował spotkanie, powiedział mi, że w ciągu dziewięćdziesięciu minut walki twarze nielicznych angielskich kibiców i licznych angielskich dziennikarzy rozjaśniły się tylko raz — wtedy akurat, kiedy na boisko wtargnęły rozwydrzone zgraje chuliganów, a zomowcy sięgnęli po swoje kingsajzy, czyli pałki w wymiarze powiększonym. Na co liczyli brytyjscy kibice i dziennikarze? Na to, że sędzia przerwie mecz.

Nie przerwał i Rozbijacze Gigantów (przydomek, który zafundowali kiedyś Widzewiakom wyspiarze) dokończyli dzieła, znosząc z boiska ten tłusty, pełen smakowitych komponentów tort.

Zgasiłem telewizor i wybiegłem z domu. Pięćdziesięciotysięczny tłum opuszczał bramy stadionu. Nieważne: warszawiak czy poznaniak, cieszyli się wszyscy, bo wygrała Polska. Być mistrzem kraju, to żaden zaszczyt, jeśli wraca się z zagranicznych wojaży ze zwieszonym łbem i workiem goli na plecach. Ale być takim mistrzem jak Widzew! Ho, ho! Należy się tylko modlić, aby nie wyręczył go ktoś w ligowych zaszczytach.

Są ludzie, którzy twierdzą, że Widzew z pewnością przeskoczy angielską przeszkodę. A jeśli nie? Jeśli przegra trzy, cztery, nawet pięć do zera? Osobiście, będę smutny, lecz tym normalnym smutkiem, bez domieszki wstydu. Pierwszy, zwycięski mecz i tak nie pozwoli mówić o pogromie.

A teraz przepraszam wszystkich działaczy, trenerów i wspaniałych widzewskich piłkarzy, że na marginesie ich wielkiego sukcesu zajmę się swoją prywatną, małą sprawą.

Otóż — Ryszard Marek Groński, człowiek, który pisze od niedawna w Polityce. Zaczynał na ostatniej, uprzywilejowanej stronie, po czym przeniesiony został do fusów, plusów i psikusów. Jak Boga kocham, że zostawiłbym faceta w spokoju, gdyby nie fakt, iż niektórzy czytelnicy interpretują jego tekst opacznie: nie jako paszkwil na Andrzeja Makowieckiego, autora książki o Piłkarskich Mistrzostwach Świata, lecz jako kryptopanegiryk i reklamę owego dzieła, za którą musiałem zapłacić mu w walucie wrażej.

Jest to fałsz. Nie zapłaciłem ani centa. Nie znam w ogóle gościa osobiście, aczkolwiek raz na trzy lata, spotykając się tu i ówdzie, wymieniamy kurtuazyjne, okraszone obustronnym uśmiechem ukłony, z tym, że on robi to ładniej, tak jakoś miękko, ciepło, kołysząc się w biodrach z niewieścim bez mała wdziękiem — odnosisz wrażenie, że zaczytał się w młodości na śmierć we wczesnej powieści Krystyna Wanda „Don Pedro zna drogę".

Nie dociekam, kto go poduszczył: sportowcy czy fachowcy, tak czy siak atak jest perfidny, tylko pozornie skierowany we mnie, bo chodzi tu jednocześnie o Wydział Zagraniczny ZG RSW „Prasa—Książka—Ruch" i Krajową Agencję Wydawniczą. Walcząc z panią Ireną Dziedzic Groński sięga po wytworną szpadę z rekojeścią nakrapianą perłami, przeciwko mnie natomiast wyciąga maczugę. Ponieważ jestem biegły w obu tych rodzajach broni, a on zaczął, bez skrupułów odbiję mu te ping-pongową czy raczej futbolową pecynę w podobny sposób.

Nawet niewyrobiony czytelnik przyzna, że paszkwil Grońskiego jest słaby i jeśli można go w ogóle strawić, to chyba dzięki cytatom. Sponiewierani autorzy „uderzają zazwyczaj w ton boleściwy i jęczący: — Jak tak można? Powyciągał zdania z kontekstu, poprzerabiał akapity?! — Co do mnie, nie mam takich zastrzeżeń, pełen głębokiego przekonania, że nawet te najgorsze, wypreparowane z mojej książki dialogi i wątki wciąż są jeszcze o niebo lepsze, niż koślawy komentarz wierszoklety. Ukradł tytuł, podtytuł, przepisał parę stron wyręczając się moim dowcipem i jeszcze drań wziął za to pieniądze.

No, ale u Marka Grońskiego jest to proceder powszedni. Kiedy mieszkał w Łodzi, tworzył spółkę autorską z Ryszardem Wierzbowskim, moim uniwersyteckim wykładowcą. Marek Groński i Ryszard Wierzbowski, czyli Ryszard Marek, satyryczni ekscentrycy. Jeden ich utwór, to nawet pamiętam do dzisiaj: — Te, Lala, bucik ci się rozwala! — Rozwalił się jednak nie bucik, lecz spółka, Groński wyjechał do Warszawy, zabierając swojemu najbliższemu przyjacielowi imię wraz z połową dorobku. Jeśli komuś się wydaje, że jest w tym cień przesady, niech porozmawia z łódzką filologią.

Przepełniony serdeczną miłością bliźniego i nadzieją, iż dobiegający pięćdziesiątki humorysta zdoła jeszcze osiągnąć przyzwoity poziom, wytknę mu teraz kilka błędów formalnych (widzisz, facecie, czegoś sobie narobił? I nie łudź się, że „Odgłosów" nie czytują w Warszawie).

Zatem: felietonistyka Grońskiego, jeśli można to w ogóle nazwać felietonistyką, jest skażona głęboką manierą. Z atakowanych tekstów autor nie wybiera myśli, tylko słowa, i to jedynie te słowa, które są adekwatne do jego rymotwórczych zdolności i intelektualnych skojarzeń. Pięć — sześć takich przaśnych słów wystarczy, aby rozsnuć na nich paszkwilancką pajęczynę, z tym, że trzeba je błyskotliwie skomentować. Jeśli, jak w moim wypadku, jest jazzman, to musi być zaraz jazzowate szczęście, jeśli jest najlepszy piłkarz wszechczasów, to musi być zaraz najlepszy reporter wszechczasów, jeśli jest cukierek do ssania, to musi być do ssania pierś (ciekawe, swoją drogą, co najchętniej ssie pan Mareczek?), jeśli są morowi chłopcy, to musi być (i chyba jest) morowe powietrze, a jeśli jest Wawrzak, to musi być „Linia", chwyt tandetny, używany przeciwko „hearstowi" łódzkiego KAW zbyt często, aby mógł zrobić wrażenie: moje zdanie o cierpiącej na permanentną obstrukcję wdowie też zdążyło zacytować przed Grońskim kilkanaście gazet i tygodników.

Nawiasem mówiąc, dam sobie uciąć ostatnią, prawą rękę, jeśli giętka linia Grońskiego nie jest brzydsza od uczciwej choć sztywnej linii Wawrzaka. No bo patrzcie: kiedyś współpracownik „Trybuny Ludu" (wierszyk o natarczywym telefonie), redaktor „Karuzeli" i „Szpilek"; w pierwszej fazie odnowy — autor najlepszego warszawskiego kabaretu a w drugiej — najlepszego polskiego tygodnika.

I jeszcze jedno: kiepsko pointuje pan swój felieton, panie Groński. Ostatnie zdanie brzmi: „Talentów nigdy dosyć". Okropny banał. Gdybym ja napisał, że pan Groński został przeniesiony do fusów, plusów i psikusów, i dodał nieopatrznie: „właściwy człowiek na właściwym miejscu", popełniłbym taki sam banał. Ale ja takich banałów nie popełniam.

Talentów nigdy dosyć. To prawda. Ale pan szczególnego talentu nie przejawia. Talent pointuje krótko i celnie. Z wierszykiem.

Ukłony.

Trębacz zapomniany, pisarz ubogi, reporter zdradziecki

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
Prezes

ul. Bagatela 14
00—950 Warszawa
dnia 23.II.1983 r.

Do
Zespołu Redakcyjnego
Tygodnika „Odgłosy"
Łódź

Z okazji jubileuszu 25-lecia tygodnika „ODGŁOSY" składam Zespołowi Redakcyjnemu oraz wszystkim Współpracownikom Pisma — w imieniu Zarządu Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch" najserdeczniejsze życzenia.

Życzę satysfakcji twórczej w redagowaniu Waszego pisma oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

ZDZISŁAW ANDRUSZKIEWICZ

* * *

Podsekretarz Stanu przy RADZIE MINISTRÓW
RZECZNIK PRASOWY RZĄDU

Warszawa, dnia 24 lutego 1983 r.
Zespół i Redaktor Naczelny
tygodnika „ODGŁOSY"

Przyjmijcie Koledzy z okazji ćwierćwiecza gratulacje i najlepsze życzenia od rzecznika prasowego rządu, a też Łodzianina i sympatyka Waszego pisma.

JERZY URBAN

* * *

Redakcja „Odgłosów"
Naczelny Redaktor
Lucjusz Włodkowski

Z okazji 25-lecia „Odgłosów" serdeczne życzenia sukcesów w dziedzinie publicystyki kulturalnej i społecznej przesyła

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI

* * *

Pan
Lucjusz WŁODKOWSKI
Redaktor Naczelny
„ODGŁOSÓW"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
proszę przyjąć z okazji „srebrnego" jubileuszu Pańskiego pisma najserdeczniejsze życzenia wszelakiej pomyślności dziennikarskiej, sukcesów publicystycznych i artystycznych, i miłości czytelników, i autorów.

Pozwalam sobie życzyć Panu i całemu Zespołowi „Odgłosów" pomyślności w życiu prywatnym i satysfakcji z redagowania tego wielce sympatycznego „Jubilata"!

Wierząc, że „Odgłosy" nadal będą przemawiać pełnym głosem, wznoszę toast — sto lat!

Z sympatią i szacunkiem

ANDRZEJ CEZARY SAWCZENKO

Łódź, dnia 2 marca 1983 roku.

RADA MINISTRÓW UCHWALIŁA PROJEKT PLANU TRZYLETNIEGO

W bm. Rada Ministrów uchwaliła projekt Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego na lata 1983—1985. W obradach Rady Ministrów uczestniczył prof. Czesław Bobrowski, przewodniczący Konsultacyjnej Rady Gospodarczej. Rada Ministrów omówiła również projekty rządowych programów: antyinflacyjnego oraz oszczędnościowego.

Jak podkreślono w toku debaty, sytuacja gospodarcza kraju jest nadal niezwykle trudną, chociaż pod koniec ubiegłego roku oraz w styczniu i lutym br. wystąpiły pierwsze oznaki wychodzenia z kryzysu gospodarczego.

Podstawowym celem opracowanego przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów i uchwalonego przez rząd projektu NPSG na lata 1983—1985 jest utrwalenie zarysowujących się trendów rozwojowych gospodarki, zwłaszcza zwiększenia produkcji materiałowej i dochodu narodowego. Według przyjętych założeń, wysiłek całego kraju — wszystkich ludzi pracy — powinien skupiać się na zapewnieniu wyżywienia narodu, zwiększaniu budownictwa mieszkaniowego, poprawie zaopatrzenia ludności w niezbędne dla codziennego użytku towary oraz ochronie przed skutkami kryzysu grup ludności znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji.

WYBORY W RFN

W niedzielnych, przedterminowych wyborach do parlamentu federalnego RFN — Bundestagu sukces odniosły prawicowe stronnictwa chadeckie — CDU i CSU oraz sprzymierzona z nimi partia wolnych demokratów — FDP. Chadecja i FDP utworzyły w październiku ub. r. centroprawicowy rząd koalicyjny, który zastąpił gabinet socjaldemokratycznego kanclerza, H. Schmidta.

Na stronnictwa chadeckie CDU/CSU głosowało 48—50 proc. wyborców i zdobyły one 260 mandatów w Bundestagu. Oznacza to, że chadecja zdobyła absolutną większość w parlamencie. Na wolnych demokratów FDP głosowało ok. 7 proc. wyborców. Socjaldemokratyczna SPD uzyskała około 40 proc. głosów i straciła ok. 18 mandatów. Do Bundestagu weszła także nowa partia tzw. zielonych, która przekroczyła określone w ordynacji wyborczej minimum 5 proc. głosów.

W numerach następnych:

- **Historia widzewskiej drużyny**
- **Seks po amerykańsku**
- **Solon nie wymyślił najstarszego zawodu świata**
- **Mglisty dzień w Trójmieście**
- **Reformy po polsku...**
- **Czarodziejska moc ołówka**

Jak wyjść z kryzysu i nie dopuścić do następnego

Dokończenie ze strony 1

go i moralnego oraz w celu zapobiegania w przyszłości jego nawrotowi. Wreszcie trzecią płaszczyzną programową naszego ruchu winna być działalność na rzecz upodmiotowienia obywateli, czyli czuwanie nad stałym postępem demokratyzacji naszego życia społecznego.

Z tych generalnych celów i zasad wynika, że PRON pragnie uczestniczyć we wszystkim, co się w określonej społeczności dzieje. Stąd jego struktura i zasady organizacyjne winny gwarantować możliwość spełnienia tych celów. Ponadto struktura PRON winna być zbieżna z obecną strukturą administracyjną.

Ogniwa OKON grupowały ludzi na stosunkowo małym obszarze: osiedla, miasta. Nowe doświadczenia i potrzeby zrodziły zasadność powołania rad dzielnicowych i wojewódzkich w kraju.

„ODGŁOSY": — Uważamy, iż pytanie o strukturę nie było bezzasadne. Czytelnik czy słuchacz, kiedy dowiaduje się o Tymczasowej Radzie Krajowej, o radach wojewódzkich, dzielnicowych, gminnych, i na końcu o tym, że PRON powstał w jakimś zakładzie, dzieli się z nami uwagą: o znowu tworzą struktury.

W. RZYMSKI: — Ale elementy struktury PRON noszą jak dotąd określenie „tymczasowe". Dopiero kongres zadecyduje ostatecznie, w jakich ramach organizacyjnych ruch nasz będzie się rozwijał.

S. WOJTUNIK: — Nie powinniśmy ani na chwilę zapominać o warunkach, w jakich ruch nasz się zrodził. Te warunki określiłbym jako kryzys instytucjonalizmu. Dlatego też nie powinniśmy się wyzbyć troski o to, aby i nasz ruch nie za bardzo się zinstytucjonalizował. To są moje wewnętrzne, osobiste obawy. Uważam, że szansą powodzenia naszego ruchu będzie i to, jaki będzie stosunek stworzonych instytucji czy struktur do ruchu. Nasze działania powiodą się tylko wówczas, jeśli struktury PRON będą spełniały autentycznie służebną rolę wobec ruchu.

Głównym celem PRON jest budowanie porozumienia narodowego. Uzyskać je możemy w drodze kompromisu społecznego. Jednakże obowiązkiem przedstawicieli sygnatariuszy tego ruchu jest dbać o nienaruszalność pewnych pryncypiów, a także o to, aby nie przekraczać granic kompromisu, określonych zasadami ustrojowymi. Osiągnięcie tego celu będzie możliwe jedynie w warunkach powszechności naszego ruchu i jego służebności względem społeczeństwa.

H. PAWLAK: — Słowo „kompromis" sugeruje, że są różnice poglądów między poszczególnymi sygnatariuszami.

S. WOJTUNIK: — Nie w tym znaczeniu mówiłem o kompromisie. Chodziło mi o jego powszechniejsze, ogólnospołeczne znaczenie.

H. PAWLAK: — Dlatego warto powiedzieć, że sygnatariusze PRON dbają o zachowanie tożsamości własnych partii i organizacji, o to, aby zachować autentyczność działania wobec własnych programów i środowisk. W ramach PRON zaś poszukujemy punktów stycznych, tego co może być dla nas wspólne. Wszyscy partnerzy PRON generalnie akceptują zasady ustrojowe naszego kraju. Tak więc w obrębie PRON toczy się dialog stron, które pragną zachować swoją tożsamość programową i ideologiczną, są zgodni co do pryncypiów i radzą nad sposobami wyrwania kraju z kryzysu i niedopuszczenia do jego nawrotu.

W. RZYMSKI: — Co z kolei nie oznacza, że poglądy poszczególnych organizacji, uczestników naszego ruchu muszą być jednakowe. Przeciwnie, różnica poglądów jest nie tylko dopuszczalna, ile wręcz potrzebna. W sprzecznościach, byle nie przybierały one charakteru antagonistycznego, kształtuje się postęp. Idzie przecież o to, aby przy różniących się poglądach na wiele kwestii osiągnąć porozumienie i wypracowanie jednolitych zachowań w określonych sytuacjach przy dopuszczalnych różnicach poglądów. Dla przykładu: można być niezadowolonym lub wręcz zadowolonym z sytuacji rynkowej, ale postawa będąca konsekwencją tej czy innej oceny nie musi prowadzić do tego, że wychodzimy na ulicę, aby uczestniczyć w „marszach głodowych".

H. PAWLAK: — Kiedy mówimy o tożsamości sygnatariuszy PRON, to nam, działaczom tego ruchu, wydaje się to bardzo oczywiste. Jest jednak konieczne, aby to podkreślać przy każdej okazji, chociażby dlatego, że przecież jednym z głównych zarzutów, które kierowano od początku pod adresem ruchu PRON było to, iż będzie to kolejna nadbudówka władzy. Stąd jasne postawienie sprawy w tej kwestii jest sprawą dla nas niezmiernie istotną.

W. RZYMSKI: — Jest u nas rzeczą przyjętą, chociaż nie wiem czy słusznie że przeciętny obywatel nie musi znać treści wszystkich dokumentów politycznych. Ale myślę, że należy chociażby zwrócić uwagę na diametralną różnicę pomiędzy zapisem konstytucyjnym dotyczącym FJN a naszymi propozycjami zawartymi w deklaracji PRON, gdzie czytamy m. in. o partnerskim współdziałaniu partii politycznych z ugrupowaniami chrześcijańskimi, katolickimi.

„ODGŁOSY": — Wciąż jednak, chociaż może tego tak mocno dotąd nie akcentuje się, istnieją jakby dwie płaszczyzny oczekiwań w stosunku do PRON. Pierwsza, to oczekiwania jego sygnatariuszy. Ale przecież nie mniej ważne są oczekiwania i nadzieje społeczne w stosunku do tego ruchu. Jedne z nich są konkretne — na ile PRON załatwiał będzie szereg spraw praktycznych, to znaczy usuwał codzienne dolegliwości życia. Inne znów jakby natury bardziej ogólnej, a mianowicie czy PRON będzie platforma dyskusji a nawet może i sporów o charakterze społecznym, politycznym, sporów o sprawy zasadnicze.

W związku z tym pytanie, na ile z tymi oczekiwaniami się spotykacie i jak je oceniacie? Czy są to oczekiwania głównie natury praktycznej, czy też są to nadzieje na to, że przyczynicie się do wypracowania nowego modelu społecznego współżycia?

S. WOJTUNIK: — Mamy świadomość jednych i drugich. Częste kontakty z ludźmi w świadomości tej nas umacniają. Jak dotąd jednak w tych codziennych kontaktach mamy częściej do czynienia z nadziejami bardziej konkretnymi, a więc sprawami interwencyjnymi.

„ODGŁOSY": — Wymieniając cele działalności PRON, pan Władysław Rzymski wspomniał, iż ruch pragnie podejmować działania na rzecz przełamania kryzysu i zapobieżenia niebezpieczeństwu jego nawrotu. Czy jest to zadanie realne?

W. RZYMSKI: — Jest to cel i zadanie konieczne i myślę, że realne. A metoda? Stworzenie takich relacji w systemie sprawowania władzy, które by mocą prawa i jego egzekucji stwarzały gwarancje stabilnego, dalszego rozwoju.

„ODGŁOSY": — Stworzenie określonego modelu organizacji politycznej to dopiero początek, to jakby jedna strona medalu, a egzekucja tego, kontrola funkcjonowania takiego „bezkolizyjnego" modelu, to sprawa druga i chyba trudniejsza. Jaki więc PRON pragnie mieć udział w systemie politycznym, aby móc kontrolować władzę i wywierać na nią wpływ, reprezentując racje społeczne?

W. RZYMSKI: — Dla przykładu, konsultacja społeczna, i to obowiązkowa, najważniejszych projektów aktów prawnych ze zmianami w konstytucji włącznie...

S. WOJTUNIK: — A także z ustosunkowaniem się, opinią naszą, co do sposobu realizacji tych aktów.

W. RZYMSKI: — A także gwarancje dla PRON udziału w wyłanianiu przedstawicieli sprawujących władzę.

S. WOJTUNIK: — Naczelnym warunkiem powodzenia tych czy innych działań będzie zakres społecznej akceptacji naszego stanowiska i postępowania. Jest to warunek wszelkiego powodzenia. Przy czym błędem byłoby mniemanie, że PRON sytuujemy bliżej społeczeństwa i jego racji, a przeciw władzy. Nie. PRON musi widzieć podstawowe kwestie w kontekście racji stanu, racji państwowych, a z drugiej strony być swego rodzaju pomostem porozumienia pomiędzy sygnatariuszami ruchu i społeczeństwem.

I. SIKIRYCKI: — Porozumienie międzypartyjne nie budzi na ogół większych wątpliwości. Dlatego warto zwrócić uwagę na rolę, jaką w naszym ruchu mogą i powinni odegrać ludzie, którzy nie są związani z żadną partią. Ich obecność i aktywność w ruchu jest niezwykle potrzebna.

Moją osobistą nadzieją jest to, że nadejdzie taki czas, iż po tych naszych bolesnych doświadczeniach ostatnich lat, w wyniku których ludzie przypatrują się nam z ogromnym niedowierzaniem, że tego rodzaju postawy ulegną przełamaniu. Sprzyjałoby temu bardziej precyzyjne, szersze propagowanie ruchu. Brakuje nam również, poza kontaktem w sprawach interwencyjnych, niezbędnych, bardzo bliskich kontaktów ze społeczeństwem. Wprawdzie tego typu spotkania mają miejsce, ale jest ich jeszcze ciągle mało.

„ODGŁOSY": — Może ten niedostateczny kontakt, jak i pobieżna informacja o PRON wpływają na krytyczne i sceptyczne opinie o ruchu? Z drugiej strony brak jest, jak dotąd, powszechnego odczucia reprezentatywności działaczy PRON.

I. SIKIRYCKI: — Niestety. Nieufność jest jeszcze spora. Znajduje to także wyraz w listach do nas. Ale nie jest znów bynajmniej tak, że każdy nam rzuca kłody pod nogi. Szereg naszych inicjatyw znalazło zrozumienie i zyskało poparcie społeczne. PRON roztoczył patronat nad młodzieżowym konkursem recytatorskim poezji patriotycznej. Wzięło w nim udział około 500 uczestników. Z akceptacją społeczną spotkała się nasza inicjatywa patronatu nad budową domu dla dzieci upośledzonych. To oczywiście tylko skromny początek.

Pytacie nas, czy nie sądzimy, że za bardzo zajmujemy się sprawami interwencyjnymi. Tak. To prawda. To nie jest nasza najważniejsza rola, ale nie można ludzi znajdujących się w trudnej sytuacji po prostu zbyć. Jeśli do nas przyszli, okazując nam zaufanie, to my powinniśmy dołożyć starań, aby im pomóc.

H. PAWLAK: — Jedną sprawą dla PRON jest dziedzina naszej aktywności, która służy umiejscowieniu ruchu w systemie demokracji socjalistycznej, jego włączeniu się w nurt życia politycznego. Drugą, bardzo ważną płaszczyzną, są konkretne rezultaty działania, czytelne dla ogółu społeczeństwa. Rozwiązanie dylematu, jak te sprawy w naszym działaniu pogodzić, jest zadaniem najważniejszym. Jego pozytywne rozstrzygnięcie stanowi argument w pozyskiwaniu poparcia dla PRON. Jeśli Wojewódzka Rada PRON sformułuje program ze spraw ważnych dla mieszkańców województwa i ludzie będą widzieli szansę powodzenia tego programu (dla przykładu rozwiązanie problemów służby zdrowia, budowy nowego gmachu filharmonii itp.), to wówczas jest szansa na to, iż zyskamy społeczne poparcie.

Jeśli nie stworzymy programów nośnych społecznie, a co za tym idzie i dowodów na to, że coś w mieście możemy zmienić, poprawić, to wówczas ta druga płaszczyzna inicjatyw politycznych nie będzie miała potwierdzenia w realiach życia. Takich spraw konkretnych i ważnych do załatwienia jest w Łodzi wiele, poczynając od kwestii wyżywieniowych i zaplecza rolniczego, a kończąc na urbanistyce i koncepcjach rozwoju miasta, które od dłuższego czasu się „kitwaszą" w Biurze Rozwoju Miasta. Tymczasem społeczeństwo prawie nic o tym nie wie. Stąd nie potrafi zdecydować, za jakimi rozwiązaniami się opowiedzieć, a jakim się przeciwstawić.

Nie chcemy wyręczać Urzędu Miasta w jego obowiązkach, ale ponieważ mówimy również o kontrolnej funkcji PRON, wyrażaniu poprzez nasz ruch opinii publicznej to zobowiązuje nas do zajmowania takiego stanowiska, które zmuszałoby władzę do zajęcia się sprawami ze społecznego punktu widzenia najważniejszymi, potrzebnymi. Tak rozumiem interwencyjną funkcję PRON. Zaś te drobne sprawy wynikające z interwencji, z prośby ludzi do nas przychodzących, powinny stanowić sygnał istnienia zjawisk ogólnospołecznych, którymi musimy się generalnie zająć, aby nie pogubić się w sprawach jednostkowych.

„ODGŁOSY": — Chyba jest już czas, aby panowie powiedzieli coś więcej o ruchu PRON w województwie łódzkim miejskim. A przy okazji wyjaśnili kwestię członkostwa czy uczestnictwa w PRON.

W. MAGIN: — Przeważa w naszym ruchu teza uczestnictwa w nim. Ta forma aktywności w PRON chyba najbardziej będzie potwierdzała jego otwartość. Ten problem znajdzie jednak ostateczne rozstrzygnięcie w fazie dyskusji przedkongresowej.

Z uwagi na fakt, iż Tymczasowa Rada Wojewódzka PRON nie uzurpuje sobie prawa zwierzchnictwa, a trochę i ze względu na stan informacji, trudno byłoby mi podać wyczerpującą informację typu statystycznego o naszym ruchu, o jego ogniwach. Warto również dodać, że ruch ten tworzy się w sposób najbardziej autentyczny. Dlatego nie posiadamy jeszcze wszędzie — mam na myśli jednostki administracyjne — terenowych rad PRON. Nie jesteśmy pod tym względem przodującym województwem w kraju, ale przecież nie o współzawodnictwo chodzi. Na 21 jednostek administracyjnych, rady PRON funkcjonują w 13. Np. do 3 lutego 1983 r. Śródmieście i Bałuty nie powołały jeszcze ogniw PRON.

Dla prawidłowego rozwoju ruchu musi istnieć minimum organizacji. Ale też niczego nie chcemy robić na siłę.

Przy okazji chciałbym rozwiać krążące po mieście plotki o tym, ilu to ludzi pracuje na etatach w Tymczasowej Wojewódzkiej Radzie PRON. Tymczasem Biuro TWR liczy dwie osoby. W perspektywie są szanse na dodatkowe 2 etaty. W terenie nie mamy żadnych etatów i etatowych działaczy. Przewodniczący grup inicjujących dokumenty noszą w teczce, bo lokali też jeszcze nie posiadamy.

Te sprawy wymagają jasnego i precyzyjnego rozwiązania. Nie możemy przy tym popełnić błędów FJN, który opierał się na ludziach zatrudnionych na rozmaitych etatach w zakładach pracy.

W dalszym ciągu jesteśmy w społeczeństwie nie tyle, że mało popularni, ale wręcz mało znani. Naszą ideą, niestety, interesują się nieliczni, a jeżeli już, to jedynie na tyle, aby mieć rozeznanie w tym, co danym osobom, ludziom do nas przychodzącym, PRON może załatwić. Przychodzą do nas pełni rozgoryczenia, nie mając dotąd szans rozmowy z osobami kompetentnymi, urzędnikami, którzy winni ich sprawy załatwić.

Sprawą, do której musimy się również odnieść, jest nasz stosunek do FJN. Są przypadki, i to wcale nie pojedyncze, że zarzuca nam się, iż opieramy się na tych samych strukturach, na tych samych działaniach i praktykach. Wobec tego nie mamy szans na sukces i społeczną akceptację. Musimy się od tego rodzaju insynuacji odciąć.

Musimy również w większym niż dotąd stopniu zwrócić swoje zainteresowanie na środowiska robotnicze. Jak dotąd, w składzie TRW PRON dominują przedstawiciele inteligencji, środowisk naukowych, twórczych. W kampanii przedkongresowej będziemy usiłowali zwiększyć swoją aktywność przede wszystkim w dwu środowiskach: młodzieży i robotników. Pierwsza robotnicza rada PRON powstała już w „Marchlewskim".

Równocześnie wpływają systematycznie do naszego biura dalsze akcesy, zgłoszenia i inicjatywy powołania terenowych ogniw PRON. Deklaracje zbiorowe do PRON traktujemy jako fakt przybywania nam sojuszników. One nas cieszą, ale jeszcze bardziej cieszą te akcesy poparte konkretnymi delegacjami do udziału w pracach Rady. Tym bardziej, że jej skład nie jest pełny, a w zestawieniu z problematyką, którą przychodzi nam rozwiązywać, okazuje się nawet zbyt szczupły. Brakuje nam dla przykładu grona prawników, których wiedza fachowa w wielu sprawach byłaby nam niezmiernie potrzebna.

„ODGŁOSY": — Instytucji doradztwa nie przewidujecie?

W. MAGIN: — Dlaczego nie? Chętnie.

W. RZYMSKI: — Opowiadamy się za uczestnictwem, a więc za stwierdzeniem, że jest się uczestnikiem ruchu, zaś członkiem — dla przykładu — Rady Wojewódzkiej. Podobnie opowiadamy się za formułą uczestnika Kongresu PRON, a nie delegata. Uczestnictwo w PRON rozumiemy dwojako: raz jako aktywność w komisji, zespole czy radzie ruchu, a ponadto jako działalność z ramienia PRON w środowisku społecznym czy zawodowym.

„ODGŁOSY": — Na jakich zasadach będzie się odbywało wyłanianie uczestników kongresu?

W. RZYMSKI: — Jest już formalne stanowisko TKR PRON. Sposób wyłaniania uczestników kongresu spełniać musi trzy warunki. Po pierwsze — wpływ ogniw podstawowych ruchu na proces wyłaniania uczestników. Po drugie — wpływ forum wojewódzkiego PRON, i — po trzecie — wpływ sygnatariuszy na to, kto będzie reprezentantem określonych środowisk na kongresie.

„ODGŁOSY": — I jeszcze jedno pytanie. Chodzi o stosunek i wzajemne relacje PRON — OKON. Rozmaite tu bywają odczucia.

W. RZYMSKI: — Jest różny, choć generalnie większych problemów w sferze współpracy nie ma, ale jak zwykle zależy to od rozmaitych uwarunkowań terytorialnych i środowiskowych. Podobnie było między PRON a FJN. Wiele zależy od ludzi, i przede wszystkim od ludzi.

„ODGŁOSY": — A czy panowie przewidują zmianę w zapisie konstytucyjnym?

W. RZYMSKI: — Tak. Trudno byłoby sobie bez niej wyobrazić przyszłe funkcjonowanie PRON. Treść tego zapisu powinna zapewniać konstytucyjną legalność istnienia PRON i jego wpływu na życie społeczno-polityczne kraju.

Foto: M. Zajdler

Rozmowę przeprowadził:
KAROL JÓZEF STRYJSKI ■

Którędy do przodu?

Potrzeba rewolucji naukowo - społecznej

Socjalizm powstaje w sposób istotnie odmienny od uprzednich formacji. Wyłaniały się one bowiem w sposób nieświadomy sedna dokonywanej zmiany i żywiołowy. W następstwie długotrwałego wypracowywania odwieczną metodą prób i błędów skuteczniejszych sposobów przetwarzania przyrody oraz doskonalenia stosunków społecznych. Utrwalania i upowszechniania rozwiązań bardziej efektywnych, pomagających przetrwać i rozwijać się społecznościom zdolnym wytworzyć bądź zaadoptować trafne innowacje. Eliminowania zaś rozwiązań przestarzałych bądź błędnych zmian przez wyniszczanie czy podporządkowywanie społeczeństw nie potrafiących sprostać wymogom postępu. Ten proces, aczkolwiek niezwykle powolny i dotkliwy, powodował jednak summa summarum doskonalenie tak metod zdobywania środków do życia, jak i form życia społecznego, czyli stopniowy postęp cywilizacyjny ludzkości.

Jakościowa zmiana została zapoczątkowana przez zastępowanie metody prób i błędów — wiedzą przyrodniczą i jej wykorzystywaniem dla coraz bardziej celowego usprawniania sił wytwórczych. Możliwości po temu stworzył kapitalizm. A to przez właściwy dla tego sposobu produkcji konkurencyjny wyścig w pomnażaniu kapitału, stwarzający rosnące zapotrzebowanie na rozwój sił wytwórczych. To stało się głównym stymulatorem rozwoju wiedzy o prawach przyrody i umiejętności jej spożytkowania — obalania właściwych dla feudalizmu ograniczeń w tej materii.

Niemniej jednak, sprostanie tym nowym wymogom nie dokonywało się natychmiast wraz z zastępowaniem feudalnych stosunków przez kapitalistyczne. Było rezultatem długotrwałego procesu, w trakcie którego następowało wypieranie przesądów przez wiedzę przyrodniczą oraz wynalazczość genialnych majsterkowiczów — innowacjami dokonywanymi przez zespoły uczonych. Przełom w tej dziedzinie, prowadzący do dominacji naukowych sposobów rozwoju sił wytwórczych nad właściwymi dla metody prób i błędów, dokonał się właściwie na naszych oczach, czego wyrazem jest tak zwana rewolucja naukowo-techniczna.

Unaukowienie rozwoju sił wytwórczych zburzyło odpowiedniość tegoż ze sposobami usprawniania stosunków społecznych. W tej bowiem sferze dominuje w tym ustroju nadal metoda prób i błędów. Tradycyjne jej pojmowanie zawarte w powiedzeniu: „czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży", ulega w kapitalizmie zmianie o tyle, że miejsce „ducha Bożego" zajmuje bezduszny rynek oraz — w sferze polityki — podobne reguły gry politycznej. Pozwala to wprawdzie na większe niż w przypadku „ducha Bożego" możliwości poznawania praw tych, żywiołowych procesów, pomocnych znającym je w skuteczniejszej konkurencji ekonomicznej czy politycznej. Na przeszkodzie w pełnym obnażaniu prawidłowości kapitalistycznej fazy rozwoju społecznego, a tym bardziej w pełnym posługiwaniu się tą wiedzą dla ukierunkowania życia społecznego, stoją jednak fundamentalne właściwości kapitalistycznych stosunków: prywatna własność środków produkcji oraz konkurencyjny sposób uzgadniania współzależnych dążeń i działań. Postępy burżuazyjnych nauk społecznych — bezspornie znaczne i absurdem byłoby ich bagatelizowanie — ograniczają klasowy interes, narzucający przeoczanie bądź przemilczanie konieczności znoszenia powyższych fundamentalnych zasad ustrojowych. Barierą zaś praktycznego stosowania wniosków z nauki jest suwerenność prywatnej przedsiębiorczości i związany z tym wymóg prymatu rynkowego uzgadniania stosunków z innymi komplementarnymi podmiotami.

Stosunków o tyle odmiennych niż uprzednio, że nie ograniczonych do wymiany nadwyżek o marginalnym znaczeniu, jak to się działo w dominującej w uprzednich formacjach gospodarce naturalnej. Ale olbrzymich zespołów wytwórczych, wyspecjalizowanych w produkowaniu dóbr zaspokajających potrzeby „nieznanego konsumenta" w skali państwowej i międzynarodowej. Za pomocą technik i technologii o rosnącej wydajności i nie tylko pozytywnych, ale i negatywnych dla bytu ludzkiego efektach ubocznych.

To właśnie uspołecznienie procesu i skutków wytwarzania w skali państwowej i międzynarodowej narzuca konieczność zastępowania dominacji żywiołowych przez naukowe sposoby uzgadniania współzależnych dążeń i działań komplementarnych organizmów ludzkich.

To zarazem głębia i niejednoznaczność skutków posługiwania się współczesnymi technikami i technologiami wymusza świadome i celowe, oparte na naukowej wiedzy uzgadnianie stosunków między społeczeństwem a przyrodą.

I stąd właśnie wynika obiektywny wymóg przezwyciężenia ustrojowych barier takiego postępu przez zastępowanie panowania prywatnych i rynkowych reguł przez uspołecznione i planowe. Tak się przedstawia wyzwanie cywilizacyjne naszych czasów. Wyzwanie na tyle kategoryczne, że od sprostania jego wymogom zależy nie tylko dalszy rozwój, ale i samo istnienie ludzkości. Staje się to na tyle oczywiste, że uświadamiane współcześnie przez myślicieli niezależnie od orientacji ideowej i opcji ustrojowej.

Marksistowski nurt ruchu robotniczego wyprzedził dostrzeżenie tej konieczności o więcej niż stulecie i zapoczątkował działania teoretyczne i praktyczne stanowiące podjęcie tego wyzwania. Fundamentalną podstawą takiego postępu było odkrycie przez Karola Marksa generalnych prawidłowości rozwoju społecznego.

Zauważmy, iż teoria marksistowska nie jest bynajmniej synonimem socjalizmu naukowego — jest bowiem pojęciem szerszym. Podobnie, jak np. fizyka wobec mechaniki, a w pewnym sensie jak badania podstawowe do stosowanych. Stąd powstanie teorii marksistowskiej i właściwej dlań metodologii nie rozstrzygnęło automatycznie unaukowienia praktyki socjalistycznej. Stworzyło natomiast możliwości wykrywania prawidłowości procesów przeobrażania formacji kapitalistycznej w socjalistyczną oraz uściślania ich odpowiednio do zmienności cechującej różne społeczności i okresy.

Zapoczątkowało to przekształcanie socjalizmu w naukę, rozwoju nieświadomego ustrojowych celów — w świadomie określany, przeobrażeń metodą prób i błędów — zakładającymi zmiany zaprogramowane i kontrolowane w sposób naukowy.

Potwierdzeniem realności takiego postępu — jak dotąd niedoścignionym — jest działalność teoretyczna i praktyczna Włodzimierza Lenina. Te bezsporne osiągnięcia, jak i wielorakie przejawy ich kontynuacji, nie mogą i nie winny przesłonić obiektywnego faktu, że jesteśmy jeszcze u początku niezwykle płodnego ale i nadzwyczaj trudnego zadania unaukowienia realnego socjalizmu.

Podobnie jak zwycięstwo kapitalizmu stymulowało unaukowienie rozwoju sił wytwórczych, tak urealnienie socjalizmu zniosło ustrojowe przeszkody i spotęgowało zapotrzebowanie na unaukowienie postępu społecznego. Ale jest to nadal bardziej zadaniem, niż codzienną, rutynową praktyką. Jesteśmy — posługując się porównaniem do historii unaukowiania rozwoju sił wytwórczych — już po odpowiednikach odkryć Kopernika, Darwina, Newtona oraz dowodach możliwości ich praktycznego spożytkowania rangi wynalazków Edisona, ale jeszcze przed odpowiednikiem zmiany rangi rewolucji naukowo-technicznej. Czyli u progu rewolucji naukowo-społecznej. Po przygotowaniu dlań warunków teoretycznych i praktycznych oraz wobec świadomości konieczności jej dokonania.

Konieczności szczególnie wyrazistej w naszym kraju. Ruch na rzecz kształtowania socjalistycznej formacji jest zdeterminowany obiektywnymi wymogami i dokonuje się niezależnie od tego, czy realizujące te zadania siły są uzbrojone dostatecznie w wiedzę o prawidłowościach i optymalnych sposobach takiego postępu. Gdzie takiej wiedzy zabraknie, przeobrażenia dokonują się starą metodą prób i błędów. O tyle niedostateczną dla ukształtowania socjalistycznej formacji, że stopień unaukowienia rozwoju sił wytwórczych oraz skala uspołecznienia procesu reprodukcji materialnych warunków życia, stwarza konieczność racjonalnego — opartego na wiedzy o procesach społecznych i umiejętnościach posługiwania się nią w praktyce — sterowania socjalistycznymi przeobrażeniami. Alternatywą niedostatku naukowo-socjalistycznej wiedzy, umiejętności i woli ich stosowania, jest skazywanie się na powtarzalne błędy i wypaczenia. Takie właśnie, jakich doświadczyliśmy już kilkakroć na polskiej skórze. I możemy nadal doświadczać, wielość potencjalnych następnych błędnych wariantów jest bowiem większa niż przegranych w totolotku.

Warunkiem sine qua non przezwyciężenia tej groźby jest m.in. konsekwentniejsze niż dotychczas podjęcie zadania unaukowienia polskiego socjalizmu. Trzeba to sobie uświadamiać i publicznie głosić, by mobilizować do działań niezbędnych dla dokonania takiego postępu. Po to zaś, by dokonała się u nas taka rewolucja naukowo-społeczna, niezbędne jest:

— po pierwsze, żywotne zapotrzebowanie głównej części sił prosocjalistycznych na samowiedzę autentyczną, a zatem nie tylko krytyczną wobec przeciwników, ale i samokrytyczną stale i wciąż wobec dążeń, działań i dokonań sił tworzących nowy ustrój;

— po drugie, dostatek środków teoretycznych i teoretyków gruntownie znających marksistowsko-leninowską wiedzę i metodologię, skoncentrowanych na jej rozwijaniu w szczególności zaś na wykrywaniu prawidłowości właściwych dla zmiennych warunków kształtowania socjalizmu w konkretnych społecznościach i fazach;

— i po trzecie powszechność wykształcenia w tym zakresie — znajomości wiedzy naukowo-socjalistycznej oraz umiejętności jej praktycznego stosowania dla racjonalizacji społecznego myślenia i działania.

Racjonalizacji socjalistycznego postępu społecznego — podobnie jak i technicznego — nie można zadekretować, uchwalić ani wymodlić. To trzeba robić.

MARIUSZ GULCZYŃSKI ■

14 marca 1983 roku mija setna rocznica śmierci Karola Marksa.

Karl Heinrich Marks urodził się 5 maja 1818r. w Trewirze w Nadrenii. Jego ojciec był adwokatem. Młody Marks studiował prawo, historię i filozofię. Został doktorem filozofii. W latach 1842—1843 był współpracownikiem, a następnie redaktorem „Gazety Reńskiej". Pismo krytykowało reakcyjną politykę rządu pruskiego i zostało zamknięte.

W czerwcu 1843 roku Karol Marks ożenił się z Jenny von Westphalen, a następnie przeniósł się do Paryża. Od 1844 roku datuje się jego współpraca i przyjaźń z Fryderykiem Engelsem.

W 1848 roku Karol Marks i Fryderyk Engels opublikowali „Manifest Komunistyczny". W tej publikacji, jak i w szeregu innych, stworzyli podstawy naukowego socjalizmu, sformułowali nową metodę analizy zjawisk zachodzących w przyrodzie i społeczeństwie — dialektykę materialistyczną i materializm historyczny. Nakreślili naukowe podstawy socjalizmu.

Prace Karola Marksa i Fryderyka Engelsa powinny być dobrze znane. Bez znajomości tych prac nie można zrozumieć procesów zachodzących we współczesnym świecie, jak też kierować budową nowego społeczeństwa — socjalistycznego.

Z okazji setnej rocznicy śmierci Karola Marksa — zmarł w Londynie i tam został pochowany — publikujemy jego list do żony z roku 1856. Wybieramy ten tekst, aby pokazać Karola Marksa jako człowieka wrażliwego, uczuciowego, a nie tylko twórcę poważnych dzieł naukowych.

Jenny Marks wyjechała do Trewiru do chorej matki i była tam od 22 maja 1856 roku do 10 września. W tym czasie Karol Marks był u Fryderyka Engelsa w Manchesterze i stamtąd pisał listy do żony. Drukowany poniżej list datowany jest 21 czerwca 1856 r.

„Poprawiam dzieło promieni słonecznych"

MOJE TY UKOCHANIE!

Znów do Ciebie piszę, bo jestem sam, bo mam już dość tego ustawicznego prowadzenia z Tobą dialogu w myśli, gdy Ty nic o tym nie wiesz, nie słyszysz mnie i odpowiedzieć nie możesz. Twój portret, mimo że marny, to jednak oddaje mi najlepsze usługi i teraz rozumiem, dlaczego nawet „czarne Madonny", nawet najbardziej szpetne wizerunki Matki Boskiej mogą znaleźć niezłomnych wielbicieli — i to liczniejszych niż wizerunki dobre. W każdym razie żaden z tych czarnych obrazów Madonny nie był tylekroć całowany, oglądany i adorowany jak Twoja fotografia, która nie jest co prawda czarna, ale za to zastygła i wcale nie odzwierciedla Twego miłego, czarującego, ujmującego, „dolce" oblicza. Ale ja poprawiam dzieło promieni słonecznych, które malowały nieprawdziwy obraz, stwierdzam bowiem, że oczy moje, choć bardzo popsute przez światło lampy i tytoń, jednak potrafią malować, i to nie tylko we śnie, lecz także na jawie. Mam Cię oto przed sobą jak żywą i noszę Cię na rękach, i całuję Cię od głowy do stóp, i padam przed Tobą na kolana, i wzdycham: „Madame, kocham Cię". I kocham Cię naprawdę, bardziej niż kochał kiedykolwiek ów Murzyn wenecki. Fałszywe i bzdurne wyobrażenie o ludziach ma ten fałszywy i bzdurny świat. *Któż spośród wielu moich oszczerców i żmijojęzycznych wrogów pomówił mnie kiedykolwiek o to, że powołany jestem do odgrywania roli pierwszego amanta w drugorzędnym teatrze?* A przecież tak właśnie jest. Gdyby ci nikczemnicy mieli trochę oleju w głowie, namalowaliby po jednej stronie „stosunki produkcji i wymiany", a po drugiej — mnie u Twoich stóp. Look to this picture and to that — napisaliby pod obrazem. Ale głupi to nikczemnicy i głupimi pozostaną in seculum seculorum.

Chwilowa rozłąka jest dobra, gdyż przebywanie blisko siebie sprawia, że rzeczy wyglądają zbyt jednakowo, by je można było odróżnić. Nawet wieże wydają się z bliska skarlałe, a spowszedniałe drobiazgi w bezpośrednim otoczeniu niepomiernie urastają. Tak też jest z naszymi namiętnościami. Drobne przyzwyczajenia, które przez swoją bliskość dają się nam mocno we znaki i przybierają charakter namiętności, natychmiast znikają, gdy tylko usuwa się nam z oczu ich bezpośredni przedmiot. Wielkie namiętności, które przez bliskość swego przedmiotu przybierają charakter drobnych przyzwyczajeń, urastają i wracają do swoich naturalnych rozmiarów pod czarodziejskim wpływem oddalenia. I tak jest z moją miłością. Wystarczy, że tylko we śnie zniknięsz z moich oczu, a już od razu wiem, że czas był dla mojej miłości jedynie tym, czym słońce i deszcz są dla roślin — źródłem rozwoju. Gdy tylko znajdziesz się z dala ode mnie, moja miłość do Ciebie występuje w prawdziwej swojej postaci, jako olbrzym, który skupia w sobie całą energię mojego ducha i całą istotę mojego serca. Znowu czuję się w pełni człowiekiem, gdyż płonie we mnie wielka namiętność, owa zaś wielorakość, w którą wplątuje nas nauka i nowoczesne wychowanie, i ów sceptycyzm, który nieuchronnie każe nam podawać w wątpliwość wszystkie subiektywne i obiektywne wrażenia, są właśnie tylko po to, by uczynić nas małymi i słabymi, stetryczałymi i niezdecydowanymi. Jednakże miłość — nie do feuerbachowskiego człowieka, do moleschottowskiej wymiany materii, do proletariatu, ale miłość do ukochanej, miłość do Ciebie, czyni człowieka znowu człowiekiem.

Uśmiechniesz się, Kochanie, i zapytasz, skąd u mnie nagle cała ta retoryka? O, gdybym mógł Twoje czułe, czyste serce przycisnąć do serca mojego, na pewno bym wtedy milczał i ani słowa nie wymówił. Ale że nie mogę całować ustami, muszę składać słowa i całować słowami. Mógłbym nawet układać wiersze i naśladując Owidiuszowe „Libri Tristium" klecić niemieckie elegie. Owidiusz skazany był tylko na życie z dala od cesarza Augusta. Ja zaś skazany jestem na życie z dala od Ciebie, a tego Owidiusz nie mógł pojąć.

Na świecie jest oczywiście wiele kobiet, a niektóre z nich są piękne. Ale gdzie znajdę jeszcze oblicze, którego każdy rys, nawet każda zmarszczka budziłyby znowu we mnie najsilniejsze i najmilsze wspomnienia mojego życia? Nawet moje bezmierne cierpienia, niepowetowane moje straty wyczytuję z Twego oblicza i scałowuję mój ból całując Twoją słodką twarz. *„Być pogrzebanym w jej ramionach i* być obudzonym przez jej pocałunki" — w Twoich mianowicie ramionach i przez Twoje pocałunki, o, w zamian za to daruję braminom i Pitagorasowi ich naukę o metempsychozie, a chrześcijaństwu jego naukę o zmartwychwstaniu.

Na zakończenie some facts. Posłałem dziś Izaakowi Ironside'owi the first paper of the series, a do tego (tj. do tekstu depesz) jeszcze uwagi pisane własną moją ręką i własną moją angielszczyzną. Było mi oczywiście niezbyt przyjemnie, gdy Frederic ze swoją lekko krytyczną chmurną miną spokojnie zabrał się do przeczytania tej rzeczy, przed jej odesłaniem. Mairs pour la première fois, he was quite astonished and exclaimed that this important work ought to be published in another form and, above all things, to be published in German. Poślę pierwszy numer Tobie i Scholsserowi od historii w Niemczech.

A propos. Z „augsburskiej", która nawiązuje bezpośrednio do naszych pism okólnych ujawnionych na procesie komunistów w Kolonii, dowiaduję się, że „rzekomo" z tego samego źródła w Londynie rozesłane zostało nowe pismo okólne. Jest to falsyfikat, nędzna kompilacja sfabrykowana na podstawie naszych rzeczy przez pana Stiebera, który — nie znajdując w ostatnich czasach należytego uznania w Prusach — pragnie teraz zabłysnąć jako wielki człowiek w Hanowerze. Engels i ja ogłosimy „sprostowanie" w a(ugsburskiej) „Allgemeine Z(eitung)".

Do widzenia, Kochanie! Całuję Ciebie i dzieci wiele, wiele razy.

Twój KAROL ■

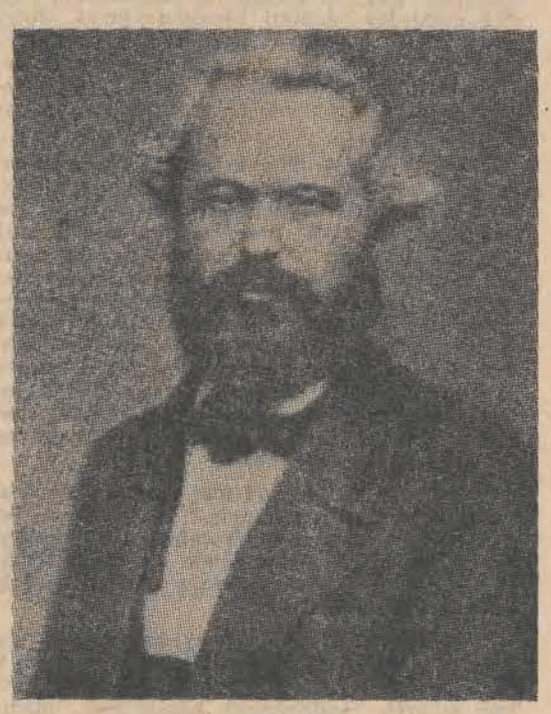

Sprawa gen. Włodzimierza Zagórskiego (4)

7 pytań głównych i kilka pomocniczych

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Zaginięcie gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego jest sprawą zawikłaną i niejasną. Przyjechał człowiek do Warszawy — a ściśle został przywieziony — był widziany na Dworcu Wileńskim wieczorem 6 sierpnia 1927 roku. I wszelki ślad po nim zaginął. W powodzi faktów, niedomówień, niejasności trudno się zorientować. Tym bardziej, że przebieg wypadków odtwarza się dziś na podstawie dokumentów, doniesień prasowych, przeprowadzonych wówczas dochodzeń i przesłuchań świadków.

Jest jednak pewien sposób, aby się w tym wszystkim zorientować. Zwrócił na to uwagę Zbigniew Cieślikowski w książce „Tajemnice śledztwa KO-1042/27". Przeanalizował dokładnie zachowane materiały śledztwa i zastanawiał się, dlaczego płk Stefan Kaczmarek — prowadzący śledztwo — nie sformułował kilku zasadniczych pytań, które ułatwiłyby mu postępowanie. Sądzę, że jest to metoda, która pozwoli nam zorientować się w wydarzeniach z wieczoru 6 sierpnia 1927 roku. Wszystko bowiem rozegrało się zaledwie w kilkadziesiąt minut.

Ale nim zacznę formułować pytania dotyczące tego wieczoru i szukać na nie odpowiedzi, należy postawić

PYTANIE NR 1

dotyczące wydarzeń w Wilnie. Należy zapytać, czy tryb zwolnienia gen. Włodzimierza Zagórskiego z więzienia śledczego był zgodny z obowiązującymi przepisami? Na pytanie to odpowiedział wspomniany Zbigniew Cieślikowski:

„...należy stwierdzić — napisał — że sposób załatwienia sprawy w więzieniu był sprzeczny z obowiązującymi przepisami. Gen. Zagórskiemu nie okazano nakazu zwolnienia, nie stwierdził on własnym podpisem przyjęcia do wiadomości decyzji sądu, nie wydano mu jego depozytu i nie dokonano innych czynności, niezbędnych przy zwolnieniu z aresztu śledczego".

A Zbigniew Cieślikowski dokładnie przestudiował nie tylko materiały śledztwa, ale i obowiązujące wówczas przepisy. Zastanowił go również fakt, że całą operację przywiezienia gen. Włodzimierza Zagórskiego do Warszawy próbowano utrzymać w tajemnicy. Kpt. Lucjan Miładowski nie otrzymał rozkazu wyjazdu, generałowi kazano ubrać się w cywilne ubranie. Pozwolono wziąć tylko podręczny bagaż. Dwie skrzynie pozostały w Wilnie i miały być dostarczone do Warszawy przy okazji. Ale nikt ani nie zapytał, gdzie je dostarczyć, choć wszyscy, z wyjątkiem gen. Włodzimierza Zagórskiego, wiedzieli, że jest on już zwolniony z aresztu. Jedyny chyba generał Zagórski sądził, że jest przewożony do więzienia w Warszawie, gdzie powinien był odbyć się jego proces. Zbigniew Cieślikowski sądzi, że wileński prokurator wojskowy ppłk Edmund Wełdycz działał wedle z góry otrzymanych instrukcji. Zachodzi tylko pytanie: czy te instrukcje przywiózł mu w zalakowanej kopercie kpt. L. Miładowski, czy otrzymał je inną drogą. Ale od kogo? Śledztwo tego nie wyjaśniło. Nawet zresztą nie próbowano.

Wszystko wskazuje na to, że tryb zwolnienia gen. Włodzimierza Zagórskiego z więzienia śledczego był niezgodny z wojskowymi przepisami, a więc nienaturalny. Stąd rodzi się

PYTANIE NR 2

Czy kpt. Lucjan Miładowski pojechał do Wilna sam i sam przywiózł do Warszawy gen. Włodzimierza Zagórskiego?.

W zeznaniu złożonym przez kpt. L. Miładowskiego jest wzmianka o mjr. Bartaku, którego kpt. L. Miładowski przypadkiem spotkał na dworcu w Warszawie, a który jechał *„również do Wilna w sprawach służbowych"*. Jechali oni obaj w jednym przedziale i w Wilnie obaj na ulicy spotkali ppłk. Edmunda Wełdycza.

„...rano idąc do biura — zeznał później ppłk Edmund Wełdycz — *spotkałem na ulicy oficera, który szedł w towarzystwie nie znanego mi majora, którego dokładnie nie widziałem, opisać bym go nie potrafił".*

Zastanawia również inny fragment zeznania ppłk. E. Wełdycza:

„Nie mogąc osobiście być na dworcu posłałem chor. Zarębę z tut. prokuratury, by zobaczył, czy obwiniony odjechał".

Gen. Włodzimierz Zagórski był już człowiekiem wolnym i ppłk E. Wełdycz najlepiej o tym wiedział. Dlaczego więc musiał mieć potwierdzenie wyjazdu? Komu musiał o tym zameldować?

Ciekawe spostrzeżenia z dworca miał sierż. Władysław Gdecz, kierowca Komendy Miasta w Wilnie. Zeznał on:

„Podjechałem pod główne wejście. Zobaczyłem tu stojących dwóch oficerów po obu stronach wejścia i zaraz przyszło mi na myśl, że czekają na generała. Jeden z nich, szczupły z czarną twarzą i małym wąsem, średniego wzrostu, porucznik lub kapitan, drugi niższy, tęższy, o twarzy ogolonej, nie znanego mi stopnia"

Obaj ci oficerowie, gdy minął ich gen. Zagórski i towarzyszące mu osoby, podążyli za nimi. Sierż. Władysław Gdecz oświadczył:

„W każdym razie odniosłem wrażenie, że oni wszyscy należeli do jednej grupy".

Rodzi się tu pytanie, czy tylko ppłk. Edmund Wełdycz wysłał na dworzec w Wilnie swego obserwatora?

Oficerów na dworcu wileńskim widział też chorąży Stanisław Zaręba, wysłany tam przez ppłk. Edmunda Wełdycza:

„Oficerów było zdaje się trzech. Jednego z nich widziałem raz w prokuraturze, gdy przychodził w jakiejś sprawie, ale nie wiem, jak się nazywa. Był to kapitan, tak wyglądał, jak go opisuje szofer: czarny, wysoki, o krótkim wąsie...".

Oczywiście mógł to być czysty przypadek. Oficerowie mogli znaleźć się na dworcu z zupełnie innego powodu. Ale Jerzy Rawicz, w książce „Generał Zagórski zaginął.." sugeruje, że *„w całej tej aferze maczała również palce „dwójka", z którą przecież w ten czy inny sposób cała pułkownikowska „góra" była powiązana".* Mógł więc ktoś inny, poza chorążym Stanisławem Zarębą, kontrolować przebieg odjazdu generała Włodzimierza Zagórskiego z Wilna. Ważne bowiem było, aby odjechał zgodnie z ustalonym w planie terminem.

Konduktor PKP Roman Szymkowski zeznał, że w przedziale gen. Zagórskiego *„siedział mjr artylerii w ciemnozielonych wyłogach, więcej niż średniego wzrostu, silnie zbudowany w wieku ok. 40 lat, łysawy, ciemny blondyn, o twarzy ogolonej"*. Konduktor wszedł do przedziału, aby skontrolować bilety i wtedy:

„Major podał mi swój bilet I kl. (pół biletu) z Wilna, wyszedł za mną na korytarz i wskazał mi przedział kapitana mówiąc „a tam jest reszta", tzn., że bilet gen. Zagórskiego miał kapitan. Następnie zaraz major wrócił do gen. Zagórskiego... W Małkini widziałem majora i kapitana w jednym przedziale (przedziale kapitana)...".

Konduktor Roman Szymkowski złożył swoje zeznania 22 sierpnia 1927 roku, a kpt. Lucjan Miładowski 10 września. Ten ostatni wprawdzie przyznał, że w Wilnie widział jakiegoś oficera, że później w swoim przedziale zastał majora piechoty, który do pociągu wsiadł *„prawdopodobnie w Wilnie"*, ale dopiero po konfrontacji z konduktorem przyznał, że z majorem tym rozmawiał, choć nie mówił mu o tym, że jedzie z gen. Zagórskim.

Również tragarz z Dworca Wileńskiego Aleksander Radzikiewicz przyznał, że *„w wagonie był jakiś major"*.

Major ten rozpłynął się jednak we mgle. Chociaż niezupełnie. Endecka ulotka z września 1927 roku sugeruje, że *„przywieziono generała Zagórskiego pod konwojem kapitana Miładowskiego i kapitana Myśliszewskiego"*. Co prawda z majora zrobił się kapitan, ale wszystko wskazuje na to, że kpt. Lucjan Miładowski sam nie towarzyszył gen. W. Zagórskiemu z Wilna do Warszawy.

PYTANIE NR 3

Dlaczego adiutant marszałka Józefa Piłsudskiego mjr Zygmunt Wenda wyszedł na dworzec po gen. Włodzimierza Zagórskiego?

Kpt. Lucjan Miładowski miał przywieźć gen. Zagórskiego prosto do Belwederu do raportu u Józefa Piłsudskiego. Tylko, że następnego dnia miał się odbyć w Kaliszu zjazd legionistów, na którym musiał być marszałek J. Piłsudski. Gen. Józef Daniec — naczelny prokurator wojskowy — w tajnym piśmie z 10 sierpnia 1927 roku adresowanym do rąk własnych płk. Stefana Kaczmarka próbuje wyjaśnić tę kwestię. Stwierdza on, że Józef Piłsudski miał 6 sierpnia wieczorem przyjąć gen. Włodzimierza Zagórskiego, a następnie nocnym pociągiem wyjechać do Kalisza. *„Z powodu jednak* — pisze gen. J. Daniec — *że jechać miały jego dzieci, zmienił plan i wyjechał po południu autem, z tym, że gen. Zagórskiego przyjmie po powrocie z Kalisza i Szczypiorna"*. Mjr. Zygmunt Wenda udał się więc na Dworzec Wileński, aby powiadomić o tym gen. Włodzimierza Zagórskiego.

Tu pragnę przypomnieć, że 6 sierpnia 1927 roku była sobota. Nie jest to szczegół bez znaczenia.

Mjr Zygmunt Wenda twierdził, że około godziny 16 dowiedział się od ppłk. Aleksandra Prystora, iż ma udać się na Dworzec Wileński, na który pociąg z Wilna przychodzi o 19.45 i zawiadomić generała, że ma się zgłosić u marszałka Józefa Piłsudskiego w poniedziałek lub we wtorek. Uprzednio ma dowiedzieć się telefonicznie w Belwederze, o której godzinie nastąpi raport.

Major Zygmunt Wenda udał się na Dworzec Wileński taksówką, gdyż nie było dyżurnego samochodu, a samochód później dosłał mu ppłk. Aleksander Prystor. Kpt. Lucjan Miładowski wiedział jednak, że ktoś do niego wyjdzie na dworzec, gdyż niecierpliwie wyglądał przez okno. I zobaczył majora Zygmunta Wendę. Czy zobaczył go tylko samego?

Konduktor Roman Szymkowski twierdzi, że widział, jak do wagonu podchodzili *„wysoki major, 2 oficerowie, których rangi nie widziałem, i ordynans"*. Inni temu zaprzeczają, bądź nie potwierdzają takiego faktu. Ale ten szczegół jest mało istotny wobec sprawy bagażu gen. Włodzimierza Zagórskiego.

PYTANIE NR 4

Gdzie podział się bagaż gen. Włodzimierza Zagórskiego?

Komendant Więzienia Wojskowego w Wilnie, kpt. Zygmunt Tymański zeznał, że gen. Zagórski miał bagaż *„złożony z dwóch walizek i z ręcznej maszyny do pisania"*.

Konduktor Roman Szymkowski:

„Widziałem, jak ordynans wynosił z wagonu kilka pakunków, między nimi 2 walizki żółte, ciężkie i pakunki".

Tragarz Aleksander Radzikiewicz, który bagaż odnosił do przechowalni:

„Rzeczy składały się z następujących sztuk: pled — nieciemny (zresztą nie pamiętam, rodzaj wojskowego koca), maszyna do pisania w futerale blaszanym czarnym, walizka i coś zawinięte w koc".

Doświadczenie uczy, że ludzie obserwujący to samo zjawisko, albo wypadek, albo zestaw różnych rzeczy dostrzegają różnie i często różnią się później w opisie. Zresztą nie ilość bagażu jest tu ważna, a jego zawartość.

Jeśli gen. Włodzimierz Zagórski miał w więzieniu maszynę do pisania, to musiał na niej coś pisać. Co pisał?

Jerzy Rawicz w książce „Generał Zagórski zaginął...", cytuje fragment artykułu „Gazety Warszawskiej" z 14 października 1927 roku:

„Jak wiadomo, generał Zagórski w więzieniu antokolskim opracował do druku swoje pamiętniki. Pamiętniki te generał miał zamiar wydać po zwolnieniu go z więzienia. Byłyby one ogromnie cennym przyczynkiem do poruszonej w ostatniej mowie pana Marszałka Piłsudskiego sprawy obcych agentur. Generał Zagórski, który był oficerem austriackiego sztabu generalnego i stał w czasie wojny blisko osławionej austriackiej K-Stelle, był dobrze poinformowany o tym, kim K-Stelle posługiwała się w Polsce w celach szpiegowskich".

Czy „Gazeta Warszawska" trafiła celnie swoimi przypuszczeniami?

Być może tak, gdyż bagaż zaginął w tajemniczych okolicznościach, a w bagażu spodziewano się znaleźć pamiętniki i inne dokumenty.

Dzierżawca przechowalni na Dworcu Wileńskim Aleksander Kobyłecki — a więc osoba jak najbardziej kompetentna — zeznał, że *„rzeczy te zostały zabrane w jakąś godzinę później również przez numerowego, lecz nie pamiętam którego, zdaje mi się, że to był numerowy"*.

Aleksander Radzikiewicz kwit na rzeczy zostawione w przechowalni wręczył w holu dworca gen. Włodzimierzowi Zagórskiemu. Jak więc ten kwit znalazł się w innych rękach i w czyich?

Kpt. Lucjan Miładowski oświadczył generałowi, że jest wolny i ma się zameldować w Belwederze w poniedziałek lub we wtorek. To samo powtórzył mu już na peronie mjr Zygmunt Wenda. On też — dowiedziawszy się od szeregowca Stefana Wernera, że samochód z Belwederu jest przed dworcem — zaproponował generałowi, że go odwiezie. Generał z propozycji skorzystał. I odjechał sprzed dworca Fordem razem z mjr Z. Wendą, kpt. L. Miładowskim i szoferem Mieczysławem Cemplem.

PYTANIE NR 5

Czy gen. Włodzimierz Zagórski rzeczywiście odjechał tym samochodem, na który wskazują świadkowie?

Jest to pytanie bardzo istotne, jako że przed Dworcem Wileńskim były dwa samochody. Zwrócił na to uwagę szeregowy Mieczysław Cempel, który w zeznaniach powiedział, że dostrzegł auto *„nr ew. 24, mające wówczas nr 125118, zmieniający się co 3 dni"*. Zauważył on też, że przy kierownicy siedział kapitan. Podobne spostrzeżenia zrobił posterunkowy Józef Rudziński, który tego dnia około godziny 19 i później był na służbie przed dworcem.

„...przed dworcem stało auto limuzyna, duże, w bardzo dobrym stanie, koloru, zdaje się ciemnowiśniowego... Z tyłu miało tablicę z numerem typu wojskowego, i to takiego, jak mają auta z Zamku i Belwederu... Przy kierownicy siedział kapitan piechoty, bez płaszcza w normalnym frenczu (nie letnim), na naramiennikach miał numer pułku 2-cyfrowy. Twarz młoda, koło 35—36 lat, bez zarostu lub z małym wąsikiem strzyżonym blond, włosy spod czapki ciemnoblond lub szatyn".

I jeszcze ważny szczegół:

„...zauważyłem jeszcze przed samym odjazdem auto — mówił dalej posterunkowy Józef Rudziński — *że siedziały wewnątrz trzy osoby:*

1. Pan w cywilnym czarnym meloniku, zdaje mi się w palcie, w ogóle ciemno ubrany, lecz szczegółów garderoby nie zauważyłem, twarzy nie widziałem dokładnie, zdaje mi się bez zarostu, może krótki wąsik strzyżony.

2. Oficer w czapce szwoleżerskiej z czerwonym otokiem, rangi i twarzy nie zauważyłem...

3. Drugi osobnik wojskowy, robił wrażenie oficera, choć odznak nie widziałem...

Wszyscy trzej siedzieli na głównym siedzeniu, cywilny w środku między wojskowymi".

Posterunkowy Józef Rudziński dostrzegł coś jeszcze bardziej interesującego:

„Prócz tego auta było przed dworcem drugie auto wojskowe, Ford, malowany na kolor niemieckich mundurów, miał tarcze wojskowe, z tyłu tablica numerowa normalnego typu wojskowego, było całkiem otwarte, gładkie. Auto to przyjechało na jakieś 10 minut przed pociągiem wileńskim, a odjechało przed tamtym dużym autem...

...widziałem, że przed odjazdem kładziono na to auto jakiś bagaż, przyniesiony przez numerowego, jakąś zdaje się walizkę, lecz dobrze nie widziałem...".

I jeszcze ważny szczegół z zeznania szeregowca Mieczysława Cempla:

„Rano 6.VIII., na skutek czyjegoś telefonicznego zarządzenia przygotowywano to auto (które M. Cempel zobaczył przed dworcem, a nie to, którym przyjechał — przyp. W.P.) *dla płk. Długoszewskiego do wyjazdu na manewry. Nie wiem, po kogo ono wyjechało na dworzec. Nie wiem, czy na dworcu ktoś wsiadł do niego, a gdy dojeżdżałem do mostu Kierbedzia minęło mnie to auto na ulicy Zygmuntowskiej tuż przed mostem, jadąc od dworca, za mostem auta tego już nie widziałem".*

Sprawa drugiego auta budziła niemałą sensację. „Gazeta Warszawska" wydała w czwartek 11 sierpnia 1927 roku dodatek nadzwyczajny, gdzie przez całą szerokość kolumny widniał tytuł: *„Zniknięcie „Cadillac'a nr 24"*, a pod spodem: *„Od soboty nie ma o nim żadnej wieści"*. W śledztwie ustalono, że samochód ten został wydany do dyspozycji płk. Bolesława Wieniawy Długoszewskiego, dowódcy 1 Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego i z belwederskiego garażu odstawiony do tego pułku. Ale płk. Bolesław Wieniawa Długoszewski z tego samochodu nie skorzystał, gdyż udał się do Kalisza innym Cadillakiem. Wyjechał spod „Małej Ziemiańskiej" około godz. 16, towarzyszył mu kpt. Władysław Włoskowicz z Lublina, którego spotkał w kawiarni. Pod Kutnem spotkali Józefa Piłsudskiego, z którym chwilę rozmawiali i między godz. 19 a 20 przybyli do Kalisza, kilka minut przed Józefem Piłsudskim. Natomiast drugi Cadillac, ten spod Dworca Wileńskiego, powrócił do belwederskiego garażu dopiero 13 sierpnia 1927 roku.

Endecka ulotka z września 1927 roku sugeruje, że gen. Włodzimierz Zagórski odjechał nie Fordem, a właśnie Cadillakiem:

„Według dalszych zeznań posterunkowego z Dworca Wileńskiego towarzystwo to wsiadło z generałem Zagórskim do samochodu dopiero, gdy dworzec opustoszał. Natomiast znacznie wcześniej opuściło dworzec auto nr W-5141 z kapitanem Miładowskim i niejakim Kowalewskim, osobnikiem o niesłychanie złej opinii, również jednym z komendantów „Strzelca" w Warszawie. Szofer tego auta zeznał, że kapitan Miładowski kazał mu zatrzymać się przed łaźnią Fajansa na Krakowskim Przedmieściu, gdzie „generał Zagórski" wysiadł. Na zapytnie, skąd wiedział, że osobnik, który wysiadł (był to właśnie ów Kowalewski, dość podobny na pierwszy rzut oka do generała Zagórskiego) był generałem Zagórskim, szofer odpowiedział w śledztwie: „bo mnie to powiedział pan kapitan Miładowski".

PYTANIE NR 6

Jeśli gen. Włodzimierz Zagórski wysiadł na Krakowskim Przedmieściu, to co się z nim stało?

Posterunkowy Jan Borkowski i kioskarka Maria Wąsowska zeznali zgodnie, że nie zauważyli, aby we wspomnianym miejscu tego dnia po godzinie 20 zatrzymywało się jakieś auto. Gen. Włodzimierz Zagórski miał zażądać zatrzymania auta u zbiegu Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie mieściła się „Łaźnia Fajansa", a on chciał się wykąpać. Jednak kpt. Władysław Pilecki stwierdził, że w Łaźniach Rzymskich (Fajansa) *„w sobotę, 6 bm. nie widziano osoby odpowiadającej wyglądem i rysopisem gen. Zagórskiemu — osoba gen. Zagórskiego nie jest tam znana"*.

Gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski przepadł jak kamień rzucony w wodę. Szukano go nawet u przyjaciółki gen. W. Zagórskiego Janiny Gołębiowskiej, ale okazało się, że była ona w tym czasie na urlopie.

PYTANIE NR 7

Dlaczego szukano gen. Włodzimierza Zagórskiego?

Powód, dla którego szukano gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego jest bardzo istotny i zaskakujący. Do gen. Józefa Dańca wpłynęło pismo — bez daty, ale płk. Stefan Kaczmarek zanotuje, że *„weszło 11/8/27"* — z gabinetu ministra spraw wojskowych, czyli Józefa Piłsudskiego, podpisane przez szefa tego gabinetu płk. Józefa Becka. Pismo to zaczyna się słowami:

„Proszę Pana Generała o podjęcie urzędowych kroków przeciw gen. bryg. Zagórskiemu Włodzimierzowi, który dopuścił się czynu mającego cechy dezercji".

Dlaczego dezercji?

Płk. Józef Beck to wyjaśnia:

„...zostało mu zakomunikowane przez adiutanta Pana Marszałka, majora Wendę, że ma się stawić do raportu osobistego u Pana Marszałka, jako ministra Spraw Wojskowych. Jako termin raportu wyznaczony był dzień 8 lub 9 sierpnia... Ponieważ do raportu u Pana Marszałka się nie zgłosił ani żadnego adresu swego dotychczas nie podał — zachodzi podejrzenie dezercji, a w każdym razie fakt niewykonania rozkazu najwyższego przełożonego...".

Było to proste rozwiązanie. Skierować śledztwo na takie tory, aby nie można było wyjaśnić, co się naprawdę stało z gen. Włodzimierzem Zagórskim. Został on oskarżony o dezercję i wysłano za nim listy gończe Nie szukano więc winnych jego zniknięcia, bo okazało się, że winnym jest on sam, skoro zdezerterował. I cała Warszawa, ba cała Polska, wiedziała, że to nieprawda.

Ale w piśmie płk. Józef Becka jest jeden godny uwagi szczegół:

„Gen. Zagórski został odwieziony przez majora Wendę i kpt. Miładowskiego z Dworca Wileńskiego pod adres, jaki sam wskazał".

Otóż jest to nieprawda. Wszyscy: mjr Zygmunt Wenda, kpt. Lucjan Miładowski, szeregowiec Mieczysław Cempel zgodnie zeznają, że gen. Włodzimierz Zagórski nie wyraził żadnego życzenia i kpt. L. Miładowski miał wskazywać drogę. Gen. W. Zagórski miał dopiero wyrazić takie życzenie koło ul. Trębackiej na Krakowskim Przedmieściu. Ale stwierdzenie użyte w piśmie podpisanym przez J. Becka miało potwierdzić niejako tezę o dezercji. Bo skoro zawieziono go tam, gdzie chciał, to nigdzie nie zaginął, tylko wiedział, co robi.

Jak próbowano wyjaśnić tajemnicę zaginięcia gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego? O tym następnym razem.

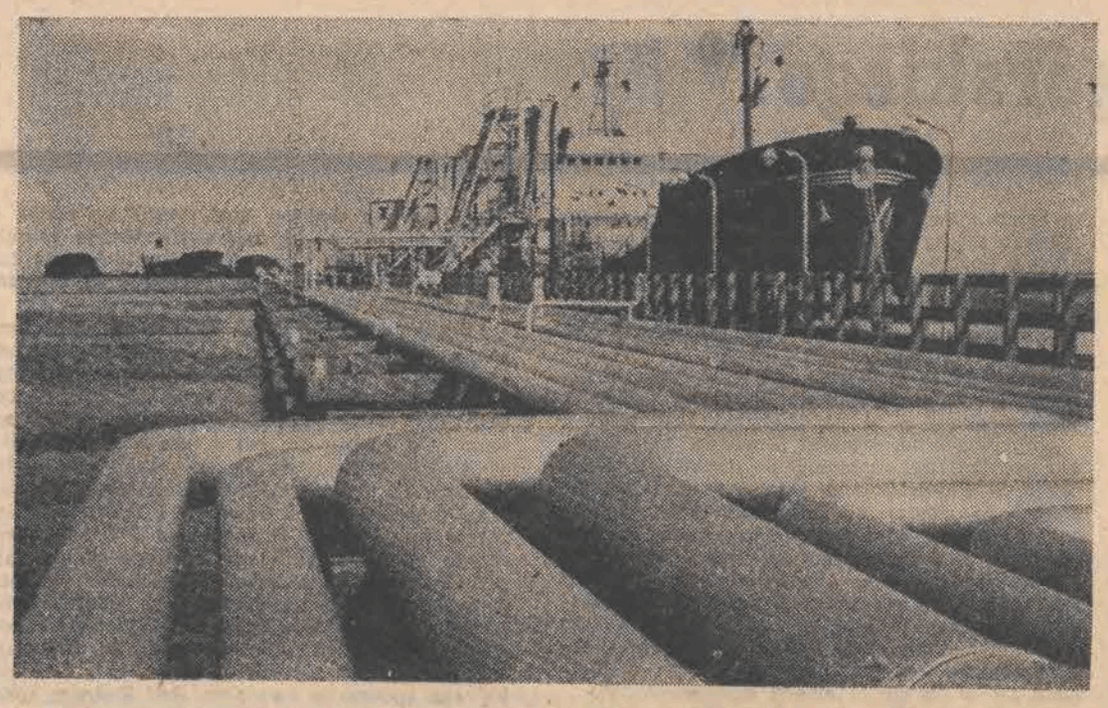

Czy koniec kryzysu energetycznego?

Dokończenie ze strony 1

i w Japonii. Z pewnością zmniejszenie zapotrzebowania na paliwa opałowe odgrywa pewną rolę. W rzeczywistości jednak decydujące znaczenie mają dwa czynniki: nadal trwający zastój w gospodarce światowej oraz duża efektywność programów oszczędnościowych w zużyciu paliw płynnych. Za tym ostatnim przemawia fakt, że podczas gdy w ciągu minionych dwu lat zużycie energii w skali światowej zmniejszało się rocznie o 2-3 proc., to zużycie ropy naftowej spadało przeciętnie o 6 proc. rocznie. W USA dzienne zużycie ropy zmniejszono o 2 mln baryłek, co równa się jednodniowemu zapotrzebowaniu Francji.

towego niewypłacalność dłużników — członków OPEC.

Jeśli tendencja spadkowa cen ropy potrwa przynajmniej dwa, trzy lata, gospodarka światowa otrzyma impuls do szybszego wzrostu produkcji. Mogłoby to w pewnej mierze przyczynić się do przełamania obecnego kryzysu. Ale też wraz z tym wzrostem produkcji zwiększać się będzie zapotrzebowanie na ropę, a to z kolei może wpływać na podwyżkę cen tego paliwa.

W związku z potanieniem ropy, a jednocześnie utrzymywaniem się na niezmiennym pułapie cen artykułów przemysłowych i żywności, zyskałyby, jak twierdzi się w niektórych krajach eksportujących ropę, wyłącznie państwa wysoko uprzemysłowione. Znów więc — ich zdaniem — zostałby poszkodowany ubogi Trzeci Świat.

W sferze politycznej kraje rozwijające się i eksportujące

wobec różnych i sprzecznych interesów jej członków, udaje się zachować jedność poglądów w zasadniczych sprawach. Tym jednak co okrywało rysy w kartelu naftowym była cena ropy — zawsze, po krótszych czy dłuższych dyskusjach, osiągano tu zgodę.

Ale wreszcie doszło, bo dojść musiało, do różnicy stanowisk nawet i w tej tak podstawowej sprawie. Na to rozdarcie w OPEC składa się wiele czynników. Najważniejsze wiążą się z obecną, bardzo zróżnicowaną sytuacją gospodarczą poszczególnych krajów członkowskich.

Nie ulega wątpliwości, że Arabia Saudyjska, Abu Dabi, Katar, Kuwejt i Libia wykazują najmniejsze zainteresowanie, spośród wszystkich krajów OPEC, zwiększaniem swych wpływów z eksportu ropy. Zasoby finansowe tych państw są bowiem duże, a z drugiej strony możliwości ich wykorzystania — ograniczone. Wiąże się to głównie z małym potencjałem ludnościowym (łącznie wymienione kraje posiadają 12 milionów mieszkańców) a także z pewnymi uprzedzeniami do szybkiej industrializacji. Dysponując 65 proc. rezerw ropy w całej organizacji patrząc w przyszłość, te państwa wolałyby, drogą ograniczeń w ilości wydobywanej ropy, utrzymywać jej cenę na mniej więcej stałym poziomie.

W odmiennej sytuacji znajdują się Wenezuela, Algieria i Irak, liczące 70 mln. ludności. Szybko wyczerpują one swoje zasoby naftowe, ale równocześnie posiadają już tak rozwiniętą infrastrukturę, że mogą spożytkować wielkie sumy. Zresztą opracowano już i realizuje się plany rozbudowy przemysłu oparte na wysokich dopływach petrodolarów. W interesie tej grupy leży więc utrzymywanie wysokiego poziomu ceny ropy poprzez ograniczanie jej produkcji w krajach posiadających największe zasoby tego paliwa.

I wreszcie grupa trzecia, którą tworzą Indonezja i Nigeria. Obydwa kraje liczące 200 milionów mieszkańców i posiadające ułamek rezerw naftowych OPEC, mają ogromne potrzeby finansowe — zaciągnęły już wielkie pożyczki na konto przyszłych wpływów z eksportu ropy.

Poza sprawami gospodarczymi istotną rolę w sporze odgrywają czynniki polityczne, a przede wszystkim prestiżowo-polityczne. Jak wiadomo w czasie panowania w Iranie szacha, państwo to miało aspiracje wybić się na mocarstwo; jego dominacja w Zatoce Perskiej nie była przez nikogo kwestionowana. Rewolucja Chomeiniego i chaos jaki powstał w tym kraju, dały okazję Arabii Saudyjskiej do objęcia roli przywódcy w tym roponośnym rejonie. Iran, który też z racji swej historii miał wysoki autorytet i który cieszył się powszechnym uznaniem wszystkich członków OPEC, pragnie teraz ponownie odzyskać swą pozycję, a co najmniej stać się współprzywódcą OPEC. Arabia Saudyjska widzi możliwość pohamowania Iranu poprzez znaczne ograniczenie poziomu wydobycia ropy w tym kraju.

Wskutek tych i innych różnic w OPEC, od lipca ub. roku trzy kolejne konferencje organizacji (w lipcu, grudniu i styczniu br.), nie mogły osiągnąć porozumienia w kwestiach: po pierwsze — utrzymać czy obniżyć obowiązującą cenę wskaźnikową ropy, która wynosi 34,5 dolara za baryłkę, po drugie — jaki ma być ogólny poziom wydobycia ropy w krajach członkowskich organizacji i po trzecie — w jakiej wielkości (kwocie) powinni wydobywać ropę poszczególni jej producenci.

Sprawa ta tym bardziej nie cierpiała zwłoki, że niektóre kraje OPEC poczęły, wbrew poprzednim ustaleniom, obniżać cenę ropy bądź zwiększać jej poziom wydobycia, lub nawet łącznie czynić jedno i drugie. Tak na przykład Iran nie przestrzegając wyznaczonego mu limitu 1,2 miliona baryłek dziennie, zwiększył wydobycie do 2 milionów i zapowiedział osiągnięcie poziomu 3 milionów baryłek. Podobnie wyłamały się z ustalonych kwot Libia i Wenezuela. W ostatnim też czasie kraje te zaczęły obniżać cenę swej ropy, aby przyciągnąć nowych jej nabywców.

Znamienne dla kryzysowej sytuacji OPEC były przyczyny zerwania ostatniej nadzwyczajnej konferencji w Genewie. Największy producent ropy, Arabia Saudyjska, domagała się od afrykańskich krajów — członków tej organizacji tj. Libii, Nigerii i Algierii, by sprzedawały swoją ropę po cenie co najmniej o 3 dolary wyższej od ceny ropy arabskiej lekkiej uznawanej za wskaźnikową cenę kartelu (34 dolary za baryłkę). Obecnie oficjalnie ropa afrykańska kosztuje około 35,5 dolara za baryłkę. Od ustępstw afrykańskich krajów OPEC w tej sprawie Arabia Saudyjska uzależniła swoją zgodę na nowy system kwot produkcyjnych, w myśl którego musiałaby ograniczyć swoje wydobycie ropy naftowej. Projekt takiego systemu był już podobno wstępnie uzgodniony w pierwszym dniu obrad. Ministrowie przystali w zasadzie również na obniżenie całkowitego pułapu wydobycia OPEC do 17,5 mln baryłek dziennie. Jednak wobec nieprzejednanego stanowiska krajów afrykańskich i Arabii Saudyjskiej, popieranej przez arabskie kraje Zatoki Perskiej w sprawie ceny ropy afrykańskiej, uczestnicy konferencji nie osiągnęli porozumienia w żadnej istotnej kwestii.

* * *

Zachód, jak wynika z wielu opinii, woli jednak stabilizację niż krótkotrwałe uroki jakie niesie spadek cen na ropę. Wybitni eksperci rozważający różne scenariusze na przyszłość prorokują jednak wzrost cen ropy. Ich zdaniem w ciągu najbliższych 20 lat ropa będzie nośnikiem spinającym światowe bilanse energetyczne i gdy tylko nastąpi ożywienie gospodarki, zacznie rosnąć cena tego paliwa.

Sądzi się, że powrót do stopy wzrostu gospodarczego w wysokości 3 procent jest konieczność. W krajach uprzemysłowionych jest to niezbędne choćby dla likwidacji bezrobocia, a w krajach rozwijających się, aby uniknąć sytuacji, w której przyrost ludności będzie przewyższał spadek i tak już niskiej stopy życiowej.

Nie ma też realnych szans na to, aby w okresie dwu najbliższych dziesięcioleci ropa została zdegradowana jako podstawowe paliwo. Kapitał wkładany w rozwój innych nośników energii, zapewniających równocześnie lepszą wydajność, może zaprocentować dopiero po upływie dłuższego czasu. W interesie też państw, które zdecydowały się podjąć wielkie inwestycje nienaftowe wcale nie leży niska cena ropy. Nie ma obawy! — zapewniają jednak eksperci. Naturalne zasoby ropy są na wyczerpaniu i spadek cen tego paliwa jest tylko przejściowy.

Kryzys energetyczny, choć niektórzy bagatelizują go, wcale się nie skończył. Nie ma też podstaw do odczytywania schyłku OPEC. Meandry w polityce cenowej ropy są sprawą naturalną, wszelki natomiast optymizm wypływa tylko z pozbawionych podstaw spekulacji.

HENRYK SROCZYŃSKI ■

Ponad połowa znanych w świecie rezerw ropy znajduje się na 33 największych polach naftowych. Każde z nich zawie a co najmniej 5 miliardów baryłek ropy.

Dwadzieścia pięć tych pól znajduje się na Bliskim Wschodzie.

Wykrywalność wielkich pól naftowych spada z każdym dziesięcioleciem. W latach 60 zlokalizowano osiem superwielkich pól naftowych oraz pięć potencjalnych wielkich pól. W latach 70 wykryto tylko dwa wielkie superpola.

Największym wydarzeniem, które poważnie zaważyło na „geografii pól naftowych" stało się odkrycie superwielkiego pola naftowego u wybrzeży Meksyku. Pole to, zwane Chicintepec, rozciąga się w pasie długości 125 km i szerokości 28 km, a zawiera według szacunków co najmniej 120 miliardów baryłek ropy.

Obecnie, jeśli chodzi o najbogatsze w ropę kraje, to ich zasoby szacuje się następująco: Arabia Saudyjska — 150 miliardów baryłek, Meksyk — 120 miliardów, ZSRR — 78, Kuwejt — 67 i Iran — 63.

Amerykański tygodnik „HARPER'S", opisując jak Arabia Saudyjska doszła do ogromnego bogactwa, stwierdza na wstępie, że pierwszymi, którzy dostarczali temu krajowi oleiu skalnego do oświetlania domów byli Amerykanie. Przedsiębiorstwo naftowe z Pensylwanii sprzedawało Arabom ropę po 6,50 dolara za baryłkę i zarabiało na tym rocznie 325 tys. dolarów.

Głównym źródłem wpływów gotówki do skarbca królewskiego były wówczas w Arabii Saudyjskiej podatki pobierane od każdego muzułmanina przybywającego z pielgrzymką do Mekki. Kiedy jednak w latach Wielkiego Kryzysu liczba pielgrzymów spadła kilkakrotnie i skarbiec był prawie pusty Arabia Saudyjska zaczęła poszukiwać takich dostawców ropy, którzy sprzedawaliby ją na kredyt. I wówczas właśnie zgodził się na to Związek Radziecki (zamówiono w tym kraju 24 tys. baryłek ropy) i... Polska. Obydwa też kraje wyparły Amerykanów.

Ale wkrótce Ibn Saud zgodził się na amerykańską propozycję by rozpocząć poszukiwania ropy w tym kraju. Przyjmując też bardzo wysoką na owe czasy opłatę za eksploatację ropy na okres 66 lat władca Arabii Saudyjskiej był przekonany, że udało mu się wyprowadzić Amerykanów w pole. Szybko też wziął pieniądze, obawiając się, by wcześniej nie odzyskali zmysłów. Do ministra finansów miał powiedzieć: „Ufaj Allachowi i podpisuj..."

Następstwa gwałtownego spadku cen na ropę mogą być wielorakie. Zagraża to przede wszystkim istnieniu samej organizacji OPEC. Wobec gry ekonomiki rynkowej, niektóre państwa, zwłaszcza posiadające znaczne zadłużenia, mogą zejść znacznie poniżej ustalonych cen. Byłaby to sytuacja, w której każdy ratuje się jak może. Meksyk, Wenezuela i Nigeria, które zaciągnęły ogromne długi w międzynarodowych bankach (już dziś długi te muszą być częściowo renegocjowane) znalazłyby się w krzywdzącym położeniu. Bankierzy zachodni doradzając krajom OPEC utrzymywanie sztywnych cen zawsze argumentują to niebezpieczeństwami, jakie niesie dla światowego systemu walutowego ropę uważają, że przełamanie kartelu OPEC odebrałoby Trzeciemu Światu ważną kartę przetargową w rozgrywce z potęgami kapitalistycznymi. Na marginesie trzeba jednak powiedzieć, że już od 1981 r. w krajach zachodnich wydobywa się więcej ropy niż w państwach OPEC. Złożyło się na to zwiększenie produkcji ropy na Alasce, w Meksyku, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Egipcie, Omanie, Angoli i na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

SPÓR

Obecny kryzys w OPEC jest rozdziałem długiej historii. Już w dniu bowiem, gdy powstała ta organizacja, wątpiono czy

Falklandy po wojnie

Kiedy samolot tankujący robi zwrot w tył i odlatuje wprost we wschodzące słońce, zaś „Hercules" po karkołomnym locie powraca do pozycji horyzontalnej, w sercu starszej pani wzbiera patriotyzm. Irena Reeve z rozmachem uderza drugiego pilota lewą ręką w ramię i podtykając mu pod nos prawicę, z uniesionym do góry kciukiem woła, przekrzykując szum silników:

— Well done Captain! Anglia potrzebuje takich ludzi, jak pan!

Potem, po aluminiowej drabince schodzi do ładowni, skąd przeciskając się między workami z pocztą i leżącymi żołnierzami gramoli się na swoje miejsce na składanym krzesełku w ogonie samolotu. Jeszcze tylko sześć godzin lotu do Port Stanley.

Babcia Reeve jest pierwszą kobietą na moście powietrznym między Wielką Brytanią a Falklandami. Jest żywym zaprzeczeniem twierdzenia dowództwa RAF, które uważa, że trudom dwudniowej podróży na pokładzie „Herculesa" sprostać mogą tylko mężczyźni. W Wielkiej Brytanii jest więcej „żelaznych dam", niż się powszechnie sądzi.

Powietrzny „rajd safari" między Anglią a Falklandami to operacja równie podniecająca, jak kosztowna. Pierwszych 7 tys. kilometrów z bazy lotniczej Brize Norton w południowej Anglii do Wyspy Wniebowstąpienia na południowym Atlantyku z lądowaniem w Senegalu to jeszcze drobiazg. Najkosztowniejsza część całej przygody zaczyna się w momencie startu z Wyspy Wniebowstąpienia: aby wielki samolot transportowy „Herkules" mógł przebyć pozostałą część trasy, potrzebuje pomocy aż czterech innych samolotów. Ponieważ warunki atmosferyczne na Południowym Atlantyku trudno z góry przewidzieć, w zbiornikach „Herkulesa" musi się znajdować dostateczna ilość paliwa, aby po 14-godzinnym locie non stop, w razie niemożliwości lądowania w stolicy Falklandów — Port Stanley, maszyna mogła powrócić na Wyspę Wniebowstąpienia. W tym celu w drodze na Falklandy wielki transportowiec dwukrotnie musi pobierać paliwo w powietrzu. Nie jest to przesadna asekuracja, przypadki konieczności zawrócenia znad Port Stanley już się w minionych miesiącach niejednokrotnie zdarzały.

Aby z zimną krwią obserwować z kokpitu przebieg tankowania w powietrzu, trzeba mieć nerwy tak silne, jak starsza pani Reeve: ponieważ różnica między najwyższą szybkością, jaką może rozwinąć „Hercules", a najmniejszą szybkością lotu maszyny tankującej wynosi równo 100 km na godz., szybkość „Herculesa" musi zostać sztucznie zwiększona. W tym celu pilot wznosi się na wysokość 25 tys. stóp, a następnie rozpoczyna kontrolowany lot nurkujący. Podczas gdy ciężka maszyna spada ku powierzchni morza z szybkością zbliżoną niemal do szybkości dźwięku, z brzucha tankowca mknącego ponad nią w odległości kilku zaledwie metrów spływa do jej zbiorników świeże paliwo. Cały ten manewr trwa dobrych 8 minut i kończy się tuż nad samą wodą tak, że siedzący w kokpicie mogą gołym okiem dostrzec pianę na grzbietach fal.

„Hercules" rozpoczyna sztafetę o 3.40 z Wyspy Wniebowstąpienia. W godzinę później z tego samego lotniska startuje pierwszy tankowiec „Victor". O 8.00 jego przewód paliwowy zostaje podłączony do otworu zbiornika transportowca. Po przekazaniu paliwa, „Victor" zawraca na macierzyste lotnisko. Tymczasem z Wyspy Wniebowstąpienia zdążyły już wystartować dwa kolejne tankowce. Po trzech godzinach lotu tankowiec nr 3 uzupełnia własne paliwo ze zbiornika tankowca nr 2, który po tej operacji zawraca na lotnisko. Tankowiec nr 3 dogania „Herculesa" o 11.30. Znów napełniają się zbiorniki transportowe, po czym również „Victor" nr 3 powraca na lotnisko. Tymczasem z Wyspy Wniebowstąpienia wystartował tankowiec nr 4, aby uzupełnić paliwo „trójki", która inaczej nie zdołałaby dolecieć do macierzystego lotniska. Cała operacja kosztuje Royal Air Force blisko 200 tys. funtów szterlingów.

CZY WYSPY FALKLANDZKIE SĄ WARTE TAK OLBRZYMICH WYDATKÓW!

Pani Reeve nie ma wątpliwości. Jeszcze 10 lat temu mieszkała ona na Falklandach. Teraz leci, aby uregulować w Port Stanley pewne sprawy spadkowe i spędzić święta ze starymi znajomymi. Później zobaczy, co dalej.

— Falklandy to najcudowniejsze miejsce na ziemi — mówi starsza dama.

Szeroka opinia publiczna skłania się jednak raczej do tego, co z górą 200 lat temu napisał o Falklandach pisarz Samuel Johnson, a co w znacznym stopniu potwierdziło doświadczenie brytyjskich żołnierzy, którzy w maju 1982 roku wylądowali na wyspach:

„Jest to kraj nieprzychylny człowiekowi, kraj, który w zimie wydany jest na pastwę wichrów, a latem zamienia się w pustynię".

Jednakże ta opinia jest tak samo jednostronna, jak entuzjazm pani Reeve. Samuel Johnson nigdy nie był na Falklandach, zaś żołnierze Królewskiej Gwardii Walijskiej oglądali „brytyjską Syberię" — jak nazywają wyspy — raczej z perspektywy zimowych okopów. Nie widzieli łagodnych, zielonych wzgórz, na których w lecie rozkwitają żółtawym kwieciem krzewy janowca i prześwieca rdzawoczerwony step, nie widzieli słonecznych, pokrytych białym piaskiem plaż, na północno-wschodnim wybrzeżu Falklandu Wschodniego, na których odbywają się gody pingwinów.

Nie, Wyspy Falklandzkie nie są tak okropne, jak można by sądzić z zimowych wrażeń żołnierzy i podróżników. Chociaż — oczywiście — powodem, dla którego Wielka Brytania tak zażarcie broni tej swojej subantarktycznej posiadłości, bynajmniej nie są jej piękne zielone łąki, bowiem wiadomo, że bez wielkiego żalu wyrzekła się wielkich obszarów kontynentów znacznie piękniejszych i znacznie bardziej zielonych

— Jakim rajem były Falklandy, zrozumieliśmy dopiero teraz, kiedyśmy go utracili — mówi nauczyciel John Leonard, który wraz z żoną Margaret przyjechał tu z Nowego Jorku w poszukiwaniu „sensu życia". Było to w roku 1972, na długo przed tym, zanim tego rodzaju „powrót do natury" stał się modny w amerykańskim społeczeństwie. — *Podział pracy jest tutaj słabo rozwinięty* — opowiada Leonard. — *To, czego ci potrzeba do życia, musisz wyprodukować sam. Musisz sam wyhodować sobie warzywa do garnka i osobiście załatać dach, jeśli przecieka. Sam też musisz nakopać sobie torfu na opał. Nie ma fryzjera, nie ma szewca, nie ma grubej książki telefonicznej...*

John odkrył w sobie zalety, których istnienia mieszkając u siebie, na Manhattanie, nawet nie podejrzewał. W normalnych czasach („ale teraz czasy nie są normalne" — zastrzega) był gotów pozostawić pełny portfel na kilka dni na ławce przed knajpą w Port Stanley i jest absolutnie pewny, że nikt nie ruszyłby z niego nawet pensa.

— Zaufanie do ludzi, to cecha, którą stępiła cywilizacja — mówi.

Przez pierwsze miesiące John pracował przy strzyżeniu owiec. Potem udało mu się dostać posadę nauczyciela. Dwa, lub trzy razy do roku objeżdża konno fermy owcze w głębi wyspy, aby poprawiać ćwiczenia swoich uczniów i zadać im nowe. Współżycie z tubylcami nie od razu układało się Johnowi dobrze. Ich poglądy na oświatę i kulturę są bardzo nienowoczesne — wzdycha.

Brytyjczycy żyjący w diasporze są jeszcze bardziej wyspiarscy, a przede wszystkim — bardziej brytyjscy, niż ci, którzy zamieszkują Wielką Brytanię. Są bardzo sztywni i nieprzystępni. Stale też żyją w obawie, że zostaną przez macierzysty kraj zdradzeni. Jest to zjawisko podobne do tego, jakiemu ulegają Niemcy w Afryce południowozachodniej i Francuzi na Martynice.

BRYTYJCZYKÓW Z FALKLANDÓW ODRÓŻNIA

od ich północnoatlantyckich rodaków — poza wysoko rozwiniętym poczuciem miłości ojczyzny — także odporność fizyczna, a przede wszystkim specyficzny zapach. Ów „zapach wodorostów" („kelper's smell" — jak nazywają go znawcy), zdaniem przyjaciół Falklandów wiąże się z wszechobecnym dymem z pieców torfowych, zaś ludzie im niechętni wspominają w tym miejscu o... długich wełnianych kalesonach, które mieszkańcy wysp dziedziczą rzekomo z pokolenia na pokolenie.

Zdaniem Tomy'ego Chatera i jego żony Anny, którzy 10 lat temu przybyli tu z Croydon, nigdzie indziej nie jest tak dobrze być Brytyjczykiem.

— W żadnym innym miejscu na ziemi Brytyjczyk nie może żyć swobodniej i bardziej indywidualnie, nie rezygnując z brytyjskiego stylu życia — mówi Tomy. Jego zdaniem właśnie tutaj kwitnie prawdziwa cywilizacja.

Jednakże na tym wzorcowym obrazie brytyjskiego świata pojawiły się ostatnio rysy. A winna temu jest wojna. Szczególnie bolesne są szkody, jakich dokonała ona w dziedzinie stosunków międzyludzkich. Wojna nauczyła mieszkańców wysp rozróżniać „dobrych" i „złych" patriotów; źli patrioci, to ci Falklandczycy, którzy w obawie przed Argentyńczykami opuścili swoje domy i uciekli w głąb wyspy. Dobrzy patrioci, to tacy ludzie, jak np. spiker lokalnej rozgłośni, Patrick Watts, który wprowadzał w błąd Argentyńczyków, nadając zmyślone meldunki radiowe, tak długo, aż odcięto mu dopływ prądu; jak lokaj gubernatora Rexa Hunta, Don Bonner, który odmówił swych usług argentyńskiemu gubernatorowi i — wprawdzie bezskutecznie, ale z poświęceniem — bronił przed nim stołowych sreber; albo jak właściciel fermy mleczarskiej, Malcolm Ashworth, który własną piersią bronił żołnierzom argentyńskim wstępu do swojej obory. Linia podziału przebiega przez całe społeczeństwo, nawet przez boisko szkolne w Port Stanley, gdzie dzieci „patriotów" nie chcą się bawić z dziećmi „zdrajców".

Do uczestników ruchu oporu w szerszym tego słowa znaczeniu zalicza siebie również gubernator Rex Hunt. Odmówił podania ręki dowódcy argentyńskiej konkwisty, kiedy deportowano go do Montevideo. Gdy sir Rex swoją słynną taksówką z proporczykiem gubernatorskim na masce przejeżdża ulicami Port Stanley, to czuje się trochę tak, jak de Gaulle po wyzwoleniu Paryża anno 1944.

Podział społeczeństwa zapewne z czasem się pozacieka, znacznie groźniejsze są

INNE SKUTKI WOJNY

Argentyńczycy zaminowali duże obszary wyspy; o tak niegdyś popularnych wycieczkach do kolonii pingwinów, piknikach nad zatoką Rookery, nie może być mowy przynajmniej przez wiele lat. Miną lata zanim dzieci będą mogły znów zbierać dzikie poziomki na wrzosowiskach. Obecne pokolenie Falklandczyków nie będzie już także nigdy spacerować po białych plażach w pobliżu Port Stanley, morze wypłukuje bowiem z piasku wciąż nowe miny. A w czasie najbliższej zimy wielu mieszkańców Falklandów będzie musiało palić w piecach importowanym węglem, nikt bowiem chyba nie odważy się kopać torfu. Saperzy oczyścili wprawdzie „korytarze" na polach minowych, ale na torfowiskach zalega jeszcze tysiące min.

Najgroźniejsze są małe włoskie miny plastykowe, których nie można zlokalizować za pomocą aparatury saperskiej, ponieważ nie zawierają w ogóle metalu. Tysiące ich są rozsiane po całej wyspie. „Korpus weterynaryjny Armii Królewskiej" obiecał dowódcy saperów, majorowi Quinnowi, kilkanaście owczarków niemieckich specjalnie tresowanych do wykrywania niemetalicznych środków wybuchowych. Przysłano już nawet trzy tony specjalnych konserw, aby mieć czym karmić owych czworonożnych pomocników. Tylko psów jakoś nie widać...

Działający na Falklandach saperzy sceptycznie odnoszą się również do innych pomysłów londyńskich ekspertów w kwestii rozwiązania problemu rozminowania wysp, jak np. do projektu usunięcia całej wierzchniej warstwy ziemi wraz z zawartymi w niej minami za pomocą... spychaczy. W odpowiedzi na tę propozycję, mjr Quinn oddepeszował krótko: „Wspaniały pomysł. Przyślijcie spychacze i... kierowców".

Najdotkliwiej zaminowanie wyspy odczuł Claude Molkenbuhr. Jego ferma owcza leży w samym środku zaminowanego obszaru w Green Patch, na północno-wschodnim cyplu Falklandu Wschodniego. Obecnie może on wykorzystywać zaledwie 20 proc. swoich pastwisk. Na pozostałych 80 proc. miny zalegają tak głęboko, że od końca wojny Molkenbuhr stracił już ponad 1000 owiec. Z 70 szt. bydła zostało mu już tylko 14. Część zarżnęli żołnierze argentyńscy, większość została rozerwana przez miny. Ofiarą eksplozji padło także 6 spośród jego 14 koni oraz kucyk „Pink", którego syn Claude'a, Lee, wykarmił butelką.

Claude Molkenbuhr uważa się za „selfmademana". Takich jak on nie ma zbyt wielu na Falklandach. Większość mieszkańców wysp to epikurejczycy o iście śródziemnomorskim podejściu do czasu i pieniądza. Nie odznaczają się także zbytkiem inicjatywy. Nawet dorsze sprowadza się tu z Anglii, podczas gdy na łowiskach wokół Falklandów uwijają się trawlery polskie i radzieckie. Claude Molkenbuhr przez przeszło 25 lat pracował jako postrzygacz owiec w „Falkland Island Company". Potem za zaoszczędzone pieniądze kupił fermę Murrella — 10.800 akrów (4370 ha) ziemi za 14 tys. funtów szterlingów. Później okazało się, że było co najmniej o 2 tys. akrów więcej. Ale pastwiska w tej okolicy — nawet nie zaminowane — nie są wiele warte. Dla jednej owcy potrzeba co najmniej trzy akry trawy. W Goose Green, gdzie ma swoje pastwiska FIC, sytuacja jest dokładnie odwrotna.

Saperzy zrobili poprzez pastwiska Molkenbuhra coś w rodzaju przesieki w polach minowych, aby mógł on przynajmniej dostać się do Port Stanley. Dom mieszkalny na farmie po dwóch tygodniach kwaterowania w nim żołnierzy argentyńskich, prawie nie nadawał się do zamieszkania. Większa część pastwisk w ciągu najbliższych kilku miesięcy także nie będzie zdatna do użytku. Ale Claude Molkenbuhr nie chce porzucić tego, na co ciężko pracował przez 25 lat. W przeciwieństwie do Margaret Thatcher zrozumiał, co generał Menendez miał na myśli, gdy opuszczając Falklandy powiedział:

— Anglicy będą musieli drogo zapłacić za to swoje zwycięstwo.

Starszy sierżant Ronnie Hadie z brygady Królewskich Strzelców Górskich także to rozumie. Hadie lata co rano śmigłowcem „Gazelle" nad pastwiskami i dobija z powietrza ranne owce i krowy, które w nocy weszły na miny.

— Parszywe zajęcie — narzeka. — *Przybyłem tu, żeby strzelać do Argentyńczyków, a czym jestem?* — przeklętym mordercą krów i baranów!

O mdłości przyprawia go częsty widok wychudzonego cielęcia usiłującego ssać wymię rozkładającego się trupa matki.

— To naprawdę parszywe zajęcie!

ŻOŁNIERZE BRYTYJSCY NIE CZUJĄ SIĘ DOBRZE NA FALKLANDACH

Czują, że są tutaj tylko tolerowani.

— Wyzwoliliśmy Falklandy z rąk Argentyńczyków — burczy Andrew, zwany „Kangurem" z eskadry „Harrierów" stacjonujących w Gueterloh. — *Wyzwoliliśmy ich, ale widzimy, że oni nas nie lubią. Traktują nas jak swego rodzaju okupantów, a my nawet nie możemy się za to na nich odegrać.*

Jest to rozterka, którą cierpią wszyscy — zarówno żołnierze, jak tubylcy. Jak wykazała ankieta, przeprowadzona przez BBC, 95 proc. mieszkańców Falklandów aprobuje odzyskanie siłą wysp z rąk Argentyńczyków. Również obecność armii w czasie pokoju ma swoje zalety: poczta do Anglii idzie zaledwie tydzień, a nie trzy miesiące, jak kiedyś, podobnie, jak — z powrotem — londyńskie gazety. Pobyt wpływa stymulująco na gospodarkę falklandzką: otwarto już nawet dwa nowe kioski z hamburgerami. A ponieważ armia przywiozła ze sobą szewca, wyspiarze nie muszą już — jak dawniej — wysyłać butów do naprawy aż do Montevideo.

Jednakże postęp ma też swoją cenę. „Merry Old England" — owa bukoliczna samotnia na końcu świata bezpowrotnie odeszła w przeszłość. Ulice i drogi zatłoczone są jeepami i ciężarówkami wojskowymi. W godzinach szczytu „Phantomy" i „Harriery" przelatują tak nisko nad Falklandem Wschodnim, że aż falują wrzosowiska.

Mieszkańcy Falklandów bardzo się starają okazywać wdzięczność. Kiedy Królewscy Strzelcy Górscy przy akompaniamencie orkiestry kobziarzy defilują przez Port Stanley, całe miasto wylega na ulice i klaszcze. Niemniej dyrekcja „Hotelu Rose" podzieliła swój bar drewnianym przepierzeniem na dwie części, aby oddzielić żołnierzy od cywilów — nie raz już dochodziło tu do awantur. Na napięcia między wyzwolicielami a wyzwolonymi niemały wpływ ma również element męsko-damski, a ściślej biorąc arytmetyczne proporcje między Falklandczykami obu płci. Na 1800 mieszkańców wysp, jest tam obecnie zaledwie 26 niezamężnych dziewcząt i młodych kobiet w wieku od 20 do 30 lat. Falklandzcy kawalerowie żyją w ciągłym strachu, że dzielni żołnierze sprzątną im sprzed nosa ostatnie kandydatki do małżeństwa. Nie są to obawy bezpodstawne.

Już przedtem, kiedy na wyspach stacjonowało tylko 43 marynarzy, traciliśmy co roku 2—3 dziewczyny — mówi gubernator Hunt. — *Jak mamy się rozmnażać?*

Wprawdzie dowódca sił zbrojnych przyrzekł mu solennie, że będzie krótko trzymał swoich chłopców. Ale widoki na przywrócenie równowagi płci na Wyspach Falklandzkich są znikome. Od czerwca wyspy opuściło już 6 dziewczyn. Nawet jedyna falklandzka prostytutka wyjechała do Anglii.

Bywalcy baru w Hotelu „Rose" uważają, że jednym z nie mniej istotnych powodów wyjazdów kandydatek do małżeństwa są niewybredne dowcipy, opowiadane przez Anglików na temat seksu Falklandczyków.

— Anglicy oczerniają nas i ośmieszają w ohydny sposób, dlatego dziewczyny od nas uciekają — mówi jeden z nich. Inni kiwają potakująco głowami.

Kapral Anderson, zwany „Sharky" („Rekinek"), zapewnia, że sztab generalny interesuje się bardziej życiem miłosnym pingwinów, niż seksem Falklandczyków. „Sharky" ma tu na myśli jeden z rozkazów dziennych, w których generał David Thorne, dowódca armii lądowej, wzywa żołnierzy, by nie niepokoili lokujących pingwinów. Pełnomocnik do spraw ochrony zwierząt, major John Chartiers z Królewskiego Pułku Szkockiego, odkomenderowany przez dowództwo do ochrony tych śmiesznych ptaków, twierdzi mianowicie, iż ustalił, że

PINGWINY KRÓLEWSKIE CIERPIĄ

na zaburzenia seksualne, od czasu, gdy są bez przerwy straszone warkotem helikopterów i kanonadą z karabinów maszynowych ćwiczących jednostek. Gen. Thorne polecił więc swoim ludziom, by w przyszłości podczas ćwiczeń utrzymywali większy dystans od oddających się miłosnym igraszkom pingwinów. Tych, którzy zlekceważą ten rozkaz obiecał „karać osobiście z całą surowością".

Odrobina świeżej krwi bardzo by się ludności Falklandów przydała. Od 50 lat liczba mieszkańców wysp systematycznie maleje. Spośród 8 tys. nowych mieszkańców, których premier Margaret Thatcher zamierza osiedlić na wyspach, jak dotąd nie przybył jeszcze ani jeden. Natomiast wielu Falklandczyków zdecydowanych jest wyniesć się stąd. Nie zostaną na Falklandach z pewnością także Bill i Barbara Curtisowie, którzy mieszkają tutaj zaledwie od roku. *Przyjechali tu z Kanady*, jak mówi Bill — *szukali jakiegoś możliwie najbardziej zapadłego zakątka na Ziemi, gdzie nie zagrażałoby niebezpieczeństwo wojny. I trafili akurat na Falklandy.*

Falklandzki raj, tak czy inaczej, należy już do przeszłości. Jako część Wielkiej Brytanii — czy to jako kolonia, czy nawet mając autonomię — te wietrzne wyspy mogą egzystować wyłącznie w warunkach obecności silnego garnizonu wojsk brytyjskich. Generalicji bardzo to odpowiada. Falklandy są idealnym poligonem, zwłaszcza wyspa zachodnia, prawie wcale nie zaminowana i dość rzadko zaludniona (jeśli nie liczyć pingwinów — podopiecznych generała Thorne'a). Jednakże mieszkańcy Falklandów nie mają ochoty zgodzić się na przekształcenie swoich wysp w poligon wojskowy.

— Potrzeba nam inwestycji i więcej ludzi — mówi wydawca gazety *PENGUIN-NEWS*, Graham Bound.

Jeśli chodzi o inwestycje, to kraj macierzysty nie wykazuje zbytniej hojności. W ciągu nadchodzących 6 lat Wielka Brytania zamierza zainwestować na Falklandach 31 mln funtów, aby ułatwić integrację gospodarczą tego odległego terytorium. Jest to dokładnie 1 procent sumy, jaką Londyn wydał na wojnę o Falklandy (wliczając w to koszty skutków działań wojennych) Jedno jest pewne: Falklandy długo jeszcze pozostaną obszarem wymagającym stałych subwencji. Gospodarka na tak odległym terytorium, na którym żyje tylko 1800 mieszkańców, nie może być — zwłaszcza w trudnych warunkach politycznych — rentowna.

Werbunek nowych osadników byłby łatwiejszy, gdyby było więcej ziemi. To prawda: na wyspach Falklandzkich, gdzie na 1 mieszkańca przypada 1500 razy więcej powierzchni, niż np. w RFN, brakuje ziemi. Połowa terytorium jest własnością Towarzystwa Wysp Falklandzkich (Falkland Islands Company), zaś większość pozostałej części użytków rolnych znajduje się w posiadaniu wielkich brytyjskich właścicieli ziemskich, którzy nigdy w życiu nie widzieli swojej ziemi na oczy i nie mają też zamiaru jej oglądać. Obok FIC na wyspach jest zaledwie ze 20 rodzin i firm, które swoją ziemię uprawiają. Reszta leży odłogiem. Jedynym wyjściem byłoby upaństwowienie. Ale Maggie Thatcher i nacjonalizacja?

ARGENTYŃCZYCY TU WRÓCĄ

Co do tego prawie wszyscy mieszkańcy wysp są zgodni.

— Ten szok wystarczy na 10, może 20 lat — mówi Des King, właściciel hotelu „Upland Goose" *ale próbować będą na pewno.*

Dopóki na Downing Street rządzi Margaret Thatcher, Falklandczycy są spokojni. Ale co będzie, gdy władza przejdzie w ręce labourzystów?

ERICH WIEDEMANN
(„Der Spiegel")

Bestsellery lutego

Rewindykacje

Andrzej Wasilewski, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, wyjaśnił w telewizyjnym „Pegazie" pewną zagadkę. Jak to się dzieje — myślałem sobie — że oto zwiększyła się o przeszło 25 proc. liczba wydanych książek, zwiększył się procent wydawanych tytułów, a mimo to nasze oficyny wciąż mają znaczne zaległości w realizacji, zapowiadanych na ubiegły rok, planów. Odpowiedź jest prosta. Taki, a nie inny stan naszego przemysłu poligraficznego i przemysłów kooperujących — papierniczego i chemicznego — zezwolił wprawdzie na wzrost produkcji książek, jednak musiało to się odbić ze szkodą dla publikacji o staranniejszym kształcie edytorskim. Otrzymywaliśmy zatem w ostatnich miesiącach tysiące egzemplarzy — przeważnie powieści z zakresu klasyki — broszur, drukowanych na podłym papierze. Natomiast książki, dla których przewidziano lepszy papier, ilustracje, bardziej trwałą oprawę — z wyjątkiem tych, które drukowano za granicą lub na specjalnie sprowadzanym papierze — czekają na lepsze czasy. Tak więc ilość, która może być jakąś pociechą, nie powinna nam przesłonić właściwego (czytaj: mrocznego) obrazu książki w obecnej sytuacji.

Jakby wbrew temu co napisałem wyżej, rozpoczynam opis nowości z ostatniego miesiąca od książki, która może być ozdobą i powodem dumy każdego wydawnictwa, to jest od pracy **Larissy A. Żadowej „Poszukiwania i eksperymenty. Z dziejów sztuki rosyjskiej i radzieckiej lat 1910—1930"**. (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, brak informacji o nakładzie, cena 1.250 zł). Wzorowo pod każdym względem wydany tom (bo koprodukcja z drezdeńskim VEB Verlag der Kunst) to w gruncie rzeczy najpełniejsza jak dotąd i najbardziej kompetentna monografia twórcy suprematyzmu — Kazimierza Malewicza, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli dwudziestowiecznej awangardy, równocześnie jednego z bardziej wpływowych twórców jej programów nie tylko w sztuce rosyjskiej. Te ostatnie zdania tłumaczą tytuł książki Żadowej: monograficznie (od strony biografii, teorii i dokonań artystycznych — albumowi towarzyszy bardzo obszerny i edytorsko nieskazitelny dział reprodukcji) ujęta twórczość tego artysty — notabene — Polaka z pochodzenia, jest jednocześnie okazją do nakreślenia rozległego tła sytuacji w sztuce rosyjskiej i radzieckiej pierwszych dziesiątków XX wieku. A także jej związków i uwikłań w poszukiwania awangardy europejskiej tego okresu. Jednym słowem po książce o Aleksandrze Rodczence autorstwa Germana Karginowa (też WAiF), po obszernej pracy Andrzeja Turowskiego na temat konstruktywizmu polskiego, wchodzi w obieg czytelniczy kolejna monografia, której walorów poznawczych, właśnie rewindykacyjnych w pewnym sensie, przecenić nie można.

Otóż te tytułowe rewindykacje, czyli odzyskiwanie utraconych wartości, dochodzenie praw do tych wartości, domagają się przynajmniej jednej refleksji: zainicjowany po Sierpniu proces zapełniania pustych z konieczności obszarów naszej kultury — czy szerzej — naszej świadomości społecznej wciąż trwa i postępuje z bezsprzeczną konsekwencją. Myślę zatem, że w związku z ciągłym poszukiwaniem idealnych rozwiązań w administrowaniu kulturą pieczą nad wspomnianym wyżej procesem winna należeć do priorytetowych zadań polityki państwa.

Łatwiej teraz będzie mi przejść do nazwisk dwóch autorów, których wydane w lutym książki inicjują rewindykacyjne zabiegi naszych księgarskich oficyn. Po pierwsze, są to dwa tytuły **Marka Hłaski: „Sonata marymoncka"** (PIW 20 tys. egz., cena 80 zł) i **„Namiętności"** (WL, 20 tys. egz., cena 50 zł). Literacka legenda Hłaski, jego emigracyjne losy, śmierć — jakoby samobójcza, potem okres przymusowego milczenia na jego temat — wszystko to deformuje krytyczno-literacką ocenę autora „Pięknych dwudziestoletnich". Właśnie przykład „Sonaty marymonckiej" ma tu szczególny charakter: ukazujące się w tygodnikach noty i recenzje nadają tej debiutanckiej, wydanej z rękopisu powieści rangę artystyczną, której nigdy nie posiadała i nigdy posiadać nie będzie. Może posłużę się argumentem demagogiczno-metafizycznym, sądzę jednak, że gdyby Hłasko mógł decydować o losach „Sonaty", ta nigdy by się nie ukazała. Zderzenie lumpenproletariackiego naturalizmu z naiwnym, powierzchownie socrealistycznym dydaktyzmem dało efekt z gruntu nieudany. „Sonata marymoncka" jest faktem historyczno-literackim, nie róbmy z niej na siłę faktu artystycznego. Tego rodzaju obawy rodzą się także z okazji emigracyjnej twórczości Hłaski. Znów tylko przykład: proszę porównać zawarte w „Namiętnościach" opowiadania, te opublikowane w kraju z tekstem z roku 1962 „W dzień śmierci Jego".

Po drugie — wracam do zdania z poprzedniego akapitu — dwa krótkie utwory **Witolda Gombrowicza** w tomiku Wydawnictwa Morskiego, zatytułowanym **„Zdarzenie na brygu Banbury"** (60 tys., cena 30 zł). Wielki Gombro to kolejna legenda polskiej literatury (tak na marginesie: czy nie za wiele u nas legend?). Hołubiony przez krytykę i literaturoznawców (wstęp do „Zdarzenia" napisała sama Maria Janion) przestanie być wreszcie pisarzem emigracyjnym. Jak się zdaje, Wydawnictwo Literackie zrealizuje w końcu swój zamiar, bo zapowiada ośmiotomową edycję dzieł autora „Ferdydurke" (łącznie z „Dziennikami"?). Oczekując na ten ewenement rewindykacyjny smakujmy tymczasem „fantastyczne przygody umysłu" z tomiku gdańskiej oficyny.

Jeśli już o emigrantach mowa: „Czytelnik" ponowił był właśnie tom **„Poezji" Czesława Miłosza** (25 tys. 200 zł) — najobszerniejszego — jak dotąd — wyboru utworów autora „Traktatu moralnego". Odrabianie zaległości wydawniczych w stosunku do naszego ostatniego noblisty będzie trwało jeszcze jakiś czas. Duże przecież nakłady wciąż nie są w stanie sprostać zapotrzebowaniu. Ciekawym jak dalece run na Miłosza idzie w parze z autentycznym i rozumiejącym stosunkiem do jego poezji — nikt nie zaprzeczy — że elitarnej i — jak się zwykło określać — uczonej.

Niewczesne odkrywanie Miłosza zmusiło edytorów czwartego wydania **„Dziejów literatury polskiej"** Juliana Krzyżanowskiego (PWN, 50 tys. cena 380 zł) do wprowadzenia dwóch korektur. Uzupełniono więc ten podręcznik, który o dzisiejszym laureacie Nobla wspomina w jednym zdaniu, o zdjęcie autora „Doliny Issy" i krótką notkę bibliograficzną. Pisząc o tej ciekawostce chciałbym jednocześnie zwrócić uwagę — uogólniając — na dość nieciekawy w sumie stan syntez historyczno-literackich, które ujmowałyby naszą literaturę współczesną (od roku 1918) w sposób obiektywny i aksjologicznie zracjonalizowany.

W związku z tym — zachowując wszystkie proporcje — zatrzymam się na innej znaczącej, a ostatnio wydanej pracy: **Artura Sandauera „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku"** (Czytelnik, 30 tys., cena 50 zł). Nie piszę recenzji, dlatego też pominę tytułowe zagadnienie książki (niechaj wypowiedzą się znawcy przedmiotu), nie pominę natomiast sprawy równie jak „sytuacja pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego" w tej książce ważnej, a mianowicie problemu, który autor nazywa „kulturą pod podwójnym mecenatem". Ten podwójny mecenat (można sobie wyobrażać jak uwagi Sandauera dotknęły „wolną" inteligencję emigracyjną!) to z jednej strony oficjalna opieka państwa, a z drugiej, tzw. mecenat zachodni „Generacja przychodziła za generacją, nie mając nic pod względem artystycznym do powiedzenia — konkluduje Sandauer. — Przyczyn należy szukać w tym, że literatura nasza uzależniona od podwójnego mecenatu nie zaś od publiczności, w obu wypadkach uprawiana jest konformistycznie i sprzedażowo". Ostra to ocena i — być może — w szczegółach dyskusyjna. Dyskutujmyż zatem — Sandauer zrobił bardzo ważny początek.

Rewindykacyjny charakter ma również inna księgarska nowość z poprzedniego miesiąca: **Vladimira Nabokova „Przejrzystość rzeczy"** (PIW, 30 tys., cena 60 zł). Wydawca nie bez racji tak anonsuje Nabokova polskiemu czytelnikowi: „To jeden z najoryginalniejszych, najwszechstronniejszych i najbardziej znaczących umysłów twórczych naszej epoki". Aż dziw bierze, że dopiero teraz nasze wydawnictwa tak czułe na światowe wartości literackie (piszę to bez jakiejkolwiek ironii) wzięły się za Nabokova. Rosjanin, urodzony w Petersburgu, wyniesiony przez rewolucyjną falę na emigrację, stał się pisarzem dwujęzycznym. Dopiero w roku 1941, a więc po napisaniu siedmiu powieści, kilku dramatów i tomików wierszy w języku rosyjskim, wydał swą pierwszą napisaną po angielsku powieść. Sława przyszła późno i to nie bez aury literacko-obyczajowego skandalu. Zresztą i u nas potoczne wyobrażenia o Nabokovie związane są ze znaną ze słyszenia, a wielce „nieobyczajną — Lolitą". Nie wiem czy „Przejrzystość rzeczy" to powieść reprezentatywna dla Nabokova i czy od niej należy znajomość z tym pisarstwem rozpoczynać. Nie zrzędząc zatem czekam na polskie przekłady pozostałych powieści: tą, którą przeczytałem tylko w części potwierdza reklamę edytora.

Dzięki lekturze książki **„Przyszedłem dać wam wolność"** (Książka i Wiedza, 30 tys. cena 110 zł) poznajemy innego **Wasilija Szukszyna**. Ten aktor, reżyser filmowy a także prawdziwie znakomity prozaik, autor wysoko cenionych — również przez polskiego czytelnika — opowiadań i powieści — realistycznego obrazu współczesnej rosyjskiej prowincji i wsi tym razem podjął fabułę, która w tradycji literackiej naszych wschodnich sąsiadów ma swoje znaczące realizacje. Postać Stienki Razina, ludowego bohatera i buntownika w powieści Szukszyna, dzięki psychologicznej introspekcji oraz socjologicznej obserwacji zdystansowanego, obiektywizującego świat przedstawiony narratora, uzyskała wymiar wyjątkowo prawdopodobny. Na tle powieściowego bezrybia, zarówno jeśli chodzi o literaturę polską jak i tę, którą otrzymujemy w przekładach, prozatorski fresk Szukszyna jest — nie boję się tego powiedzieć — arcydziełem.

Inna historyczna postać posłużyła za inspirację dla **Alejo Carpentiera**, zmarłego w roku 1980 pisarza kubańskiego: bohaterem **„Harfy i cienia"** (Czytelnik, seria „Nike", 30 tys., 70 zł) jest Krzysztof Kolumb. „Nie jest rzeczą poety (czy raczej powieściopisarza) opowiadać o tym, jak się działo — powiada Carpentier — ale jak się powinno było, albo mogło dziać". Taka też jest ta powieść, nasycona symboliką, o poetyckim rytmie, raczej poemat o wielorakich kulturowych odwołaniach niż fabuła w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Przedostatnią powieść Carpentiera na język polski przełożyły Kalina Wojciechowska i Janina Carlson.

Na koniec o wydarzeniu, które tworząc precedens kryminalno-przestępczy, obrazuje jednocześnie sytuację na rynku księgarskim ostatnich miesięcy: oto — jak donosi „Express Ilustrowany" — księgarnia przy al. Kościuszki stała się łupem włamywaczy. Trudno stwierdzić - dodaje reporter — czy włamania dokonano bezpośrednio po kolejnej dostawie bestsellerów, czy złodziej musiał zadowolić się zakurzoną tandetą". Toż to księgarnia kolporterska! Sam chętnie tam bym się włamał.

GRZEGORZ GAZDA

Tętent Jeźdźców Apokalipsy

Towarzyszący młodej prozie krytyk, Leszek Bugajski, w niedawno wydanej książce przewiduje, iż „najwybitniejsi jej przedstawiciele, wydając ważne książki, zajmą co najwyżej pozycje analogiczne tym, jakie w literaturze tworzonej przez starsze generacje pisarzy zajmują Leopold Buczkowski, czy Leon Gomolicki — szacunek i brak zainteresowania". Osąd to efektowny, jeśli zważyć na ogólną sytuację literatury ambitnej u nas — jeśli zaś chodzi o pisarzy tylko co wymienionych może nieco przesadny. Podobnego co ja zdania był chyba wydawca, skoro zdecydował się nowo-starą książkę Leona Gomolickiego opublikować w 20-tysięcznym nakładzie. Piszę: nowo-starą książkę i od razu wyjaśniam, iż *„Róża i Walkiria, czyli w dorzeczu Fabulistej"* jest zjawiskiem dość specyficznym, które przez jednych uznane może zostać za hybrydę, a przez innych za godny uwagi wyciąg esencji z całego niemal dorobku pisarskiego autora „Wyprawy na Patmos". Sprawa polega na tym, że Leon Gomolicki — mistrz prozy refleksyjnej i afabularnej — wynalazł w ośmiu swych powieściach fragmenty, które uznał obecnie za samoistne nowele i zgromadził je pod wspólną okładką.

Zanim jednak przyjrzymy się im, zastanówmy się przez chwilę, co legło u podstaw opinii wyrażonej przez Leszka Bugajskiego, w końcu dość często w krytyce literackiej spotykanej. Zarówno pisarstwo Leopolda Buczkowskiego, jak i Leona Gomolickiego — jakkolwiek przecież istnieją w ich dorobku całkiem udane próby różnotematyczne — zdominowane zostało bez reszty przez sprawy poznane i przeżyte podczas drugiej wojny światowej. Leopold Buczkowski w niedawno opublikowanej rozmowie z Teresą Krzemień powiedział expressis verbis, że nie powrócił jeszcze z wojny. O ile wiem, Leon Gomolicki podobnych oświadczeń nie składał, ale mógłby się pod nimi podpisać obu rękoma. Różnica między tymi wybitnymi pisarzami polega nie tylko na odmiennych doświadczeniach wojennych. Dla literatury ważniejsze jest co innego: sposób kreacji, wykorzystanie tworzywa. W prozie Leopolda Buczkowskiego przeżycia wojenne zniszczyły wszelką refleksję, jego widzenie świata i człowieka zostało r o z b i t e, rozczłonkowane, zatomizowane. Wszystko sprowadza się do poszczególnych momentów, ulotnych fragmentów, które tylko dobra wola (i cierpliwość!) czytelnika potrafi jakoś tam scalić, bo przecież niezależnie od wszystkiego człowiek jako gatunek pozostał całością. U Leona Gomolickiego inaczej — im bardziej destrukcyjny okazywał się świat, tym klarowniejsza stawała się potrzeba r e f l e k s j i, im był groźniejszy, im bardziej niezrozumiały, tym częściej pojawiał się imperatyw ogarnięcia go i n t e l e k t e m, szukania odniesień do tego wszystkiego, co h u m a n i s t y c z n a myśl nagromadziła w ciągu wieków spoglądania na rzeczywistość, w której się uczestniczyło przez pryzmat uogólnień, jakich dostarczają legendy, mity, czy ewangeliczne zapisy. Buczkowski rejestrował okruchy życia, coraz bardziej ulotne, w myśl tezy, iż „światem rządzi stukanina", Gomolicki zapamiętywał się w drążeniu wypalonej hekatombą wojny pamięci, posiłkując się przy tym odniesieniami do wielu kataklizmów, które dokuczyły ludzkości. W ten sposób obaj pisarze zamykali się coraz mocniej w s w o i m t e m a c i e, stając się dla przeciętnego odbiorcy twórcami niemalże hermetycznymi. Stąd brał się szacunek, stąd wynikały nieraz kłopoty z krytykami, czy z czytelnikami. A przecież książki ich ciągle są obecne wśród nas, mnożone przez kolejne nakłady i — co ważniejsze — przez dzieła nowe. Nawet jeżeli są to kompozycje tak niecodzienne, jak „Róża i Walkiria".

Jeśli wierzyć przedmowie Leon Gomolicki „rozglądając się po poletkach swojej prozy" z niejakim zdumieniem dostrzegł, iż do jego refleksyjnej prozy wdarła się jednak fabuła, zasilając dorzecze — jak mawiał Kazimierz Wyka — Wielkiej Fabulistej. Owe małe całostki fabularne, może nawet nie zawsze widoczne w tej amorficznej prozie, stanowiły zapewne mimowiedny nacisk tradycji literackiej, przed którym eksperymentator nie zdołał się ustrzec. Czym były: urozmaiceniem, przypowiastką, anegdotycznym komentarzem, dygresją, uzupełnieniem, przekorą wobec samego siebie? Autor nie umie — a może tylko nie chce? — tego nazwać. Nie o to wszak chodzi. Ich pierwotna funkcja jest dla czytelnika nowo-starej książki Gomolickiego mało istotna. Powstał nowy układ, wytwarzając nowe zależności, odsłaniając na nowo kolory, jak w „przetartym gąbką czerniałym malowidle".

W prozie Leona Gomolickiego zauważyć można pewną sprzeczność. Może nawet nie tyle w samej jego prozie, co w pisarskiej świadomości. Sądzę, że ułatwi jej zrozumienie następujący cytat: „Myślałem o różnicach pokoleń. Zwłaszcza o pokoleniu naszym, z przedpiekla albo i piekła okupacyjnego. Jedni, jeszcze w pełni wieku, wynieśli na zawsze głębokie blizny psychiczne, gdy ich dzieci, a tym bardziej wnuki doświadczeń takich nie mają. Nigdy się już nie porozumieją. Zbędne są wszystkie próby przekazywania doświadczeń w niczym podobnym nie doświadczonym. Dla nich to film przygodowy. Wojenny western. Powoli zanikający gatunek dreszczowca". To, co autor „Tańca Eurynome" pisze, nie jest ani przygodą, ani westernem, ani dreszczowcem. Gomolicki po prostu nie może się oprzeć próbom przekazywania doświadczeń. Jako świadek zagłady m u s i swe doświadczenie utrwalić, przekazać pokoleniom następnym, i nawet świadomość daremności tego przedsięwzięcia nie jest w stanie powstrzymać go przed zapisywaniem refleksji. Przede wszystkim jednak stara się sam zrozumieć to, co się wydarzyło i co dzieje się w dalszym ciągu, bo oto „Piętaszek, otarłszy się o cywilizację, zapragnął równego podziału jej dóbr. Teraz zasiada w Oenzecie i posługuje się nowoczesną bronią". Pierwszym — i kto wie, czy nie najważniejszym — etapem owego długotrwałego procesu rozumienia jest s z c z e r o ś ć, polegająca zresztą nie tyle na dosłowności rekonstrukcji przeżyć, co na prawdomówności intelektualnej, która równie bezwzględnie potrafi określić człowieka, jako najniebezpieczniejsze ze zwierząt (gdyż syci on nie tylko swój głód, ale i nienawiść), jak również pokazać całe barbarzyństwo cywilizacji. Z owej szczerości rodzi się prawdziwa pasja demaskatorska, konieczność pokazania, iż już nie król nawet, ale każdy zgoła człowiek jest nagi, w dodatku nagi wśród wilków, by na wymownej aluzji do znanych książek Grzegorza Timofiejewa i Brunona Apitza poprzestać. „Dla mnie" — powiada autor „Erotyku" — „główniejsza moja odpowiedź na pytanie ludzkości: co to jest człowiek, z jakich powodów się rodzi i jaki cel ma w życiu? Sądzę, że są dwa powody — wielki i mały, i dwa cele — również wielki i mały. Mały polega na tym, aby nie uległ zagładzie gatunek ludzki. Nie byłoby jednak sensu w samym dłużeniu jego istnienia na świecie, a stąd powód i cel wielki: doskonalenie następujących po sobie pokoleń fizyczne i moralne". Owej humanistycznej, książkowej mądrości przeczy jednakże fatalistyczne doświadczenie kogoś, kto przeżył kilka wojen. Złowrogo kłóci się ono z rozrodczą siłą człowieczeństwa. Jakby na to wszystko zresztą nie patrzeć, po prostu pijemy cykutę życia, łudząc się, że jest to tylko napar na uśmierzenie metafizycznego bólu. Taki sens ludzkiej egzystencji widzi Leon Gomolicki.

Apokalipsa — to znaczy objawienie, objawienie tego najgorszego, co ma się przytrafić ludzkości. Pisarstwo Leona Gomolickiego jest jakby swoistym zbieraniem, przygotowywaniem materiałów do księgi w jakiś sposób dorównującej Apokalipsie, do księgi o tym najgorszym, co już w historii ludzkości się wydarzyło. Święty Jan pisał Apokalipsę na małej wyspie, w odosobnieniu od życia — pisał dla świata o mającym nastąpić jego końcu. Gomolicki zapisuje swą wersję Apokalipsy w dużym mieście, jako świadek i uczestnik życia — pisze ku przestrodze, aby końca świata nie przyśpieszać. Jednocześnie zaś jakby sprzeciwiał się swoim założeniom: „A książki, te relikwie dogasającej ery Hermesa? Traktujemy je poniekąd jako anachronizm. Budujemy mieszkania nie obliczone na księgozbiory, nawet, jak ten, najskromniejszy. Coraz mniej na świecie miłośników zanikającego obyczaju czytania książek. I ich, książek, pisanie to też zanikająca sztuka, w rodzaju złotnictwa lub płatnerstwa". Cóż więc czeka literaturę? Czyżby tylko spokojny kąt w muzeum? A może jeszcze raz okaże się ona sprawnym kluczem do poznawania życia? Autor „Róży i Walkirii" zachowuje w tym zakresie dyskretne milczenie, nie skrywa jednak, przy którym wariancie są jego uczucia.

W pisarstwie Leona Gomolickiego pobrzmiewa tętent apokaliptycznych jeźdźców. Brzmi zastraszająco groźnie — echo jego niknie wszak w codziennej obojętności. Jakże często spotykamy na kartach jego książek ów kontrast: obolała pamięć ocalonego i lekkomyślność następnych generacji. „Gorycz odchodzącego świata zatruwa moje słowa" — usprawiedliwia się niejako pisarz. A jednocześnie nie jest w stanie poskromić ciekawości: „Co z nich przetrwa w nowym nadchodzącym świecie?". Któż udzieli odpowiedzi na to pytanie?

Leon Gomolicki, Róża i Walkiria, czyli w dorzeczu Fabulistej, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1982, nakład 19.650 + 350 egz., s. 267, cena zł 50.—

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Nad teatraliami

Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wileńskiego, doktor nauk filozoficznych Uniwersytetu we Fryburgu, prozaik, dramaturg, publicysta. Pisał szalenie dużo i są w jego dorobku rzeczy rozmaite. Ale szczególny kłopot interpretacyjny sprawia ocena teatralnych prób autora „Zapory". Nawet trudno ustalić ilość sztuk. Niektóre źródła mówią o 20, inne o 26 dramatach. W każdym razie 11 utworów miało swoje teatralne premiery. Nierzadko wracał do opisanych już spraw, stąd zdarzają się różne tytuły jednej sztuki. Zresztą i ramy chronologii są zawodne. Sceniczny debiut odbył się w 1935 r. Sztuką „Po tej i tamtej stronie" zainteresował się dyrektor Poznańskiego Teatru, Teofil Trzciński, lecz już wcześniej młody literat przygotowywał teatralne szkice.

Od czego więc zacząć nasze spotkanie z dramaturgią Dybowskiego? Proponuję... Zduńską Wolę. I to nie tylko dlatego, że Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli ufundowawszy tablicę na domu, w którym 1. IV. 1909 r. urodził się Janusz Teodor Dybowski — tym serdecznym aktem pięknie wyraziło pamięć o krajanie. Ale sądzę, że zduńskowolski rodowód jest ważkim tropem przy lekturze sztuk twórcy „Kościuszki w Berville". Jak to rozumiem? — za chwilę.

Zduńskowolanie pamiętają wieczór autorski pisarza, gdy mówił o tym swoim późnym, albo raczej spóźnionym powrocie. Dziś, pięć lat po śmierci dramaturga (zmarł 28. VI. 1977 roku), warto uświadomić sobie całe złożone zagadnienie artystycznej genealogii. Otóż właśnie poczucie więzi z ziemią rodzinną, mądrość i koloryt folkloru, siła tradycji historycznej — w znacznym stopniu kształtowały wyobraźnię teatralną Dybowskiego. Znamienne jest, że oceniając swój międzywojenny dorobek dramatopisarski wyróżniał „Cud białych orłów". Sztuka, której towarzyszyła muzyka Feliksa Nowowiejskiego, stała się głównym elementem tak zwanych Wielkopolskich Festiwali Ludowych z 1939 r. Reżyser J. Kubacki usytuował „Cud" w naturalnej scenerii Ostrowia Lednickiego. We wzmiance prasowej, ogłoszonej tuż po premierze (czerwiec 39 r.), czytamy: „Sztuka ta odpowiada całkowicie duchowi tradycji Ostrowia Lednickiego, sięgającej czasów, kiedy węzły wspólnej kultury, religii i mowy Słowian były bardzo silne. Widowisko jest szczególnie aktualne dziś, gdy ludom słowiańskim ponownie grozi zalew germańskiej fali". Inny, tragiczny komentarz dopisała sztuce już jesień i akcja okupanta, aby odnaleźć akcentującego ideę wspólnoty słowiańskiej. Dybowski musi więc opuścić kraj. Już jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych dostaje się do niewoli niemieckiej, skąd ucieka i chroni się w szwajcarskim Fryburgu. Tam zdawać się mogło, że literat ulega nowej pasji filozofa, pochłoniętego doktoratem. Jednak mimo prac naukowych Dybowski wkrótce wraca do teatru. Szuka nowych form, interesuje się misterium, dramatem poetyckim („Dwie czary"). Zbliża się rok 1947. Powrót do kraju umacnia teatralne związki pisarza. Dybowski pełni funkcję kierownika literackiego scen Olsztyna, Poznania, Koszalina i Rzeszowa. Można sobie wyobrazić, iż w czasach tej wędrówki, w czasie dyskusji nad repertuarem dramaturg mógł samookreślić własny styl inscenizacji. Wtedy też doświadczył osobliwego przymierza z Ludwikiem Solskim, aktorem legendarnym, człowiekiem, któremu proponowali sztuki najwięksi. I właśnie ten, tak chimeryczny artysta wybrał na jubileusz 75-lecia dramat Dybowskiego „Kościuszko w Berville".

8. III. 1950 r.

„Z wielką radością dowiaduję się, że dobry duch natchnął Pana, aby napisać sztukę na temat historyczny, na temat Kościuszki i Napoleona. Ja z miłą chęcią zapalam się do „Kościuszki", bo przypominam, że rolę tę pisze Pan dla mnie. Spotkanie tych dwu ludzi może być bardzo interesującym polem do wydobycia popędliwego, a genialnego Napoleona i wielkiego duchem Kościuszki, tego wymarzonego naszego wodza ukochanego, o gołębim sercu, a niezłomnej woli, którego wola była zawsze walką o dobro ukochanego ludu".

7. X. 1950 r.

Pragnę, aby sztuka ta znalazła i zyskała należny jej rynek, a przede wszystkim pragnąłbym, aby Pan, jako autor, był z mojej adaptacji zadowolony (...). Musimy jeszcze, ale już wspólnie parę ostatnich dotknięć poczynić, choćby dla naszego wspólnego zadowolenia".

Rzeczywiście, Krakowski Teatr im. J. Słowackiego dołożył ogromnych starań, „Kościuszko" uzyskał interesującą oprawę. Wielkiemu Ludwikowi towarzyszyli aktorzy miary Zofii Jaroszewskiej czy Mieczysława Jabłońskiego. Scenografię projektował Karol Frycz, zaś reżyserował Wacław Nowakowski.

Pora teraz określić bliżej stylistykę teatru „I ty poznasz Marylę". Chyba w jakiś sposób tłumaczą ją dwie teatralne poetyki, a ściślej mówiąc koncepcje dwu ludzi: Jędrzeja Cierniaka i Wilama Horzycy. Oczywiście problem wymaga szerszych uzasadnień. Teraz zasygnalizujmy tylko parę istotnych spraw. Przede wszystkim głęboka wiara w sens teatralizacji obrzędów rozumianej, zgodnie z Cierniakowskim ideałem „wiejskiego teatru monumentalnego". Dybowski szereg razy sięgał po formę szopki, stwarzając okazję zespołom amatorskim, by całą akcję sceniczną sytuować w kręgu dobrze im znanych wiejskich realiów.

Pytany kiedyś przez dziennikarza, dlaczego porzucił w latach 60 dramatopisarstwo, Dybowski odpowiedział: „Obecnie na scenę można wjechać tylko piątym kołem lub suchym dębem jak błazen na arenę, a ja jestem realistą (...) Antyhumanizm mnie przeraża, antyparolizm, literatura obłędu budzi mój wstręt". Rzecz warta uwagi, bo sam autor też się sprzeniewierzył realizmowi, lecz robił to jakby pod patronatem literatury romantycznej. W dramacie „I ty poznasz Marylę" zastanawiał się nad współzależnością biografii artysty i mitotwórczej roli sztuki.

Dotknęłam ledwie kilku elementów i chciałabym jeszcze raz, idąc śladem pisarza, wrócić do Zduńskiej Woli. Otóż, gdy bezskutecznie szukałam danych o Dybowskim, zdziwiona brakiem bibliografii w największych bibliotekach, udało mi się poznać mieszkającą dziś poza granicami kraju żonę dramaturga. Dzięki jej serdeczności zetknęłam się z pokaźnym pakietem rękopisów, listów, fotografii. Opowiedziałam pani Teresie Dybowskiej o cennym archiwum Miejskiej Biblioteki Publicznej, o Szaniawskim, Pietrzykowskim i rozmaitych akcjach sympatyków zduńskowolskiego archiwum. Wówczas pani Teresa ofiarowała piękny zbiór materiałów męża — zduńskowolskiej bibliotece. Jestem przekonana, że dar będzie początkiem miłych kontaktów z miastem rodzinnym Janusza Teodora. Teraz warto tylko powiedzieć, że hasło: Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego — Zbiory Archiwalne stało się gwarantem godnego miejsca dla spuścizny po Januszu Teodorze Dybowskim. Warto więc, żebyśmy sobie (my, przyjaciele miasta) uświadomili, że partnerstwo Zduńskiej Woli w kształtowaniu narodowej kultury — krzepnie. Oby tak dalej!

JADWIGA JAKUBOWSKA

Kronika kulturalna

W NIEDZIELĘ, 27 lutego, w Teatrze Nowym odbyła się miła uroczystość wręczenia łódzkiemu pisarzowi, a jednocześnie naszemu koledze redakcyjnemu, Igorowi Sikiryckiemu, Orderu Uśmiechu.
Igor Sikirycki jest autorem wielu poularnych książek dla dzieci.
Z propozycją przyznania Orderu Uśmiechu dla autora ulubionych przez siebie książek i nadania mu jednocześnie miana Kawalera tego Orderu wystąpili uczniowie szkół podstawowych z Sulejowa i Chełmna.
A'...t dekoracji, w obecności ogromnej ilości dzieci, dokonali przedstawiciele Kapituły Orderu Uśmiechu — Hanna Ożogowska i Janusz Przymanowski.
Udział w tej niecodziennej a niezwykle miłej uroczystości wzięli także przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych, z członkiem Biura Politycznego, I sekretarzem KŁ PZPR, Tadeuszem Czechowiczem i wiceprezydentem Łodzi — Lechem Krowirandą.
Po ceremonii dekoracji odbyła się premiera „Zatopionego królestwa" — bajki Igora Sikiryckiego, zaprezentowanej przez zespół Teatru Nowego. Przedstawienie wyreżyserował Marian Stanisławski, scenografię przygotowała Anna Bobrowska-Ekiert, a muzykę skomponował Bogdan Pawłowski.
W foyer Teatru Nowego otwarta została wystawa książek dla dzieci, pióra Igora Sikiryckiego, przygotowana przez Miejską Bibliotekę im. L. Wary´skiego.
Kawalerowi Orderu Uśmiechu składamy serdeczne gratulacje.

* * *

DOM Filmu i Plastyki ŁDK był organizatorem Przeglądu Filmów **Zoltana Huszanka**, który odbył się w dniach 25 i 26 lutego.
W programie przeglądu, obok pokazów filmowych, dr Tadeusz Szczepański wygłosił wykład pt. „Filmowy świat Zoltana Huszanka".

* * *

21 LUTEGO w Domu Technika otwarto ogólnopolską wystawę książki rolniczej i leśnej. Wystawa czynna była do 25 lutego i połączona została ze sprzedażą wydawnictw i czasopism rolniczych i leśnych. Organizatorami wystawy byli: Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne — Warszawa, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Rolnictwa, Oddział w Łodzi i Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki" — Łódź.

* * *

HENRYK Tomaszewski wystąpił we Wrocławiu z nową premierą, którą przygotował siłami dwóch zespołów: Teatru Pantomimy i Teatru Polskiego. Widowisko oparte jest na dramacie Szekspira „Perykles".

* * *

W WARSZAWSKIM Towarzystwie im. F. Chopina otwarta została wystawa poświęcona pamięci Artura Rubinsteina, światowej sławy pianisty, urodzonego w Łodzi. Na, ekspozycję składają się portrety i inne zdjęcia artysty, wykonane przez fotografika Piotra Barącza oraz listy Rubinsteina związane z jego działalnością artystyczną.

„Krakowiacy i Górale" godni łódzkiej tradycji

Gdy *WOJCIECH BOGUSŁAWSKI* opracował na początku 1794 roku (w oparciu zresztą o francuską komedię „Le Sorcier" i niemiecką — „Der Bettelstudent oder Das Donnerwetter") libretto do *„Krakowiaków i Górali"*, nie spodziewał się zapewne, jak wielką przyniesie mu ono sławę i jak trwale zasiedli świadomość narodową. *„...przyszła mi myśl* — wspominał po latach — *wystawienia na scenę tych wesołych i rubasznych krakowiaków, którzy, śpiewając, uprawiają ziemię, śpiewając, biją się za nią... wezwałem całą moją pamięć, wszystkie zdolności do odmalowania ich zwyczajów, zdań, uczuć, mowy i zabaw, a w krótkim czasie napisawszy operę „Cud czyli Krakowiaki i Górale" z muzyką p. Stefani, 1 marca wystawiłem".*

Prapremiera wzbudziła wręcz entuzjazm publiczności i to w dużej mierze z uwagi na swą ówczesną aluzyjność polityczną. Aleksander Brückner pisał, że „Krakowiacy i Górale" to był *„ptak przed burzą 17 kwietnia, co Igelströma z Warszawy wymiotła"*. Na razie czujny wysłannik carycy Katarzyny nakazał zdjęcie sztuki z afisza, ale wróciła ona triumfalnie zaraz po wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej i wyzwoleniu Warszawy.

Do tej pięknej tradycji narodowej nawiązał wielki poeta teatru *LEON SCHILLER*, wystawiając *„śpiewogrę" w Warszawie w 1929 roku*, w stulecie śmierci Bogusławskiego. A potem *30. XI. 1946 roku w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi przy ulicy Jaracza*. Schiller wrócił był właśnie z oflagu, a atmosfera kraju zabiedzonego po 6-letniej okupacji, ale pełnego optymizmu, złaknionego słowa polskiego ze sceny, szczególnie sprzyjała prezentacji opery narodowej Bogusławskiego i Stefaniego, przydając jej nowych znaczeń. Gdy *WŁADYSŁAW KRASNOWIECKI* w roli wędrownego *studenta Bardosa* (rolę tę na prapremierze i w latach późniejszych kreował sam Bogusławski) zaśpiewał słowa:

Mnie chociaż głód dojmuję,
Lecz duszy mej nie szkodzi,
Śpiewaniem biedę truję,
Wesołość troski słodzi.

... wówczas sala przy ulicy Jaracza niemal oszalała, mury zatrzęsły się od braw, a co wrażliwsi obecni ocierali ukradkiem łzy napływające objcie do oczu. Przedstawienie powtarzane było rekordową ilość 238 razy przy niesłabnącym aplauzie publiczności.

W 1947 roku wyjechał Leon Schiller wraz z całym zespołem teatru pociągiem specjalnym do Czechosłowacji, gdzie w ciągu 19 dni dano przedstawienia „Krakowiaków i Górali" w 15 miastach, w tym w Pradze i Bratysławie. Publiczność czeska i słowacka zgotowała aktorom polskim i reżyserowi najgorętsze przyjęcie.

I tak od 37 lat datuje się łódzka tradycja opery narodowej Bogusławskiego. 1 czerwca 1955 roku Teatr im. Jaracza wystawił „Krakowiaków i Górali" w inscenizacji Leona Schillera i w reżyserii Barbary Kilkowskiej i Tadeusza Cyglera. Natomiast *5 kwietnia 1961 roku Teatr im. Jaracza wespół z Operą Łódzką* (nie było jeszcze wówczas Teatru Wielkiego) wystawił ponownie *„Krakowiaków i Górali"* według inscenizacji schillerowskiej w reżyserii *FELIKSA ŻUKOWSKIEGO*. Zawrotny sukces sprzed 15 lat już się wprawdzie nie powtórzył, do przeszłości należała jedyna w swoim rodzaju sytuacja, ale przedstawienie przyjęte zostało przez publiczność sercem. Gdy w 3 akcie wkraczali na scenę krakowiacy z kosami osadzonymi na sztorc, śpiewając: *„Dalej, bracia, dalej żywo..."*, widzowie zrywali się każdorazowo z miejsc, by rytmicznie wybijanymi oklaskami towarzyszyć aktorom, utożsamiając się z nimi w narodowej manifestacji.

Do tej pięknej tradycji nawiązuje nowa inscenizacja *„Krakowiaków i Górali"*, jakiej jesteśmy świadkami dziś w *Teatrze Powszechnym* *). Zadanie karkołomne, do podjęcia przez niewiele teatrów w Polsce możliwe z uwagi na konieczność posiadania zespołu licznego, sprawnego, rozśpiewanego i roztańczonego. Bez tych komponentów, reprezentowanych względnie równomiernie, nie ma co się porywać z motyką na słońce!

Muszę donieść na wstępie z radością, że Teatr Powszechny dysponuje takim zespołem, w związku z czym — generalnie rzecz biorąc — sprostał zadaniu, dopisując do łódzkiej kroniki „Krakowiaków i Górali" jeszcze jedną znaczącą datę. Z pewnością nie bez kozery jest także fakt, że schillerowskie wzory nie odłożone są do archiwum. W historycznej inscenizacji powojennej brał udział (jeszcze bodaj jako student) *MIROSŁAW SZONERT*, w kolejnych inscenizacjach występowali dzisiejsi wykonawcy: *ZBIGNIEW NIEWCZAS, JÓZEF ZBIRÓG* i... wybaczcie mi, jeśli kogoś nie wymieniłem!

Nie znaczy to jednak, że nowe wystawienie opery narodowej jest wierną kopią schillerowskiego. Upływ czasu spowodował, że pewne akcenty dawnej inscenizacji zestarzały się. Zmienia się po prostu odbiór tekstu, przez publiczność ewoluują mody i konwencje. Dlatego Mirosław Szonert stworzył widowisko zbliżone do tego sprzed blisko 40 lat, nasycone jego życiodajnymi sokami, ale sporo odbiegające od niego układem tekstu i poważnymi skrótami. Nie brak atencji dyktował te zabiegi, ale wymogi życia.

Zrezygnowano również z typowych dla poprzednich realizacji aktualnych aluzji, nie włączając m. in. korespondujących ze współczesnością kupletów. Decyzja w obecnej pełnej napięć sytuacji chyba słuszna. Aluzyjność „śpiewogry" pozostaje w sferze nieuszczegółowionej narodowej historii, a na plan pierwszy wysuwają się akcenty zgody i porozumienia.

Reżyser potrafił stopić całość przedstawienia w jednolitą, barwną, utrzymaną w niesłabnącym tempie całość. Efektem tych zabiegów jest wizja sceniczna atakująca zmysły i uczucia widza, niosącą mu szlachetną rozrywkę i kładąca się balsamem na zestresowaną psychikę.

Oprawa sceniczna jest dziełem *ADAMA KILIANA*. Zachował on wprawdzie układ sytuacyjny z dawnej dekoracji *WŁADYSŁAWA DASZEWSKIEGO*, ale nasycił obraz sceniczny swoją wybitną indywidualnością plastyczną. Drzewa, domy, zabudowania, jakby wyrzezane kozikiem, a jednocześnie stylowo wysmakowane. Istnym cackiem jest kurtyna wymalowana przez scenografa, będąca plastycznym skrótem całej sytuacji dramatycznej opery. Jest tam i Kraków, rodem z szopek, okolony murami, i miniaturowy młyn Bartłomieja u podnórza grodu, i w głębi Tatry, skąd nadpłyną krvpy z Bryndasem-góralem. Piękne, barwne kostiumy, w których tradycja miesza się ze współczesnym widzeniem malarskim, uzupełniają całość oprawy plastycznej.

Ważnym czynnikiem współorganizującym i galwanizującym widowisko jest muzyka. Zachowano podstawowe opracowanie kompozycji mistrza Stefaniego, dokonane dla potrzeb inscenizacji Schillera przez niezapomnianego profesora *WŁADYSŁAWA RACZKOWSKIEGO*, ale nową orkiestrację przygotował *BOGDAN PAWŁOWSKI*, który niezawodnie panuje nad całą stroną muzyczną przedstawienia.

Nad stroną choreograficzną czuwa nieomylnie mistrz *WŁODZIMIERZ TRACZEWSKI*, łącząc w niej dynamikę i komizm z ludową tradycją taneczną.

Zespołowi trzeba przyklasnąć jako całości, nim wyróżni się niektórych wykonawców osobną wzmianką. Znać ogromny wysiłek włożony w przygotowanie spektaklu, który zaowocował świetnym opanowaniem ruchu scenicznego i tańca, dyscypliną, dobrym przygotowaniem głosowym zarówno w partiach solowych, jak i w ensemblach. „Krakowiacy i Górale" opierają się na zespołowym działaniu scenicznym i tutaj nie spotyka nas ze strony aktorów zawód.

Ról popisowych jest u Bogusławskiego stosunkowo niewiele. Większość z nich obsadzona została podwójnie, co zmniejsza eksploatację sił poszczególnych aktorów i poszerza grono solistów.

Słowa uznania pragnąłbym najpierw skierować do *ZBIGNIEWA NIEWCZASA*, który gra rolę Bardosa i samego Bogusławskiego w dopisanym Prologu. Zyskała już sobie prawo obywatelstwa konwencja, że rolę studenta gra w „Krakowiakach i Góralach" doświadczony aktor. Niewczas wnosi do przedstawienia kunsztowny warsztat aktorski, pięknie śpiewa, znakomicie porusza się. Drugi wykonawca tej roli, *HENRYK MARUSZCZYK*, jest mniej precyzyjny i chłodniejszy w interpretacji.

Miłą niespodzianką był dla mnie młody aktor *GRZEGORZ MARCHWICKI* w roli Stacha. Pamiętam go jako Skrzypka w amatorskim przedstawieniu „Rzeźni" Mrożka w Teatrze Stu Krzeseł prowadzonym przez Krystynę Hencz. Dziś Grzegorz, już po studiach aktorskich, wnosi w przedstawienie „śpiewogry" wiele młodzieńczego uroku, vis comica i muzykalności. Jego alter ego w innej obsadzie jest słabszy głosowo *MACIEJ KORWIN*.

W roli kochliwej młynarzowej Doroty prezentuje *RENATA FRIEMAN-KRYŃSKA* świetne warunki sceniczne i dobre opanowanie rzemiosła. Pięknie brzmi w jej wykonaniu aria „Serce nie sługa". Drugą wykonawczynią tej roli, której gry nie udało mi się oglądać, jest *GABRIELA SARNECKA*.

Z miłą swadą gra Basię *MAGDALENA CWENÓWNA*. Druga wykonawczyni tej roli, *EWA SONNENBERG*, aktorka o mniejszym doświadczeniu scenicznym, gra z prostotą i wdziękiem. Świetny ruchowo i pełen humoru jest *ANDRZEJ ŁĄGWA* jako Jonek. Przezabawnie grają na zmianę Miechodmucha *JERZY SZPUNAR* i *JÓZEF ZBIRÓG*. Z górali znakomitą postawą wyróżnia się *TADEUSZ PARADOWICZ* jako Bryndas, zaś *ZBIGNIEW SZCZAPIŃSKI* ujmuje tę rolę dosadniej, bardziej sterując ku rodzajowości, a obok nich *MICHAŁ SZEWCZYK* (Morgal), *BRONISŁAW WROCŁAWSKI* (Świstos), i *ANDRZEJ FOGIEL* (Kwicołap).

Zdaję sobie sprawę ze zdawkowości tych ocen, ale — jak wspomniałem wyżej — głównym atutem przedstawienia jest zespołowość i całemu też Zespołowi kłaniam się nisko.

*) Wojciech Bogusławski „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale", opera narodowa w czterech aktach z muzyką Jana Stefaniego; opracowanie dramaturgiczne tekstu — Halina Pawłowicz i Mirosław Szonert; opracowanie muzyczne — Władysław Raczkowski; inscenizacja i reżyseria — Mirosław Szonert; scenografia — Adam Kilian; kierownictwo muzyczne i instrumentacja — Bogdan Pawłowski; choreografia — Włodzimierz Traczewski; konsultacja wokalna — Adam Duliński; premiera — 26 lutego 1983 r.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Krótka kołdra mecenasa

W pojęciu państwowego mecenatu kultury zawiera się, najzupełniej słusznie, obowiązek finansowania przez socjalistyczne państwo tych społecznych potrzeb, których nie da się zaspokoić na innej drodze, np. samą tylko ofiarnością społeczeństwa. Ale ustalenie niezbędnego zakresu państwowego wsparcia jest w każdym przypadku z osobna sprawą odrębną, zależy bowiem od wagi i pilności problemu, czyli od tego, jaki danej potrzebie przyzna się priorytet. Wiadomo przecież, i odczuwamy to wszyscy jako oczywistość, że np. rewaloryzacja Krakowa, że pomnażanie i ochrona zbiorów Muzeum Narodowego, że znajdująca się w budowie „Bibliotheka Patria" i jeszcze szereg innych „pozycji" muszą mieć dla siebie gwarancje w budżecie Ministerstwa Kultury i Sztuki, bez względu na to, z jak daleko idącą pomocą śpieszyłoby społeczeństwo.

Chyba jednak nikt nigdy do końca nie odpowie na pytanie o granice obowiązku finansowania kultury przez państwowego mecenasa, ponieważ w odniesieniu do większości poczynań są one i pozostaną zawsze płynne, zawsze bowiem będą uzależnione z jednej strony od możliwości budżetowych (na tle ogólnego stanu gospodarki), a z drugiej od — wywierających nacisk na władzę — aspiracji i ambicji poszczególnych środowisk kultury, a także regionalnych społeczności. Obecnie zresztą, kierunek działalności zapoczątkowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, uwzględnia w większym niż dotychczas stopniu potrzeby kulturalne polskiej prowincji, w tym także społecznego, amatorskiego ruchu kulturalnego (dotowanego niegdyś przez CRZZ), co rozbudza i zwiększa zewsząd oczekiwania pomocy od kulturalnej „centrali" lub przynajmniej od jej wojewódzkich agend.

Ten właśnie motyw społecznych oczekiwań, który dał się słyszeć w wypowiedziach uczestników niedawnego spotkania z Ministrem Kultury i Sztuki w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta" w Zgierzu, ujawnia pewne postawy, które, przez brak poczucia realizmu (czyli rozeznania w sytuacji gospodarczej) rozmijają się z założeniami obecnej polityki kulturalnej państwa, wskutek czego mogą okazać się mało owocne, a nawet szkodliwe. Nie zamierzam przez to powiedzieć: „Nie chcecie tego, co chce ministerstwo, toteż za karę nic nie otrzymacie". Dziennikarz nie jest przecież urzędnikiem ministerstwa, lecz rzecznikiem interesu społecznego i dlatego właśnie pragnę dowieść, że pewne postawy, partykularne, wyrażane przez petentów źle służą interesom, które oni w najlepszych intencjach reprezentują. A sprawa jest o tyle ważna, o ile partykularyzm jest postawą dość powszechną, nie tylko mieszkańców miejscowości X. Ale — w czym się owe postawy przejawiają?

Jeden z uczestników, powodowany jak i inni najszlachetniejszym lokalnym patriotyzmem powołał się na liczbę kilkudziesięciu zabytków miasta, będących zapewne rzadkim już przykładem dawnego budownictwa, a wszystkie te zarejestrowane obiekty wymagają czy to konserwatorskiej opieki, czy nawet gruntownej restauracji. Inny, informując o zachowanej z dawnych czasów aparaturze chemicznej, uzasadniał potrzebę powołania na miejscu pierwszego w Polsce (a może i w Europie) muzeum, gromadzącego zabytki z tej właśnie dziedziny przemysłu. Podobne oczekiwania przewijały się także w innych wystąpieniach, a rozbrzmiewają one także na setkach spotkań i narad, jak Polska długa i szeroka.

Świadczy to chlubnie o przywiązaniu do miejsca, gdzie się żyje i pracuje i o poszanowaniu pamiątek przeszłości, ale często także o braku poczucia proporcji pomiędzy tym, co upragnione i miłe sercu, a tym co osiągalne w skali ogólnokrajowych potrzeb. Z takich niespełnień rodzą się frustracje, zapał łatwo przemienia się w zniechęcenie do społecznych działań, a lepiej dla sprawy byłoby spojrzeć na sytuację realniej.

Jeśli w naszej biedzie, z której nieprędko wybrniemy, a która zmusza nas m. in. do drastycznych oszczędności, nie wyzbędziemy się złudzeń, że możliwość sfinansowania tej czy innej inwestycji lub działalności zależna jest tylko od dobrej woli ludzi dysponujących finansami, mnożyć się będą w wykazie kulturalnych potrzeb pozycje wymagające państwowych dotacji. Złudne to jednak dziś mniemanie, że im więcej postulatów pod adresem skarbu państwa, tym większa szansa, że określona ich część będzie musiała być „krakowskim targiem" uwzględniona. A tymczasem odmienność sytuacji od tej sprzed kilku lat zdaje się polegać właśnie na tym, że im mniej (właśnie udokumentowanych) próśb o pomoc „z góry", tym większa szansa, że zostaną one w nieodległym terminie spełnione, zwłaszcza pod warunkiem wcześniejszego zaangażowania społecznych sił i środków we wstępną realizację zamierzeń. A to możliwe też tylko wtedy, gdy się owe środki skoncentruje na obiektach wybranych, zamiast rozpraszać je nieskutecznie ponad miarę własnych możliwości.

Konkretyzując, wyobrażam to sobie tak, że wszędzie, w każdym ośrodku trzeba się pogodzić z bolesną niekiedy koniecznością weryfikacji rzekomych priorytetów (priorytet oznacza pierwszeństwo, nie wszystkie więc potrzeby są w istocie priorytetowe). To znaczy, w odniesieniu do reliktów przeszłości, zdecydować, co bezwzględnie pragniemy ocalić — przez konserwację czy gruntowną restaurację, co zaś spisać na straty, sporządzając póki czas dokumentację. Zyska na tym wiarygodność „priorytetów" i ich szansa na ocalenie. W przeciwnym razie, przy nierealistycznym rozdymaniu globalnych potrzeb, jako atutu przetargowego („im więcej zażądamy, tym więcej dostaniemy") zagłada grozi całości zabytkowej substancji, łącznie z obiektami najcenniejszymi. Bo szanse na dotację ma tylko konkretny obiekt, w bardzo wyjątkowych wypadkach zespół. A nie każda tzw. starówka jest Toruniem, Zamościem czy Sandomierzem. Weźmy też pod uwagę i to, że tam gdzie ratuje się od zniszczenia wielkie zespoły miejskie, jak w Krakowie, już w trakcie tego długoletniego procesu pojawiają się ogromne problemy z zasiedlaniem przez instytucje lub prywatnych użytkowników, żeby to co się uratowało przekazać w ręce użytkownika dającego gwarancję, że będzie o zabytkowe mienie dbał należycie, a jeśli nie, to jakie można będzie wtedy zastosować prawne sankcje...

Trudno przestawić się na nowe myślenie, łatwiej liczyć na cud, że wyposażone dzięki reformie w większe środki lokalne władze administracyjne okażą się łaskawsze dla miejscowych zabytków, tam zwłaszcza, gdzie nie figurują one w klasie „zerowej" czy „pierwszej" (czyli tych, dla których trudno pozyskać pomoc z centralnego budżetu). Czy wolno zwłaszcza wiązać z tym nadzieje, że presja miejscowego społeczeństwa nakłoni lokalną władzę do hojności wobec tego rodzaju potrzeb?

Wydaje mi się, że dopóki budżet państwa jest dla obywatela abstrakcją, w tym sensie, że „rząd" ma pieniądze i co mu za różnica, czy da nam ileś tych milionów na to lub owo, dopóty łatwo jest pozyskiwać aprobatę społeczną dla wszelkich żądań adresowanych do władzy. Z chwilą jednak, kiedy do ogółu obywateli dotrze świadomość, że restauracja zabytkowego budynku w ich mieście oznacza np. rezygnację z budowy bloku mieszkalnego, z doprowadzenia drogi do osiedla, z odcinka wodociągu lub wybudowania przedszkola, proporcje budżetowe staną się ludziom sprawą nieobojętną. Radni domagający się zwiększania środków na kulturę mogą nie mieć łatwego życia...

Czas płynie, zabytki niszczeją, placówki kultury borykają się z trudnościami. Może być nieźle ttam, gdzie działacze kultury potrafią nakreślić realny program wyzwalający aktywność i ofiarność społeczną. Im prędzej, tym lepiej.

Periculum in mora. Niebezpieczeństwo w zwłoce — mawiali Rzymianie.

JERZY KWIECIŃSKI

Dokończenie ze strony 1

tać zaledwie jedną dziesiątą tego niewyczerpalnego przecież potencjału, to i tak stanowiłoby to około 20 razy więcej od obecnych możliwości energetycznych całego globu.

Brzmi to wręcz fantastycznie, przestrzegałbym jednak przed zbyt dosłownym traktowaniem tej efektownej prognozy. Po pierwsze dlatego, że wykorzystanie nie jednej dziesiątej, ale choćby jednej milionowej energii wiatru na Ziemi, przekraczałoby nasze obecne możliwości, po drugie zaś — ponieważ inne rozwiązania wydają się bardziej obiecujące. Błędne jest ponadto mniemanie, że istnieje — przynajmniej na razie — jakieś jedno jedyne najlepsze rozwiązanie problemów energetycznych naszej cywilizacji. I dlatego, jeżeli nadal mówi się dziś obiecująco o wiatrakach, to tylko jako o pewnym, niewielkim zresztą marginesie tych problemów. Co prawda buduje się już teraz elektrownie wiatrowe o mocy rzędu kilku megawatów, ale jest to niewiele w porównaniu z potrzebami energetycznymi takich krajów jak Francja, Szwecja, USA, RFN, Holandia, czy ZSRR, które mają największy chyba udział w rozwijaniu energetyki wiatrowej.

A Polska? Co u nas robi się w tym kierunku?

Prototyp wiatraka skonstruowany przez **Henryka Rynkowskiego**, mający wszelkie dane, by w latach 60 wejść do seryjnej produkcji, miał moc rzędu od pół do jednego kilowata. Prototyp wiatraka typu W-10, zbudowany ostatnio w warszawskim **Instytucie Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa**, ma mieć moc 6-8 kW przy średniej prędkości wiatru 7 m/s. Inne dane techniczne: średnica śmigła, którego dwie łopaty wykonane są z laminatu epoksydowo-szklanego — 10 m., ilość obrotów — ok. 100/min., ciężar przy wysokości wieży stalowej, skręcanej 17 m — 4850 kg. Koszt ok. 600 tys. złotych.

Konstruktorami rolniczej siłowni wiatrowej typu W-10 są **mgr inż. Franciszek Głuski** i **mgr inż. Józef Wysocki**, z którym miałem niedawno przyjemność rozmawiać:

— Czy pana zdaniem elektrownie wiatrowe mają w Polsce przyszłość?

— Mają, tyle że bardzo uwarunkowaną. Przede wszystkim ze względu na klimat: nie można ich budować w dowolnym miejscu, ale tylko tam, gdzie jest odpowiedni wiatr. Dalej: elektrownia będzie dobrze pracowała tylko wtedy, gdy jej użytkownika cechować będzie wysoka kultura techniczna. To samo odnosi się zresztą do producenta. Poza tym — względy ekonomiczne. W sytuacji, gdy mamy chorą gospodarkę, wiele zastosowań elektrowni wiatrowych stoi pod znakiem zapytania...

— O jakich zastosowaniach pan myśli?

— Tradycyjnym zastosowaniem wiatraka w rolnictwie jest regulacja stosunków wodnych, czyli, mówiąc prościej, nawadnianie i odwadnianie. I w tej też dziedzinie widzę obecnie największe tak potrzeby, jak i możliwości. Inne możliwe zastosowania, to ożywienie martwych wód słodkowodnych poprzez ich napowietrzanie, wykorzystanie energii wiatru do napędzania ciężkich maszyn — np. piły tarczowej, śrutownika, sieczkarni, a nawet młockarni.

— A czy wiatrak może stanowić samodzielne i jedyne źródło energii elektrycznej np. w odległych od linii energetycznych wsiach, czy pojedynczych domostwach?

— Zaopatrzenie siedzib ludzkich w energię elektryczną musi mieć dziś charakter ciągły, a to gwarantuje tylko sieć, nie znamy bowiem na razie lepszego sposobu magazynowania prądu, niż właśnie w sieci. Tam, gdzie sieci nie ma, trzeba magazynować prąd w akumulatorach, te zaś są jeszcze bardzo niedoskonałe i nietrwałe. Dlatego też energetyka wiatrowa nie może być alternatywą elektryfikacji wsi, może być jej uzupełnieniem i to również nie w każdym wypadku. Musimy pamiętać, że na razie — przynajmniej u nas — prąd z sieci jest tańszy.

— Powszechnie sądzi się, że jest odwrotnie, gdyż prąd z wiatraka mamy darmo...

— Nic bardziej błędnego! To tylko wiatr wieje za darmo. Żeby go wykorzystać, trzeba zbudować wiatrak, a to kosztuje i to sporo. Musi to być przecież konstrukcja trwała, bezpieczna dla otoczenia, nie wymagająca obsługi. Wiatrak powinien pracować bezawaryjnie przynajmniej 20 lat, gdyż dopiero po tak długim czasie zwracają się koszty jego budowy...

— Czy wielu amatorów budowy wiatraków zgłasza się do pana, do instytutu?

— W każdą środę mam ich po kilku. Dziwi mnie jednak brak wyobraźni i poczucia realizmu tych ludzi. Prawie wszyscy od razu chcą budować wiatraki do uzyskiwania większych mocy. Mało jest takich, którzy chcieliby dochodzić do celu krok po kroku.

— Krótko mówiąc, więcej pokory!

— Tak: więcej pokory i pracowitości.

— Czy nie obawia się pan podzielenia losu swoich poprzedników, którzy nie doczekali się uznania, ani szerszego zastosowania wiatraków, które skonstruowali?

— Nie. Znaleźliśmy się w dołku energetycznym, z którego musi być jakieś wyjście. Samym narzekaniem i apelami nic się nie zrobi...

— Zgoda. Ale w tym dołku tkwimy już przecież od wielu lat.

— I dlatego trzeba robić coś konkretnego, by z tego dołka wyjść. Moim zdaniem, przynajmniej w niektórych wypadkach możliwość taką daje właśnie energetyka wiatrowa. Jest to oczywiście jedna z możliwych dróg — wąska, raczej dróżka, ścieżka...

— I na to zgoda. Zastanawiam się jednak, czy nie zabraliśmy się do tego zbyt późno. W wielu krajach wraz z pojawieniem się kryzysu energetycznego przystąpiono do realizacji szeroko zakrojonych planów wykorzystania energii wiatru. Np. w USA w latach 1973-75 na badania w tym kierunku wyasygnowano — tylko z budżetu federalnego — prawie 10 mln dolarów, w roku 1977 — już ponad 22 mln, a w roku 1979 — 60 mln dolarów...

— ... a teraz wydaje się tam ponad 100 mln dolarów i jeszcze narzeka, że to bardzo mało. Poza tym elektrowniami wiatrowymi zainteresowały się wielkie prywatne firmy lotnicze, które nie szczędzą środków na ten cel. Dochodzi już do tego, że firmy te przystępują do działań na tak dużą skalę, jak np. program wyposażenia Hawajów w siłownie wiatrowe. Rozważana jest możliwość zbudowania tam 20 olbrzymich wiatraków o mocy 4 MW każdy. Trudno powiedzieć, czy to się uda, ale jest to niewątpliwie przedsięwzięcie bez precedensu w skali światowej.

— A jakimi funduszami pan dysponuje?

— W roku 1980 na prace nad wiatrakami mieliśmy rzeczywiście bardzo mało pieniędzy, bo zaledwie kilkadziesiąt tysięcy złotych. W 1981 roku było już około miliona, fundusz na rok ubiegły zamknie się prawdopodobnie sumą 6-7 milionów. I to jest przesilenie, bo w latach następnych wydawać będziemy już mniej. Skompletowaliśmy sprzęt, który powinien pozwolić na skonstruowanie prototypu standardowej siłowni wiatrowej do celów rolniczych. Potem zamierzamy przystąpić do prac nad wiatrakiem 40-kilowatowym, opartym na tych samych zasadach konstrukcyjnych.

— Nie marzy pan o wiatrakach dających prąd nie w kilo-, ale w megawatach? Przecież takie siłownie już na świecie pracują...

— Tak, ale my mamy gorsze warunki klimatyczne niż np. Szwecja, czy Holandia. Tamte konstrukcje przeniesione żywcem do Polski nie dałyby aż tak dużych mocy. Moc wiatraka proporcjonalna jest do trzeciej potęgi prędkości wiatru. W Polsce średnioroczna prędkość wiatru (jest to pojęcie statystyczne, które obrazuje zasobność energetyczną wiatru) wynosi 3,5-4 m/s, natomiast na wybrzeżach Szwecji sięga 6 m/s, a w niektórych miejscach w Holandii przekracza nawet 7m/s. U nas mamy mało takich miejsc, chociaż na Śnieżce, powiedzmy, średnioroczna prędkość wiatru przekracza 11 m/s. Gdyby tam postawić duży wiatrak, mógłby on z pewnością znacznie zasilić pobliski okręg przemysłowy. Obawiam się tylko, że zaraz odezwałyby się głosy sprzeciwu ze strony obrońców krajobrazu...

— No, jest już na Śnieżce nowoczesne obserwatorium...

— ... i zimą przypomina czasem bryłę lodu. Nie wiadomo, czy w takich warunkach wiatrak mógłby w ogóle pracować. Dlatego trzeba zejść raczej w niziny, a przede wszystkim — na Wybrzeże, gdzie z powodzeniem można by eksploatować dziesiątki elektrowni wiatrowych o mocy rzędu kilkuset kilowatów. Taki system z pewnością znacznie odciążyłby istniejącą tam sieć energetyczną.

— Co w takim razie stanowi największą przeszkodę w rozwijaniu w Polsce energetyki wiatrowej?

— Brak wolnoobrotowych prądnic oraz materiałów na kompozyty, z których powinny być zbudowane łopaty śmigła. Problemy konstrukcyjne są już w zasadzie — jeżeli nie przez nas, to przez innych — rozwiązane i opanowane.

— A czy utrzymujecie jakieś kontakty z innymi ośrodkami prowadzącymi prace nad energetyką wiatrową? Myślę tu o wymianie informacji, doświadczeń...

— Te kontakty są bardzo ograniczone — i to nie z naszej winy. Dla przykładu: napisaliśmy pismo do centrum energetyki wiatrowej w ZSRR z propozycją nawiązania kontaktów. Po roku otrzymaliśmy enigmatyczną odpowiedź, że wszelkie kontakty mogą odbywać się tylko za pośrednictwem ministerstwa. Jeżeli zaś chodzi o Zachód, to otrzymujemy w zasadzie tylko informacje handlowe, nie zaś o charakterze technicznym, na których najbardziej nam zależy. Te ostatnie, jeśli do nas docierają, to na ogół bardzo okrężną drogą. Kiedy przystępowałem do pracy nad wiatrakami, musiałem najpierw zgromadzić odpowiednią literaturę na ten temat. Polskie źródła są bardziej niż skromne, a zagraniczne — bardzo trudne do zdobycia. Niektóre pozycje udaje się wypożyczyć z biblioteki, by zrobić ich kserokopie (wydałem na to sporo pieniędzy), inne trzeba było kupić za własne zaoszczędzone dolary. Instytut nie ma też pieniędzy na wysyłanie nas na międzynarodowe konferencje, mimo że otrzymujemy zaproszenia.

— Cóż, obserwując historię rozwoju, a właściwie — przepraszam za słowo — niedorozwoju polskiej energetyki wiatrowej, trudno nie dojść do wniosku, że stosunek władz do niej nie był raczej przychylny...

— No, teraz widać postęp, gdyż ten stosunek jest idealnie obojętny. Biorąc pod uwagę, że przedtem był negatywny.. Być może poprzednie władze obawiały się usamodzielnienia energetycznego rolników, co — nawiasem mówiąc — jest absurdem, gdyż rolnik posiadający wiatrak i tak się nie uniezależni. Może natomiast zaoszczędzić dewizy dla kraju.

Obecnie Ministerstwo Finansów nie zajęło nawet jasnego stanowiska w sprawie opodatkowania wiatraków, czy innych niekonwencjonalnych źródeł energii. Moim zdaniem w tym wypadku opodatkowanie powinno zostać zawieszone co najmniej do 2000 roku. Z tego też między innymi powodu wielu rolników, którzy chcieliby i mogliby inwestować w wiatraki, boi się tego robić, nie wiedząc, co czeka ich za parę lat. A wiatrak, jak już mówiłem, amortyzuje się nawet do 20 lat.

— Z etatowych pracowników instytutu tylko dwóch zajmuje się energetyką wiatrową. Czy to aby nie za mało, by mówić o poważnym podejściu do sprawy?

— Za mało, chociaż z drugiej strony — boję się biurokracji. Wolę już, jeżeli jest mniej osób, ale za to naprawdę zainteresowanych problemem, którym się zajmują. Współpracujący ze mną mgr inż. Franciszek Głuski ma 70 lat i jest już na emeryturze. Teraz właśnie przebywa w Nowym Mieście Lubawskim, gdzie prowadzi badania eksploatacyjne naszego prototypu. Niestety, nie zawsze otrzymuje wynagrodzenie za swoją pracę.

Boję się administracyjnego sposobu patrzenia: jeśli damy więcej etatów, to większa praca będzie wykonana. A przecież to nie etat, ale człowiek wykonuje pracę, prawda? Żeby więcej ludzi nauki zajęło się energetyką wiatrową, potrzebny jest klimat społecznej akceptacji...

— Sądzę, że tej chyba nie brakuje. Ludzie z nadzieją i optymizmem patrzą na wiatraki. Obawiam się nawet, że ten optymizm jest zbyt duży.

— A nie brakuje też czarnowidzów — np. w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki, czy Instytucie Energetyki. Naszą działalnością chcielibyśmy dowieść tym panom, że — wbrew temu, co mówią — da się tu jednak wiele zrobić w resorcie rolnictwa. Trzeba tylko chcieć.

— A co pan zrobi, jeżeli się panu nie uda?

— Będę cierpliwy.

— Życzę powodzenia. Słyszałem, że wasze prototypy mają szansę wejść do seryjnej produkcji...

— Tak. Państwowe Ośrodki Maszynowe w Sztumie-Górkach i w Nowym Mieście Lubawskim wstępnie wyraziły zainteresowanie podjęciem seryjnej produkcji. Wszystko jednak zależy od tego, czy znajdą się ewentualni nabywcy. Tych zaś z pewnością nie braknie, jeśli będzie to dla nich po prostu opłacalne. Na razie, niestety, nic nie wskazuje na to, by urealniono ceny energii i paliw oraz, aby uregulowano sprawy podatkowe. Dopóki sytuacja nie ulegnie zmianie...

— To znaczy: dopóki cena kilowata energii z wiatraka nie będzie u nas porównywalna z ceną energii z sieci?

— Tak, gdyż obecnie jest większa i dlatego o powszechnym wykorzystaniu siły wiatru w Polsce mówić chyba jeszcze za wcześnie. O powszechnym — powtarzam — bo w wielu specyficznych sytuacjach już dziś zastosowanie wiatraka może być opłacalne. Np. przy nawadnianiu łąk, z których uzyskany w ten sposób przyrost masy zielonej już w ciągu 3 lat może pokryć koszt urządzenia.

— Wie pan, czasem zastanawiam się, co będzie, gdy zapasy węgla znacznie nam się zmniejszą, gdy spalanie w tradycyjnych elektrowniach okaże się zdecydowanie najmniej ekonomicznym sposobem jego wykorzystania, gdy z ropą będzie bardzo krucho, a elektrownie atomowe nie zaspokoją naszych potrzeb...

— ... wtedy wszyscy zaciśniemy zęby i będziemy budować wiatraki — bez względu na koszty.

Kiedy na wsi znów pojawią się nowoczesne wiatraki?

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Morderczy trójbój

Brytyjscy miłośnicy sportu zaczną, być może, niezadługo zastanawiać się, czemu kiedyś maraton robił taką sensację, skoro teraz zobaczą na własne oczy, jak po 10 godzinach nieustającej walki o zwycięstwo człowiekowi starcza ledwie sił na to, żeby na czworakach pełznąć do przodu. Oto bowiem w Anglii ma być zorganizowany „trójbój" — impreza, której uczestnicy muszą przepłynąć 2 i pół mili (4,53 km), potem pedałować w szaleńczym tempie na rowerach, następnie przebiec 26,2 mili (41,92 km). Wszystko to bez chwili wytchnienia.

Brytyjskie Stowarzyszenie Trójboju — BTA (British Triathlon Association) zawiązało się w grudniu 1982 r. A teraz w miejscowości Reading zebrało się znamienite grono, które poinformowano, że w Wielkiej Brytanii pierwsze tego rodzaju mistrzostwa planuje się zorganizować w Bedford, prawdopodobnie w lipcu 1983 r. W Reading zjawili się — pięcioboista Danny Nightingale, zdobywca złotego medalu na Olimpiadzie w 1976 r. oraz Sahar Parker, która zajęła drugie miejsce w mistrzostwach świata w pięcioboju nowoczesnym kobiet w 1982 roku. Parker powiedziała, że „trójbój" uzyska popularność, *„ponieważ w naszym kraju jest tylu zbzikowanych ludzi, którzy chcą robić śmieszne rzeczy"*. Ale właśnie takiego kpiącego i pobłażliwego stosunku do „trójboju" nie chce BTA. Stowarzyszenie mianowało Wilsona Millsa (który kiedyś był znanym na świecie pływakiem) na stanowisko doradcy medycznego, po to, żeby uprzytomnić uczestnikom „trójboju" niebezpieczeństwo przeliczenia się z własnymi siłami.

„Trójbój" to najnowszy szał w Stanach Zjednoczonych. Jest to konkurencja tak wyczerpująca, że dwie z najwyżej cenionych w Ameryce imprez tego typu otrzymały przydomki: „Człowiek z żelaza" i „Ucieczka z Alcatraz"

W 1982 roku organizatorzy imprezy „Człowiek z żelaza", która odbyła się na Hawajach, nie dopuścili do udziału w niej paru setek chętnych ograniczając liczbę startujących do 850. Jeden z nich dał amerykańskiej sieci telewizyjnej ABC okazję do najbardziej sensacyjnych zdjęć ukazanych w ramach „Wiadomości sportowych". Tym zawodnikiem była kobieta, Julie Moss, lat 23. Prowadziła. Ale na kilka metrów przed metą czterokrotnie upadła ze zmęczenia. Inna ją wyprzedziła. Jednak Moss popełzła na czworakach i zapewniła sobie drugie miejsce. Nowojorczyk, Bill Noel, czynnie uprawiający „trójbój" i organizujący jego imprezy, wyraża przekonanie, że sprawa Moss ogromnie spopularyzowała tę nową konkurencję sportową. Noel stwierdza:

— Sprawa uzyskała wielki rozgłos i była czymś, co, rzec można, usankcjonowało w oczach ludzi nasze istnienie.

Po wielu długich godzinach treningu, hartowania mięśni i wyrabiania w sobie woli zwycięstwa trójboista przyjmuje polecenie wycofania się z konkurencji równie nieżyczliwie, jak gracz w piłkę nożną odbiera „czerwoną kartkę". Noel wskazuje:

— 98 proc. startujących w trójboju walczy do samego końca. Ci, którzy odpadają, to zazwyczaj tacy, którzy mieli jakieś kłopoty z rowerem.

W Kailua-Kona na Hawajach trzeba było udzielić pomocy lekarskiej 126 uczestnikom imprezy. Dano im dożylnie 60 litrów glukozy.

Całkiem niezależnie od satysfakcji dobrnięcia do samego finiszu istnieje też inny jeszcze bodziec do walki — perspektywa wypłaty. Mike Ellis, który był pomysłodawcą stworzenia Brytyjskiego Stowarzyszenia Trójboju — BTA, mówi:

— Mamy nadzieję, że będziemy w stanie dawać nagrody pieniężne i to jest jeszcze jeden sposób zachęcenia ludzi.

Jednak te nagrody będą tylko pokryciem części wydatków na sprzęt potrzebny do treningu i nie podważą amatorskiego statusu uczestników imprezy, jaka odbędzie się w Bedford. Przygotowania do niej zawiodą trójboistów dalej, niż przejedzie w ciągu roku samochód przeciętnej rodziny angielskiej. Dzień w dzień porcja 40 mil (prawie 65 km) biegu, pływania i jazdy rowerem — potrzebna, żeby trójboista utrzymał się w dobrej formie — oznacza w przeliczeniu rocznym ponad 9.000 mil (14.580 km).

Danny Nightingale w planowanych na 1984 r. mistrzostwach świata i mistrzostwach Europy widzi dla siebie okazję do wystąpienia w barwach brytyjskich. Oprócz tego, że odniósł sukces na Olimpiadzie (w 1976 r.), Nightingale reprezentował i reprezentuje na wielu imprezach Wielką Brytanię w mistrzostwach świata w pięcioboju nowoczesnym, i uzyskał też renomę międzynarodową jako szermierz. Nightingale powiedział:

— Trójbój rozbudził w moim umyśle nowe zainteresowania. Powinien pomóc mi w trenowaniu do pięcioboju. Bo bez perspektywy „trójboju" zaczęły mnie już nudzić pływanie i bieg.

Zdaniem Nightingale'a, „trójbój" ma też tę zaletę, że wyklucza element przypadkowości, jaki istnieje w pięcioboju, gdzie na ostateczny wynik może wpłynąć to jakiego konia się wylosowało.

Mike Ellis (inicjator stworzenia BTA) przepowiada, że chociaż na pierwsze mistrzostwa nazwane mianem „Człowieka z żelaza" pojawiło się tylko 15 uczestników, to w pierwszych mistrzostwach Wielkiej Brytanii weźmie udział ponad 500 sportowców. Wśród nich będzie też Christine Barrett, która, jak wydaje się Ellisowi, jest jedynym obywatelem brytyjskim, jaki kiedykolwiek dobrnął do samego końca, „trójboju". Już fakt, że Barrett w ogóle znalazła się na starcie, był sam w sobie dużym osiągnięciem, ponieważ miała wypadek rowerowy, po którym była przez 3 dni nieprzytomna i bliska śmierci. W 6 tygodni po tym wypadku, w którym po zderzeniu się z jakimś samochodem dwukrotnie przekręciła się w powietrzu zanim upadła na ziemię. Christine Berrett przebiegła połowę dystansu maratonu. A w 5 miesięcy później uczestniczyła w imprezie „Maraton londyński". Przyszła na metę jako 2.141, mając czas o 3 godziny 3 minuty 53 sekundy gorszy od zwycięzcy. Po tym biegu zaczęła marzyć o czymś większym.

— Pomyślałam o „trójboju", bo po maratonie nigdy nie czułam się tak naprawdę „wypluta", nigdy nie przeżyłam cudownego uczucia, że jestem absolutnie „wykończona" — powiedziała.

W październiku 1982 r. w imprezie „Człowiek z żelaza" Barrett, 34-letnia instruktorka kultury fizycznej i tańca akrobatycznego, potrzebowała 12 i pół godziny, żeby znaleźć się na mecie tej imprezy. Teraz wspomina:

— Czułam się wspaniale po pływaniu i fantastycznie po rowerze, ale po 3 czy 9 milach maratonu zaczęłam być zmęczona.

DAVID POWELL („The Times")

Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

Trudno jest uczyć się myśleć inaczej

Narzekanie na środki masowego przekazu jest od dawna żelaznym tematem zarówno narad i posiedzeń, jak i rozmów, mniej lub bardziej prywatnych Głównym zarzutem, jaki stawia się prasie, radiu, czy telewizji jest stwierdzenie, że nie potrafią one przekonać ludzi do wygłaszanych w nich racji, nie potrafią kształtować ocen społecznych w pożądanym przez dysponentów kierunku. I jest to zwykle prawda, ale tylko wtedy, gdy mówimy o celach i racjach doraźnych, o opiniowaniu pewnych zdarzeń, drobnych zjawisk i problemów.

Gdyby oceniać jednak tę skuteczność w dłuższym okresie czasu werdykt musi ulec zmianie. Okazuje się że powtarzane przez lata slogany hasła zostały zapamiętane, co więcej, stały się podstawą myślenia wielu z nas. Aby to udowodnić posłużę się kilkoma przykładami.

W wielu rozmowach, wystąpieniach, dyskusjach, a szczególnie podczas tak zwanych „wolnych wniosków z sali" pada pytanie — jak to jest możliwe, że ceny stale rosną i zaraz potem stwierdzenie: przecież trzeba tego zakazać. Bardzo niewielu pyta dlaczego ceny rosną szybciej niż płace, jaka jest zależność między płacą realną i nominalną, a już naprawdę nieliczni pytają o to, czy rzeczywiste koszty wytwarzania pomnożone o zysk są jedynym bodźcem do podnoszenia cen. Popularność pytania o ceny jest powszechna z przyczyn oczywistych. Dlaczego jednak zadaje się takie właśnie pytanie, jakie wymieniłem na początku, a nie takie, jakie w dalszej części poprzedniego zdania?

Zgodzimy się chyba ze stwierdzeniem, iż postawa społeczeństwa wobec tego problemu nie jest kształtowana przez nauki ekonomiczne, bo nie mamy, ani mieć nie będziemy społeczności samych magistrów ekonomii. Przeciętny Polak uczy się ekonomii prowadząc domowe rachunki, a jej prawa poznaje głównie poprzez publikatory. A przecież przez długie lata środki masowego przekazu przedstawiały taki oto obraz: poziom cen zależny jest tylko i wyłącznie od woli kilku osób z kierownictwa partii i rządu. Przywódcy obiecywali utrzymanie cen, gdy zachodziła konieczność z dnia na dzień ceny zmieniali, zaś zadaniem prasy było wyłącznie szerokie publikowanie tych decyzji ze starannym pomijaniem pytania, jak ma się owo postępowanie do praw ekonomii Działanie to odniosło — jak widać — sukces, polegający na przekonaniu poważnych odłamów naszego społeczeństwa, że ceny nie mają nic wspólnego z prawami ekonomicznymi i że można nimi dowolnie manipulować O tym, że można nieuchronny wzrost cen łagodzić posługując się płacami, czy polityką społeczną chroniącą najuboższych — niestety się nie mówiło. Osiągnęliśmy w propagandzie sukces — przekonaliśmy ludzi, że o tym ile ma co kosztować decyduje nie ekonomista, a polityk. I stąd teraz to oburzenie, że „ci z góry" dopuszczają się wzrostu cen, stąd żądanie, żeby tego zakazać

Drugi sukces propagandy zawiera się w popularnym bardzo stwierdzeniu: pokazują i pokazują tę spekulację a ona ciągle trwa, przecież już dawno powinno się ją zlikwidować To z kolei jest efekt wieloletniego uprawiania zdeformowanej krytyki Szczególnie w telewizji obowiązywał zwyczaj, że nie ma prawa ukazać się na antenie materiał krytyczny, jeśli nie leży na półce kolejny ukazujący, że to co zostało skrytykowane jest już naprawione Czasami taśmy leżały całymi tygodniami, czy miesiącami, czekając na happy end, ale gdy się już materiał na antenie ukazał, to najpóźniej w dwa dni potem gromko obwieszczano, że sprawa jest już załatwiona. I ludzie się do tego przyzwyczaili, przywykli do tego, iż jeśli w poniedziałek skrytykuje coś Dziennik Telewizyjny to w środę będzie już „po sprawie" Dlatego teraz, gdy widzą na ekranie spekulację, narkomanię, panów spod budki z piwem czekają 48 godzin na załatwienie sprawy. Gdy wiadomości o zwalczeniu zła nie ma, są zdziwieni, a potem oburzeni. Przez lata pokazywaliśmy bowiem tylko takie problemy, które można w trzy dni rozwiązać. Teraz, gdy więcej mówimy o kłopotach prawdziwych, widzowie i czytelnicy dają władzy tydzień na ich załatwienie.

I sprawa trzecia: jak to jest — pytają niektórzy — że my w zakładzie musimy się o wszystko starać, że nie mamy tego zagwarantowanego, że nam tego nie zapewniono?

Ano dlatego, że przez lata powtarzano aż do znudzenia, iż ministerstwo, czy zjednoczenie wszystko komuś tam „zabezpieczyło". Przekonano ludzi, iż starać się o materiały musi rzemieślnik, zakład państwowy zaś wszystko dostaje, bo ktoś „z góry" o to zadbał Źle jest, gdy przysłowiową uszczelkę fabryka dywanów musi kupować za dywany, a nie za pieniądze, ale fatalnie jest także, gdy czeka aż rozdzielnik wszystko załatwi. Reforma uczy, że zadaniem państwa jest doprowadzenie do stanu, w którym podaż będzie choć równa popytowi Ale w jakiej fabryce i za ile przedsiębiorstwo znajdzie to, co mu konkretnie potrzebne, to już głównie jego sprawa.

Wystarczy zajrzeć do „Słownika poprawnej polszczyzny" by przekonać się, że użycie słowa „zabezpieczyć" w znaczeniu „zagwarantować" jest niepoprawne. I to nie tylko z językowego punktu widzenia. Ale może dlatego słowo „zabezpieczyć" zrobiło taką karierę, bo pozwalało uniknąć wyraźnego stwierdzenia, iż domagamy się ciągle by nam coś gwarantować? Podobnie, jak zamiast mówić, że jakiegoś towaru nie ma, mówimy, że jest... deficytowy.

I tak to wykształciły się nawyki myślenia oderwanego od ekonomii, oduczyliśmy się samodzielności i nauczyli wiary w cuda, w to, że „góra" wszystko może.

Trzeba będzie się teraz wielu rzeczy oduczyć, a to zawsze jest bolesne, bo, jak mówi przysłowie, przyzwyczajenie jest drugą naturą.

KRZYSZTOF KRUBSKI

Dworek w Byszewach i PGR

Przy lekturze artykułu Pawła Tomaszewskiego „Gdzie te panny, gdzie to Wilko"... (Odgłosy nr 7 z 12 lutego 1983 r.) nasuwają się pewne wątpliwości, które należy wyjaśnić. Jest również kilka faktów do uzupełnienia.

Bez wątpienia w Byszewach ma miejsce dewaluacja krajobrazu, a „dworek" do 1978 r. niszczał. Spróbujmy wyjaśnić czy to tylko bezmyślność i niedbalstwo.

Zmiany społeczne w powojennej wsi polskiej usunęły robotników rolnych z „czworaków", a właścicieli majątków z ich dworków i pałaców, przeznaczonych następnie na mieszkania, szkoły itp. jako nowi użytkownicy, wywodzący się z chałup o glinianych podłogach nie potrafili z początku i nie mieli nawyków dbania o parkiety i boazerie.

Skąpe środki finansowe, jakimi dysponowały PGR, były przeznaczone głównie na inwestycje produkcyjne i budownictwo mieszkaniowe — lokalizowane z myślą o maksymalnej użytkowości, a nie o harmonijnej zabudowie przestrzennej. Popełniono wówczas sporo błędów, dopuszczając do dewastacji wielu zabytkowych dworków, w tym i w Byszewach. Potrzeby produkcyjne przesłoniły inne sprawy, takie były racje, gdy nie starczało rąk do pracy w polu czy obsługi zwierząt.

Kiedy w latach 70 znalazły się fundusze na remonty zabytkowych dworków, skorzystały z tego i Byszewy. Dworek wyremontowano, a P. Tomaszewski w ciekawym artykule opisał, jak się w Byszewach dawniej działo, i co dzieje się dziś. Z artykułu dowiedzieliśmy się również, że dawniej „dworek" był domem mieszkalnym jego właściciela, posiadał pokoje gościnne, z których korzystał J. Iwaszkiewicz. Domyślać się należy, że był tam również „kantorek", w którym załatwiano sprawy gospodarczo-handlowe.

Z dawnych „majątkowych" budynków gospodarczych pozostała (obok „dworku") obórka zbudowana z kamienia oraz „gorzelnia" zaadoptowana na pomieszczenia mieszkalne i magazynek Jak i gdzie mieszkali robotnicy majątku, tego w żadnym opisie nie możemy znaleźć.

Co dzieje się obecnie w Byszewach?

„Dworek" wyremontowano, a po remoncie — w świetlicy jarzeniówki (obiekt zabytkowy), na ścianach wykwitły tynki, zapach farb emulsyjnych. Na dachu — gonty z początkiem nalotu mchu (nie dokończona konserwacja), przecieki. Na zewnątrz odpadające gzymsy. Takie są fakty. Jeżeli się tego w porę nie zlikwiduje nastąpi ponowne zniszczenie dworku.

Dlaczego tak się dzieje?

Inwestor — PGR Rogów odebrał 10 lutego 1982 r. „dworek" w Byszewach od wykonawcy PKZ w Łodzi. W załączniku nr 2 do protokołu odbioru końcowego odnotowano 18 usterek. Termin usunięcia ustalono:

poz. 1 do 13 oraz 17 i 18 do dnia 30 marca 1982 r., oraz poz. 14, 15 i 16 do dnia 15 czerwca 1982 r.

poz. 14 dotyczyła: zlikwidować plamy w robotach malarskich tynków wewnętrznych i zewnętrznych.

poz. 15 — poprawić tynki zewnętrzne oraz na gzymsach.

poz. 16 — dokonać malowania dachu środkami impregnującymi.

Do dnia dzisiejszego prace te nie zostały wykonane.

W lipcu 1982 r. z datą obowiązującą od 1.VII.1982 r. PGR Rogów przekazał Zakład Byszewy do Przedsiębiorstwa Rolniczo-Przemysłowego w Łodzi (8 użytkownik). PRP już trzykrotnie występowało do PKZ o usunięcie usterek (ostatnio 27.I.1983 r.) bez skutku. Fakty więc wyglądają trochę inaczej, niż to podaje dyrektor PKZ. Remont „dworku" kosztował 7 mln zł, należy remont ten dokończyć, aby włożone złotówki nie poszły na marne.

Stan zagospodarowania „dworku" na dziś.

Dworek jest już użytkowany. Dwa pokoje są wykorzystywane na pomieszczenia biurowe. Czynna jest świetlica, z której korzystają pracownicy i członkowie ich rodzin. Wyposażenie „dworku" jest zakupywane ze środków własnych załogi. Zakupiono już krzesła i stoliki do świetlicy oraz sprzęt świetlicowy. Zakupiono meble do pokoi gościnnych, zasłony i firanki na okna. Poszukiwania potrzebnego wyposażenia „dworku" rozpoczęto we wrześniu 1982 r. Są olbrzymie trudności w znalezieniu źródła nabycia czegokolwiek z wyposażenia. Mamy nadzieję, że w 1983 r. zakończymy wyposażenie „dworku".

Z prac na zewnątrz:

W 1982 r. rozpoczęto wymianę ziemi obok „dworku". Wiosną będzie nawieziona nowa ziemia i zasiana zostanie trawa. Zasadzono krzewy i drzewa w parku. Otoczenie wokół „dworku" będzie ogrodzone drewnianym płotkiem. Przęsła płotku aktualnie są montowane. Komórki pracownicze zostaną odgrodzone

Wszystkie te prace załoga Byszew musi wykonać własnymi siłami i z własnych funduszy. By mieć te fundusze, musi je wypracować w polu i w oborze — przy „gnoju". Obecna załoga jest niewielka, liczy 22 osoby, a powinna liczyć co najmniej 50 — takie są potrzeby produkcyjne. Z powodu braku mieszkań załoga nie może się powiększyć.

Wydaje nam się, że pracownikom PGR, za ich bardzo trudną i jakże pożyteczną pracę, też należy się możliwość korzystania z dóbr kultury, czasem miłe słowo.

Po wyremontowaniu „dworku" wyrosła „lawina" chętnych do jego użytkowania Nie znalazł się tylko nikt kto zaoferowałby swoje siły i środki do pracy w obejściu „dworku", parku itp. W prasie łódzkiej ukazały się notatki na temat Byszew, których nutka sprowadzała się do jednego: „jak Ci pegeerowcy będą z takiego dworku korzystać" — ano właśnie! Aby się o tym przekonać należy przyjechać do Byszew i zobaczyć jak pracownicy i ich dzieci korzystają ze świetlicy, a przekonają się jak bardzo mylili się w swych ocenach. Dodajmy, że na możliwość korzystania ze świetlicy załoga czekała 38 lat.

Wierzymy, że wśród korzystających ze świetlicy, szczególnie wśród młodzieży, znajdziemy sojuszników do pomocy w upiększaniu otoczenia „dworku", porządkowania parku, dbałości o sam „dworek".

Łódź, 22 lutego 1983 r.

inż. T. BRZOZOWSKI
zastępca dyrektora do spraw produkcji Przedsiębiorstwa Rolniczo-Przemysłowego w Łodzi

Stoki

W nawiązaniu do artykułu „Tam gdzie najwyżej...". Odgłosy nr 8 z 19.II. br., pragnę zwrócić uwagę, że zaprezentowany Czytelnikom reportaż w znacznej części rozminął się z prawdą i wymaga co najmniej kilku uściśleń:

1. Stoki nie są dzielnicą, a osiedlem — a już na pewno nie dzielnicą egzotyczną, raczej specyficzną z uwagi na swoiste uwarunkowania

2. Ul. Pieniny to nie wiejskie centrum, a typowa ulica przedmieścia, jakich w Łodzi dziesiątki.

3. Podtytuł reportażu „Dzielnica zabita deskami" nie ma żadnego uzasadnienia do przedmiotowego osiedla, ponieważ inny jest stan faktyczny.

4. Żarówki w latarniach ulicznych rzeczywiście się przepalają i prawdą jest, że potrzebne są interwencje, ale rozbojów na Stokach na szczęście jest najmniej i nie ma potrzeby wywoływać tego problemu

5. Wydaje się, że przytaczanie notatki z „Expressu" z 1976 r. można było sobie darować, ponieważ rzeczową argumentacją tłumaczyliśmy, że nawet w latach siedemdziesiątych mogło to być tylko marzeniem felietonisty.

6. Godne ubolewania jest to, że z naszej rozmowy którą w dość szerokim gronie na życzenie autora prowadziliśmy, autor wyciągnął niesłuszne wnioski i, co gorsza, zmienia sens wypowiedzi. Nie ja określiłem Stoki „sypialnią Łodzi" — potwierdziłem tylko, że w pewnym sensie zgadzam się z taką opinią. Nie użyłem też stwierdzenia, że mieszkańcy nie korzystaliby z baru, domu kultury lub — składu opałowego. Poddawałem tylko w wątpliwość realność takich propozycji.

I sprawa ostatnia. Nie wiem z czego bierze się awersja do ciszy kojarzonej z fermentującymi polami, ciszy, którą tak bardzo cenią sobie mieszkańcy tego osiedla.

Prosząc o powyższe sprostowanie, zastrzegam sobie na przyszłość autoryzowanie własnych wypowiedzi.

Z poważaniem
mgr LUCJAN PIERZCHAŁA

OD AUTORA:

Na postawione przez naczelnika, Lucjana Pierzchałę, zarzuty postaram się odpowiedzieć również w punktach:

— jeżeli chodzi o określenia „dzielnica zabita deskami", dzielnica egzotyczna oraz wiejskie centrum, są li tylko subiektywnym spojrzeniem autora. Oficjalnie niech będzie osiedle. Choć jest to pojęcie węższe, niż na przykład taka część Łodzi jak Chojny na których jest kilka różnych osiedli Jak w tym wypadku mają się do siebie terminy oficjalne i zwyczajowe? A to przecież nie jedyny przykład.

— o rozbojach i napadach na Stokach dowiedziałem się od samych mieszkańców Być może statystyki nie uwzględniają wszystkich „drobnych historii". Niemniej fakt, że jest ciemno i że okazja czyni złodzieja jest, moim zdaniem bezsporny Reporter ma prawo do przekazywania też opinii zasłyszanych, mając przy tym nadzieję, że sygnał przekazywany władzom uczuli ich na dany problem.

— jeżeli chodzi o sensowność przytaczania notatki z „Expresu Ilustrowanego" traktuję to jako osobisty pogląd Pana naczelnika, nie mający związku z istotą sprawy.

— wdawanie się w spór, czy Pan naczelnik użył sformułowania, że Stoki są „sypialnią Łodzi" czy też potwierdził, że w pewnym sensie zgadza się z tą opinią, uważam za niepotrzebne. Czyżby, ten szczegół miał aż takie wielkie znaczenie dla całości tekstu?

— ostatniego zarzutu: „nie wiem z czego się bierze awersja do ciszy kojarzonej z fermentującymi polami" — przyznam się szczerze, nie rozumiem. Reportaż został zakończony cytatem z wiersza Jerzego Waleńczyka pt. „Stoki":

„...Wśród przypływu
fermentujących pól
Stoki, echo Śródmieścia..."

Cytowania poety nie uważam, bynajmniej, za przejaw awersji do... ciszy Wprost przeciwnie, uważam, że cisza, jaka panuje na Stokach jest fascynująca i czyni tę część miasta egzotyczną.

Chciałbym jednocześnie zapewnić, że reportaż „Tam, gdzie najwyżej..." nie ma nic wspólnego z pogardą i ironią w stosunku do sympatycznego skądinąd „kawałka" Łodzi.

JACEK BINKOWSKI

Na budowę filharmonii

Społeczny Komitet Budowy Filharmonii składa gorące podziękowanie wykonawcom koncertu, który odbył się 20.02.1983 r. w Sali Filharmonii Łódzkiej.

Serdecznie dziękujemy dyrektorowi Henrykowi Debichowi za podjęcie trudu zorganizowania tej imprezy, w której wystąpiła Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi wraz z solistami: Kazimierzem Kowalskim i Dariuszem Walendowskim, Krystyną Giżowską, Zbigniewem Gniewaszewskim, Piotrem Pławnerem.

Podziękowanie należy się też Tadeuszowi Sznukowi, który wprowadził nastrój pogody i odprężenia.

Symboliczny kwiatek dla artystów został bezpłatnie zaofiarowany przez Dyrektora Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego pana Bończaka.

Podziękowanie składamy także redakcji „Głosu Robotniczego" za przekazanie na konto Społecznego Komitetu 500 000 zł z dochodów uzyskanych z imprez „Święta Głosu Robotniczego" oraz Zarządowi Oddziału SD PRL za przekazanie 40.000 zł z Balu Prasy

Wieluński konkurs

Towarzystwo Przyjaciół Wielunia ogłasza konkurs na PRASOWĄ WYPOWIEDŹ DZIFNNIKARSKĄ, w formie reportażu, artykułu publicystycznego, szkicu, eseju, felietonu — pod hasłem WIELUŃ — PRZESZŁOŚĆ I DZIEŃ DZISIEJSZY

Założenia konkursu

W bieżącym roku Wieluń obchodzić będzie swe 700-lecie. Współczesne pokolenie wielunian chlubiąc się wspaniałą przeszłością swego miasta, jego pięknymi tradycjami walk o wyzwolenie narodowe i społeczne nawiązuje do tych tradycji, w nich szuka impulsów do twórczej pracy, do przekształcania rzeczywistości, przezwyciężania dokuczliwego kryzysu. Pod hasłem „amor Wielunis nos iungit" jednoczą się w pracy dla Wielunia wszyscy jego mieszkańcy, którym losy miasta i kraju nie są obojętne.

Nie określamy kręgu tematycznego prac; ze szczególnym zainteresowaniem jednak będziemy oczekiwali wypowiedzi ukazujących:

— szeroko pojętą problematykę przeszłości i współczesności miasta,

— osiągnięcia i przeobrażenia miasta w okresie powojennym,

— najistotniejsze zjawiska i problemy stanowiące sens i treść życia mieszkańców Wielunia oraz kształtowanie stosunków międzyludzkich.

Konkurs ma charakter otwarty, uczestniczyć w nim mogą członkowie Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, a także autorzy nie zrzeszeni z terenu całego kraju.

Rozpatrywane będą prace opublikowane w 1983 r.

Liczba prac jednego autora jest nieograniczona.

Czasopisma, w których opublikowane zostaną prace, należy nadsyłać pod adresem: **Towarzystwo Przyjaciół Wielunia, ul. Narutowicza 13, 98-300 Wieluń,** w terminie do 30 września 1983 r

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w październiku 1983 r.

Przewidywane są następujące nagrody:

I — w wysokości — 10 tys. zł.
II — w wysokości — 7 tys. zł.
III — w wysokości — 5 tys. zł.
oraz trzy wyróżnienia po 1 tys. złotych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród lub niewykorzystania pełnej kwoty.

Wspomnienia ze wsi

Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa Oddział w Górach Mokrych, przy współudziale Zarządu Krajowego i Wojewódzkiego ZMW oraz Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim, zaprasza do udziału w II Konkursie Pamiętnikarskim pt. **„Moje Strony Rodzinne — dawniej a dziś".**

Zapraszamy do konkursu wszystkich, którzy urodzili się na wsi, spędzili tu swoje najpiękniejsze lata i dziś przy różnych okazjach wracają myślami do tamtych lat. Niejeden z nas w miejscu swojego urodzenia nie ma już nikogo najbliższego. Pozostały tylko wspomnienia. Piszcie o wszystkim, co uważacie za ciekawe. Jak obecnie wygląda Wasza wioska bądź małe miasto. Co zmieniło się w nich, i co wy chcielibyście zmienić? Jak często je odwiedzacie? Czy robicie coś na rzecz swoich stron rodzinnych? Zależy nam bardzo na szczerych wypowiedziach. Piszcie swoim językiem regionalnym, gwarowym. Błędy gramatyczne nie będą miały wpływu na ocenę, jedynie treść.

Konkurs odbywa się w 2 kategoriach: kategoria I, dotyczy formy pamiętnikarstwa jak wyżej, kategoria II, dotyczy pamiętnikarstwa o stronach rodzinnych pisanego w formie wierszy. W obydwu kategoriach zostaną przyznane nagrody na łączną kwotę 38 tys. zł.

Przy nadsyłaniu prac należy podać imię i nazwisko, wiek oraz adres, ostateczny termin nadsyłania prac upływa 30 czerwca 1983 Czekamy na zgłoszenia. Prace należy nadsyłać pod adresem: **Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, 97-566 Góry Mokre, woj. Piotrków Trybunalski.**

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Prezydent

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

STRESZCZENIE: Na dalekiej planecie Manwen, wykorzystywanej przez Ziemię gospodarczo, wybucha powstanie przeciwko rządom prezydenta Althiona. Jeden z przywódców powstania, kapitan Vandini, pada na polu bitwy. Do dyktatora dochodzi wieść o jego śmierci, Vandini jednak żyje, prowadzi nawet kolejny atak na jeden z fortów.

Przed siebie. Huk, krzyk, wybuchy i odgłosy strzałów. Stopy zapadają się w rozrytej pociskami ziemi. Co chwilę rozlega się eksplozja miny i któryś z żołnierzy pada. Inni przeskakują go i pędzą dalej. Widać już pierwszy pas bunkrów — są puste, tylko w niektórych drżą iskierki pistoletów maszynowych.

Uderzenie w pierś. Pociski rozrywają skórę i odbijają się od czegoś twardego, co jest pod spodem. Rana zabliźnia się błyskawicznie, zapełnia się ciastowatą masą krzepnącą w ciało. Nie ma śladów krwi na rozdartym mundurze.

Dopadli do pierwszych bunkrów, wytłukli w nich nielicznych gwardzistów i pognali dalej. Dopiero ostry ogień cekaemów z drugiej linii przydusił ich do ziemi. Vandini kazał żołnierzom cofnąć się, pokrywać i czekać na nadejście czołgów.

Niepostrzeżenie wycofał się do pierwszej linii bunkrów i wsunął się do jednego z nich. Oparł lufę karabinu o krawędź strzelnicy.

Przez przedpole przesuwa się kilka wozów pancernych i czołgów, przechodzi rozwinięta w tyralierę kompania piechoty. Strzelanina wzmaga się coraz bardziej. Zajeżdża zabłocony łazik; jedno koło wozu wpada w lej po rakiecie. Z samochodu wysiada kilku wyższych oficerów. Znajome sylwetki. Rozmawiają z ożywieniem. Randin odwraca się do przechodzących żołnierzy, krzyczy coś, wymachując rękami.

— „Dlaczego?" — zastanawia się Vandini, przykładając policzek do kolby karabinu. Celownik wędruje szybko po horyzoncie, by spocząć na wyprostowanej sylwetce dumnego oficera. Krótkie złożenie. — „Dlaczego?" — Nie może spudłować. Tacy jak on nie pudłują. Czarny krzyż celownika na głowie. Spust. Randin rozkłada szeroko ręce i ciężko wali się na ziemię.

Las czarnych, powykręcanych drzew wyciąga się boleśnie ku sinofioletowym, obrzmiałym powiekom nieba. Krwawe niebo Manwenu — napęczniały posoką bąbel, w którym od lat odbijają się tylko trupy. Trupy porozrywane pociskami, trupy powieszonych na osmalonych konarach, trupy rozstrzelanych. Na Manwenie od dawna nie umiera się normalną śmiercią.

Przed wieczorem minęli spaloną wioskę, w której z początku zaplanowali postój. Wioska ta została spalona zaledwie na kilka dni przed zdobyciem fortu Althion; gwardziści doszli do wniosku, że trzeba dać nauczkę ludności, która udziela ciągłej pomocy powstańcom. Czarne szkielety okrągłych chat, swąd spalonego mięsa, tu i ówdzie zwęglony trup, trzymający jeszcze karabin. Nie poddali się bez walki.

Vandini kazał rozbić namioty kilka kilometrów dalej, w umarłym lesie.

„Kiedyś te rany zabliźnią się, spalone drzewa obrosną fioletowym mchem i spróchnieją, użyźniając glebę pod nowy las", pomyślał Vandini, przechadzając się wokół obozu. „A z nas, to znaczy z nich" — poprawił się w myśli — pozostaną pusto brzmiące imiona na kartach książek".

Zatrzymał się przy grupie powstańców, grzebiącej zabitych. Wstrętna robota.

— Kapralu! — zawołał, przyjrzawszy się ich pracy. Podoficer podbiegł do niego, salutując.

— A tamci? — Vandini wskazał na trupy gwardzistów, poobdzierane z broni, butów i panterek, które potem matki i siostry żołnierzy farbowały na czarno w korze lahii.

— To przecież gwardziści. Może nawet z tych, którzy spalili tę wioskę.

— Zapamiętajcie, kapralu: tam już nie ma powstańców ani gwardzistów. Są tylko polegli.

— Major Randin kazał ich zostawiać, więc myślałem...

— Major Randin nie żyje. Teraz ja tu dowodzę. Pochowajcie ich.

— Tak jest, panie majorze.

Ruszył w kierunku obozu. Randin... jego Vandini nie mógł zapomnieć. Ta wykrzywiona bólem twarz, gdy przywoływał do siebie zdyszanego, okrwawionego Vandiniego i przekazywał mu dowództwo.

Trzymał wtedy w dłoni stygnącą pięść Randina, mając przylepiony do twarzy grymas bólu, choć w duszy nie czuł niczego. Potem sztucznie zbolałym głosem — to też nie należało do niego — powiedział, że musi wracać do walczących żołnierzy i włożywszy hełm pobiegł ku zdobywanemu fortowi. Wtedy też po raz pierwszy zobaczył w oczach swych żołnierzy błysk uwielbienia dla siebie.

W obozie trwało niezwykłe poruszenie. Żołnierze, zbici w dużą gromadę kłębili się pomiędzy namiotami. Zbliżywszy się Vandini dostrzegł, że pośrodku tej grupy znajduje się ktoś, kogo poszturchują i okładają pięściami.

— Co się tu dzieje? — spytał wartownika.

— Złapaliśmy jeńca, panie majorze.

— Oficera?

— Nie, to cywil. Ale to Ziemianin.

— Skąd się tu wziął?

— Po prostu przyszedł. Chciał wejść na teren obozu. Twierdził, że musi koniecznie porozmawiać z panem majorem.

Vandini skierował się ku kłębowisku. W połowie drogi dopadł go porucznik Nadcen.

— Panie majorze, melduję że...

— Już wiem.

— Nie możemy sobie poradzić z żołnierzami... O mały włos go nie zabili...

Vandini przyśpieszył kroku. Dwóch rosłych żandarmów trzymało jeńca — aczkolwiek nie wyglądał on, jakby zamierzał uciekać — a pozostali próbowali utrzymać w bezpiecznej odległości żołnierzy, którzy obrzucali go stekiem najwymyślniejszych obelg. Gdy zobaczyli Vandiniego, uspokoili się trochę...

— Rozejść się! — rzucił. — Jeńca do sztabu na przesłuchanie. Jak jeszcze raz się coś takiego powtórzy, oddam paru pod sąd.

Żołnierze niechętnie rozstąpili się nieco, szemrając i klnąc głośno. Vandini spojrzał na jeńca: był to typowy Ziemianin, nieco wyższy od przeciętnego Manwetańczyka, ale też o wiele grubszy i bardzo niezgrabny. Skórę miał zupełnie białą, włosy jasne, szczeciniaste. Za grubymi szkłami okularów tkwiły ruchliwe, wyłupiaste oczka, którymi wciąż rozglądał się na wszystkie strony. Wyglądał na porządnie przestraszonego i nie stawiał oporu prowadzącym go żandarmom. Vandini odprowadził grubasa wzrokiem aż do szałasu, w którym urzędowało dowództwo.

— No, powiedziałem, rozejść się! To wojsko czy banda hołoty?

„Czego on mógł szukać?" — zastanawiał się — „Gdyby wpadł w ręce wieśniaków, już by nie żył. Powinien sobie zdawać sprawę, że Manwen to nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla Ziemian".

Odczekał jeszcze kilka sekund i wszedł do szałasu.

— Powtarzam jeszcze raz — mówił Ziemianin, stojąc na środku izby. — Muszę koniecznie rozmawiać z dowódcą zgrupowania.

Mówił po manwetańsku dość płynnie i poprawnie, choć z bardzo dziwnym akcentem.

— Ale będziesz rozmawiać ze mną — zasyczał jeden ze sztabowców, podchodząc do jeńca. Prawdopodobnie uderzyłby go pięścią w twarz, gdyby nie obecność Vandiniego.

— Muszę rozmawiać z majorem Randinem, po to przyleciałem tu z Ziemi. Od tego zależy los całego waszego powstania!

— Ja jestem tutaj dowódcą — powiedział Vandini.

Ziemianin odwrócił się.

— Major Randin? — zapytał.

Vandini podsunął mu krzesło.

— Major Randin poległ tydzień temu, ja jestem jego następcą Major Vandini. Niech pan siada.

Ziemianin bezwiednie wykonał polecenie. Vandini obszedł go i usiadł na stole.

— Więc słucham, co mi pan chce powiedzieć?

— Wybaczy pan, panie majorze, ale dla dobra sprawy... Lepiej by było, gdybym rozmawiał z panem majorem w cztery oczy.

Vandini zastanowił się chwilę.

— Dobrze. Niech panowie wyjdą — rzucił do sztabowców.

Jeden z oficerów:

— Panie majorze, to może być podstęp...

— Nie sądzę. Wyjdźcie panowie. I nie ważcie się podsłuchiwać.

— Więc? — ponowił pytanie po ich wyjściu.

Ziemianin nerwowo obtarł spocone czoło wymiętą chustką.

— Jestem profesor Jack Kannen, z ziemskiego komitetu pomocy dla Manwenu.

— O?! Ziemianie chcą pomóc Manwenowi! Wystarczyłoby, gdyby się wreszcie od nas odpieprzyli.

— Działamy w opozycji do rządu Ziemi. W naszym układzie żyje wielu ludzi, panie majorze. Różnych ludzi. Chcemy wam pomóc. Wasze powstanie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Vandini sięgnął po papierosa.

— O ile wiem, zwyciężamy na wszystkich frontach.

— Tak, bo nasz rząd na to pozwolił. Poświęcili Althiona, żeby uspokoić ludność waszej planety. Chcą rozsadzić powstanie od wewnątrz.

— Jak?

— Mają wśród powstańców wielu swoich ludzi. Z tego, co wiemy, przed paroma tygodniami przerzucili do was robota, czy raczej swego rodzaju caborga. Miał on podszyć się pod poległego oficera i dzięki pomocy przekupionych Manwetańczyków dostać się do dowództwa powstania, w przyszłości zaś zająć miejsce Althiona. Nie muszę chyba panu tłumaczyć, że jest on absolutnie posłuszny rządowi Ziemi.

— Jest pan pewien, że jest on już tutaj?

Cichy, powoli narastający szum w głowie.

— Tak, wiemy na pewno, że znajduje się on już wśród powstańców — Kannen zapala się, mówi coraz szybciej. — Zastąpił on jednego z poległych oficerów i prawdopodobnie dowodzi w tej chwili dużą jednostką powstańczą.

Szum przeradza się w przeraźliwy, natarczywy gwizd.

— Skąd to wiecie?

Dwa cudze głosy, prowadzące ze sobą ożywioną rozmowę stają się coraz dalsze, coraz trudniej słyszalne. Coraz głośniejszy gwizd.

— Mamy zupełnie pewne przecieki z kręgów rządowych. Właściwie nie jest to robot, lecz wyposażony w mechaniczne systemy stabilizacyjne sztucznie wyhodowany Manwetańczyk z odpowiednio wypranym mózgiem i magnetyczną, kontrolowaną pamięcią. Może ma on pewne namiastki własnej psychiki, ale te ślady osobowości milkną, gdy do mózgu dochodzą instrukcje wysyłane przez ludzi kontrolujących jego postępowanie...

Usta Kannena — poruszające się szybko, rytmicznie. Pulsowanie w głowie.

— ... i dlatego musiałem was koniecznie uprzedzić. Jesteśmy prawie pewni, że tym robotem jest dowódca jednego z waszych największych zgrupowań, major Hakayan. Musicie go zniszczyć, i to szybko. Gwardia Althiona jest w rozsypce. Jego żołnierze rzucają broń i uciekają. Kto dotrze pierwszy do stolicy, zostanie przez ludność i powstańców obwołany nowym prezydentem. Jeżeli będzie to Hakayan — koniec z wami.

Potworny dźwięk zdaje się rozsadzać czaszkę, i nagle — cisza.

„INSTRUKCJA AWARYJNA A-7; DEKONSPIRACJA..."

Palce zaciskają się kurczowo. Karabin z ramienia na biodro, lufa w brzuch, odbezpieczyć, spust — ułamek sekundy. Rozsadzający łomot serii, automat szarpie się w dłoniach, krzyk. Rozpruty, charkoczący trup, czerwone bebechy rozchlapane na ścianach.

...KONIEC".

Oparł się ciężko o blat stołu. Do szałasu wpadli żołnierze z bronią gotową do strzału.

— Co się stało?

Vandini spokojnie podnosi głowę. Na jego twarzy nie widać niczego.

— Nic, schowajcie broń. Rzucił się na mnie z nożem.

— Mówiłem, panie majorze...

— Zawsze mówiłem — chorąży Zill wzrusza ramionami — Ziemian trzeba rozwalać od razu.

Vandini wyprostował się i przewiesił automat przez ramię.

— Sprzątnijcie to — wskazał głową na Kannena. — Szczęście, że zdążyłem od niego wyciągnąć parę ważnych informacji. Oficerowie służbowi!

— Tak, panie majorze.

— Alarm bojowy. Natychmiast zwijać obóz, przygotować oddziały do wymarszu. Idziemy na stolicę.

— Ale, panie majorze... Żołnierze muszą odpocząć.

— Odpoczną w Manaken. Na razie jeszcze nie pora. Od tego, jak szybko dotrzemy do stolicy, zależy los Manwenu. Dowódca grupy zmechanizowanej i kapitan Halfest — do mnie!

Wyszedł z izby.

— Ale co się właściwie stało?

— Gwardziści rzucają broń i uciekają. Jeżeli damy im czas na odpoczynek, mogą z powrotem skoncentrować swoje oddziały i przejść do kontrofensywy.

— Panie majorze, dowódca oddziałów zmechanizowanych, kapitan Hartsone melduje się na rozkaz.

— Dobrze — Vandini wziął kapitana za ramię i odprowadził na bok — Ile wozów ma pan w tej chwili gotowych do drogi?

— Dwanaście ciężarówek i osiem tych zdobycznych transporterów z fortu, poza tym łaziki i motocykle.

— Dojedziemy na nich za jednym zamachem do Manaken?

— To przecież prawie tysiąc kilometrów! Nie mamy tyle paliwa.

Vandini nerwowo przetarł placami powieki.

— Musimy jak najszybciej przerzucić do Manaken możliwie największą ilość żołnierzy.

— Całego zapasu z fortu starczyłoby na doprowadzenie do Manaken czterech... no, najwyżej pięciu transporterów z ludźmi i sprzętem.

— Pięć transporterów... to jest ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi... Dobrze. Przygotujcie je do drogi. I jeden motocykl.

— A co z resztą?

— Zostawić. Albo spalić.

— Tak jest.

Vandini obrócił się do Halfesta.

— Wybierzesz kilkunastu żołnierzy najlepszych w walce wręcz, w strzelaniu i przede wszystkim gotowych za mną skoczyć w ogień. Na ich czele postawisz jakiegoś wiernego mi podoficera.

— Któregoś z „naszych" żołnierzy?

— Nie, normalnego, wiernego powstaniu patriotę. Może być głupi, nawet powinien, żeby się niczego nie domyślił. Przyślesz go do mnie.

— Myślę, że nadawałby się do tego kapral Vent z trzeciego szwadronu.

— Może być on. Wszystkich tych żołnierzy przenieść z dotychczasowych jednostek do mojej osobistej ochrony.

— Tak.

— Po wykonaniu tego rozkazu weźmiesz od Hartsona motocykl i pojedziesz do Hakayana. Gdyby cię pytali, wieziesz ode mnie tajny list do dowódcy zgrupowania. Zabijesz go, a potem wiej, jak się da. Staraj się dostać do pałacu prezydenckiego, będę tam na ciebie czekał. Gdyby cię złapali, to pamiętaj, że nigdy z tobą na ten temat nie rozmawiałem.

— Tak jest — kapitan (do niedawna jeszcze porucznik) trzasnął obcasami i pobiegł ku oddziałom. W spokojnym jeszcze przed chwilą obozie wrzała praca: setki obudzonych znienacka żołnierzy zwijało się przy pakowaniu namiotów i plecaków. Chociaż znać było na ich twarzach potworne zmęczenie, żadnemu nie wymknęło się z ust nawet jedno słowo niezadowolenia.

Przy magazynach Vandini spotkał swego zastępcę — majora Parnavio.

— Dwie pierwsze kompanie, które będą gotowe do drogi, wyślij do parku mechanicznego. Tam są przygotowane dla nich transportery. Niech nie biorą namiotów ani zbędnego wyposażenia, tylko broń automatyczną, granaty i jak najwięcej amunicji. Jadę z tymi oddziałami. Ty obejmiesz dowództwo nad resztą. Poprowadzisz ich na Manaken, możliwie najszybciej.

— Rozkaz.

Vandini spojrzał na zegarek. Przymknął oczy i przez chwilę obliczał w myślach drogę, którą miał do przebycia i szybkość zdobycznych transporterów. Z obliczeń tych wynikało, że dotrą one do stolicy następnego dnia, na krótko przed świtem.

Althion wzdrygnął się lekko, kiedy lekarz wbił mu strzykawkę w skłute przedramię i zaczął powoli wciskać tłoczek. Gdy skończył, prezydent powiedział do niego:

— Możesz iść dokąd ci się podoba. Nie będę już więcej potrzebował twojej pomocy.

Osobisty lekarz prezydenta skłonił się pokornie i wyszedł z gabinetu. Althion odsunął fotel od biurka, podniósł się i przeciągnął leniwie, czekając, aż środki pobudzające zaczną działać. Powoli, zmęczonym krokiem zaczął się przechadzać po marmurowej, czarno-białej posadzce. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem bogate ściany pokoju, z którego przez dwadzieścia lat niepodzielnie rządził planetą.

Trzasnęły drzwi. Althion obrócił się na pięcie.

— Jeszcze pan tu jest? — zapytał zdziwiony.

— Powiedziałem, że nie ucieknę — w drzwiach stał sekretarz prezydenta, Danlin. Wszedł do środka, zamykając drzwi za sobą.

— Liczy pan, że pana zabiorę ze sobą?

— Nie. Zamierzam tu zostać.

— Pan zwariował, Danlin. No, ale to pańska sprawa. Skoro tak bardzo chce pan wisieć na latarni.

Danlin zaśmiał się. Nie wyglądał na drżącego o swą przyszłość. Podszedł do okna i otworzył je szeroko. Na dworze zapadał już zmierzch.

— Jakie są nowiny? — zapytał Althion.

— Nie mogą być już gorsze, niż do tej pory. Cała planeta jest w rękach rebeliantów; wszystkie ważniejsze miasta, drogi, porty i lotniska. Fort Tire broni się jeszcze w okrążeniu, ale to nie potrwa długo.

Zza okna dobiegł odgłos serii karabinowej.

— A gwardia?

— Gwardii już nie ma. Ci, którzy nie zginęli, zdezerterowali.

— Durnie. Wieśniacy będą ich tropić po lasach. Lepiej byłoby dla nich umrzeć, niż dostać się w ręce powstańców. Na co oni liczą?

— Pewnie że uda im się dotrzeć do portów i uciec jakąś tratwą na wyspy.

Manwen miał tylko jeden wielki kontynent; pięć szóstych globu zajmował ocean, z którego wypiętrzało się kilka zaledwie bezludnych archipelagów. Od wieków służyły one za azyl uchodźcom z kontynentu.

— Niech próbują — Althion poruszył ramionami. — Gdzie jest Martio?

— Uciekł.

— A Biganov?

— Uciekł.

— A Narylin? Też uciekł?

— Zginął w walce. Już trzy dni temu, zapomniał pan?

— A, rzeczywiście, zapomniałem. Stary osioł Narylin przynajmniej pozostał do końca wierny swym ideałom. Może i lepiej dla niego, że poległ. Całe życie poświęcił rewolucji, byłoby mu przykro, gdyby na starość dowiedział się, że je zmarnował.

— Rewolucja była dwadzieścia lat temu.

— Tak. Teraz jest następna. Za kilkanaście lat będzie kolejna. Jedna rewolucja wynosi człowieka do władzy, druga zrzuca go z fotela. Zostają tylko stosy trupów, a najlepiej wychodzą na tym wszystkim Ziemianie.

Strzały i wybuchy za oknem przerodziły się w regularną strzelaninę.

— Ciągną stąd te swoje pierwiastki promieniotwórcze, czy jak oni to nazywają. A propos, co słychać w kopalniach? Praca nie ustała ani na chwilę, wydobycie wzrasta?

— Tak.

— Dopóki w tej ziemi zostało choć trochę uranu — nie dopuszczą, aby coś się zmieniło. Biedny narodek durniów. Althion oparł się ręką o ścianę, obitą miękkim materiałem. W mięśniach poczuł przypływ rześkości — efekt zastrzyku.

— Chętnie bym tu sobie porządził jeszcze z dziesięć lat. Myślałem, że Ziemianie mi pomogą, przecież sprzedałem im Manwen... Ale oni już go widocznie kupili od tego, kto mnie zastąpi. To bardziej opłacalna transakcja.

C.D.N.

Rys. P. Ulatowski

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Wamba

KRZYSZTOF PIESYK

Pociąg nabierał szybkości. Po chwili tunel skrył fosforyzującą tylną ścianę ostatniego wagonu. Wamba patrzył nieruchomo przed siebie. Mógł wsiąść, wahał się do ostatniej chwili. Jechałby teraz wciśnięty w miękki fotel mijając wyłaniające się i ginące po chwili w ciemności kolejne przystanki, kolejne perony oświetlone jasnym, ciepłym światłem, lejącym się z niewidocznego stropu. Nie poruszył się jednak choć drzwi otworzyły się niemal dokładnie przed nim. Uniósł głowę spoglądając do wnętrza na rzędy miękkich, przytulnych foteli. Nigdy nie sądził, że drzwi wagonów metra wydają taki dziwny odgłos. Nie przyszło mu nawet nigdy do głowy, że wydają jakiekolwiek dźwięki. Odkrywał, broniąc się jednocześnie przed tym, świat dźwięków, których istnienia dotąd nie podejrzewał. W panującej dokoła ciszy każdy szmer zdawał się być hukiem natarczywie wdzierającym się w bliską obłędu świadomość. Wamba czuł jak otaczająca go rzeczywistość, cały ten świat, przenika go, wciska się wszystkimi porami w drżące ciało, przemocą niemal odbierając zdolność myślenia...

Nie bywał często wśród ludzi, wśród tłumów przelewających się przez ulice, przez korytarze, przez postoje awionetek. Wszystkiego raz, dwa razy w miesiącu. Ale i tak wiele pamiętał. Może zbyt wiele.

Przed kilkoma miesiącami wszystko wyglądało inaczej. Wkoło kręcili się jeszcze ludzie pragnący przed ostatecznym opuszczeniem miasta coś jeszcze sprawdzić, coś zobaczyć. Jakie to dziś dalekie, nierzeczywiste. Setki twarzy, setki głosów. Wamba nie zdawał sobie wtedy sprawy, że zostanie naprawdę sam. A przecież znał samotność. Ale zawsze mógł spotkać kogoś, gdyby tylko zechciał. Teraz i tego zabrakło. Podniósł się i ze spuszczoną głową, niezdecydowanie wykonał kilka kroków.

Między kolumnami coś się poruszyło. Jakiś cień przemknął między słupami. Wamba, nagle odzyskawszy energię, rzucił się w jego kierunku. Może... Przylgnął nieruchomo do jednej z ławek. Cisza. I znów ten cień. Wamba poderwał się, kiedy to coś wpadło w smugę światła przy wylocie ruchomego chodnika.

Śmiał się, a śmiech wracał odbity, wielokrotnie powtórzony przez kolumny i dalekie ściany. Nerwowy, histeryczny śmiech. A olbrzymi hodowlany zając uciekał sadząc ogromnymi susami pod prąd chodnika, który ruszył, choć przecież nie powinien, gdy tylko rozregulowane już czujniki odkryły obecność oszołomionego zwierzęcia.

Wszystko, co otaczało Wambę, było przerażające. Nie ludzie, jak dotąd sądził, mogli doprowadzić do obłędu. Teraz rozumiał — mógł to uczynić tylko zupełny brak kontaktu z inną, podobną do siebie istotą. Samotność w sterowanym przez psujące się automaty mieście. Niezawodność, bezpieczeństwo, perfekcja, roboty informujące o wszystkim, spełniające każde żądanie. Ziarnko piasku w trybach i wszystko staje się diabła warte. A zresztą z automatem nawet nie pogadasz. Po prostu pustka...

Na stację wjechał kolejny pociąg. Wamba patrzył na mijające go wagony niewidzącym, nieobecnym wzrokiem. Nagle coś w nim drgnęło. Ocknął się z zamyślenia — w jednym z okien mignęła twarz. Człowiek, na pewno człowiek! W ostatniej chwili Wamba wskoczył do pociągu. Przymykając oczy oparł się o ściankę. Oddychał ciężko, nagle... zamarł na dźwięk głosu — nie, to tylko automat ostrzegał przed niebezpieczeństwem wskakiwania przez zamykające się drzwi. Tylko automat.

Ruszył biegiem między rzędami foteli. To było chyba tutaj. Zatrzymał się. Serce waliło w piersiach jak oszalałe. Przed nim, nad oparcie fotela wystawał czubek głowy. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Podchodził wolno... To była lalka. Naturalnej wielkości lalka, którą przez nieuwagę chyba zostawiło w wagonie jakieś dziecko.

Wamba wysiadł na najbliższym przystanku. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Szum w głowie i wszystko wkoło jakieś dziwne, obce... Spirala ruchomego chodnika wyniosła go na powierzchnię. Zdziwiony, zorientował się, że to okolica Instytutu. Bezwiednie skierował się ku górującemu nad okolicą budynkowi. Tu nie czuł już obcości otaczającego świata, jaka jeszcze przed chwilą dławiła wszystkie myśli. Powoli wracał spokój. Automat pilnujący drzwi zażądał identyfikatora. Wamba roześmiał się — trzeba go będzie w końcu wyłączyć. Wjechał na dwudzieste siódme piętro. Drzwi jego pokoju były otwarte na oścież. Przypomniał sobie, że sam je tak zostawił opuszczając przed kilkoma dniami Instytut. Jego pokój, fotel, regały, filmoteki, stolik, rozrzucone taśmy — wszystko znajome i bliskie. W tym pokoju strach przed samotnością zdawał się opuszczać Wambę. Miał wrażenie, że zaraz w drzwiach stanie Inga i jak zwykle zapyta: No i co nowego, Wamba? Albo Łysy stale szukający po różnych pokojach swoich, jak mówił, przed chwilą zagubionych notatek, a tak naprawdę chcący tylko z kimś pogadać, wkręcić się na herbatkę. Inga, Łysy... Prawda — mógł na ekranie wideo zjawić się sam szef wzywając Wambę na dyskusję o przebiegu eksperymentu. To wszystko mogłoby się zdarzyć. I Wambie, siedzącemu w fotelu, w tym wyrwanym z rzeczywistości pokoju, zdawało się, że to zdarzyć się może...

Podszedł do okna. Miasto trwało w bezruchu. Brak awionetek i wirolotów potęgował wrażenie pustki. Wamba nacisnął przełącznik. Świeży powiew wiatru wtargnął przez rozsunięte okno do pokoju. To martwe miasto było jak sen, nierealny, przerażający sen. Sen, z którego trzeba się obudzić...

* * *

Ludzie opuszczali miasto stopniowo, bez pośpiechu. Systematycznie i nieprzerwanie odlatujące rakiety unosiły ich ku nowej ojczyźnie. Opuszczali swoje domy na zawsze, by zbudować w nowym kraju, na swojej nowej Ziemi, Drugiej Ziemi — raz jeszcze. Odchodzili z żalem, smutni, lecz pozostać nie mogli. Gnała ich przed siebie konieczność. Nie potrafili powstrzymać zbliżającego się kataklizmu. Umieli go jednak w porę przewidzieć i umieli odejść zostawiając opustoszałą Ziemię pędzącą ku zagładzie. Żegnali się długo z ojczyzną swoich przodków, z tą Ziemią, na której przed milionami lat narodził się ich gatunek. Wsiadając do swych rakiet, oglądali się jeszcze ostatni raz za siebie, jakby chcąc sprawdzić, czy czegoś nie zapomnieli, choć przecież na naprawienie ewentualnego błędu było już i tak za późno. Ostatnia wycieczka nad morze, ostatnie spojrzenie z okna, ostatnie muśnięcie puszystej kępy trawy gdzieś na łące, ostatnia godzina w ulubionym fotelu... To wspominać będą latami. Będą dodawać różne, nierzadko wymyślone na poczekaniu szczegóły, aż w końcu sami w nie uwierzą, aż historie te zapamiętają ich dzieci, by z kolei powtórzyć swoim dzieciom. Tak powstanie legenda o Kraju Ojców, o jedynej, niezapomnianej Ziemi Przodków, której nikt i nigdy już nie zobaczy, Ziemi, która bezpowrotnie zginęła zmieniona w chmurę pędzących w przestrzeni odłamków.

W swojej nowej ojczyźnie nadadzą miejscom, roślinom, zwierzętom ziemskie nazwy. Kawałek sosnowej kory, przywieziony z Ziemi, garść piasku znad brzegu strumienia, jakiś kamień, wizerunek rodzinnego miasta, domu, ulicy, będą przekazywali z pokolenia na pokolenie. Aż minie czas osadników i wspomnienia staną się tylko niezrozumiałą, dziwną i starą bajką. Bo przecież ich Ziemią, ich Ojczyzną będzie teraz ta, na której się urodzili, która nosić będzie ich dzieci i wnuki, na której będą dorastać, bawić się z rówieśnikami, zakładać rodziny i na której będą umierać. Bo wszystko, co dawno minęło, staje się nierealne. Taka jest ludzka natura.

Ale oni, opuszczając Ziemię, nie myśleli o tym, co będzie. I nawet jeśli nie chcieli, jeśli na stopniach rakiety nie oglądali się za siebie — ich myśli biegły wstecz, przez miniony czas, i przebytą przestrzeń. Mówiąc o ocaleniu, o pięknej, nowej ojczyźnie, wracali w marzeniach do tego, z czym się nierozerwalnie związali na zawsze. Do starej Ziemi.

* * *

— Czy ja tu u ciebie czegoś... — przez uchylone drzwi zajrzała na pół roześmiana, na pół zmartwiona gęba Łysego.

— Nie! — Inga nie miała nastroju do rozmowy. Ale Łysy nie należał do ludzi, których łatwo zniechęcić. Wspaniały biofizyk, prywatnie stawał się okropnym nudziarzem.

— Bo wiesz, to była taka... to znaczy zapisałem sobie na...

— Niczego tu nie zostawiłeś — przerwała zniecierpliwiona dziewczyna. Jak się go pozbyć? Była zmęczona i wszystko ją irytowało.

— Może u Wam... — nie dokończyła, wystraszona imieniem, które niemal wymówiła. Zapomnieć kogoś z kim przeżyło się kilka lat, to jednak nie takie proste. Starali się nie mówić o nim. W warunkach tak ograniczonej przestrzeni, na jakie skazani byli na potężnym przecież statku kosmicznym, było to jednak niemożliwe. Dopóki pracowali, dopóki dyskutowali nad sprzecznymi teoriami, dopóki zmęczeni, zasypiając na stojąco, przeprowadzali eksperyment za eksperymentem, dopóty było dobrze. Mijając się na korytarzu, odwracali oczy. Rozmawiali półsłówkami. Kiedy jednak wracali do swych kajut, wracały wspomnienia.

— Przepraszam, to moja wina — w głosie Łysego nie było już początkowej wesołości. Ich spojrzenia zetknęły się. I znów to cholerne milczenie. To było już ponad siły.

— Nie, to ja... — Inga wciągnęła go niemal przemocą do wnętrza, zatrzaskując drzwi. Coś jakby przełamało się w niej. — Musimy pogadać. Tak dłużej nie można — krzyczała teraz szarpiąc Łysego za ramiona. — Przecież, do jasnej cholery, wykończymy się zupełnie! Ty też ciągle myślisz o Wambie, co, Łysy? Przyznaj się! No, powiedz coś, odezwij się, bo zwariuję!

Łysy stał na środku kabiny, oszołomiony nagłym wybuchem Ingi.

— Karl, posłuchaj. My musimy... musimy porozmawiać. Słyszysz, Karl? — powiedziała szeptem po chwili milczenia. Łysy z trudem zbierał myśli. Z natury powolny i flegmatyczny, nie przepadał za tak nagłymi zmianami nastroju. Nigdy tak do niego nie mówiła. Był dla wszystkich Łysym i zapomniał już niemal swoje prawdziwe imię. Zdawało mu się, że znał Ingę, a przecież nigdy nie przypuszczał... Nie widział jej dotąd tak wstrząśniętej. Ramiona wspartej o jego pierś dziewczyny drgały spazmatycznie. Powoli zaczynał rozumieć. Tak, ona miała rację. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że całe miesiące, niemal od dnia odlotu z Ziemi, myślał o Wambie. A może nawet nie o Wambie, tylko o... Podświadomie bronił się przed wspomnieniami, które ostatnio wracały coraz natarczywiej. Ziemia... Wamba stał się jej symbolem. Do tej pory Łysy nie chciał o tym wszystkim myśleć — nie było przed kim zrzucić dręczącego balastu. Teraz okazało się, że Inga również... Od czasu startu z Ziemi oddalili się bardzo od siebie. Zresztą nie tylko oni. Na wszystkich współtowarzyszach podróży ciążyło coś, czego nie umieli lub bali się nazwać. Unikali rozmów, podczas przypadkowych spotkań milczeli. Łysy zastanawiał się, dlaczego właściwie zajrzał teraz do Ingi. Czy tylko przyzwyczajenie?

Byli nierozłączną trójką tam, na Ziemi. Łączyły ich wspólne wycieczki w góry, łączyła praca w Instytucie. To na ich wniosek Szef nadał Wambie tytuł pracownika naukowego. Teraz dopiero uświadomili sobie, że oceniali Wambę nie tak, jak należało. Po prostu jak samych siebie. Może dlatego nie mogli zrozumieć. To Wamba tak naprawdę inicjował wycieczki do rezerwatów. Nie potrafił, jak oni, zamknąć się w murach miasta, całymi dniami nie ruszać się krokiem z Instytutu. Coś gnało go w nieliczne już ostępy, nie zniszczone przez wdzierającą się wszędzie cywilizację. Wyruszali z nim początkowo, by zapewnić opiekę, później z przyzwyczajenia, aż w końcu poczuli, że sprawia im to przyjemność, i że nie tak łatwo byłoby to wszystko porzucić. Wamba nie znosił miejsc wydeptanych przez tysiące ludzi. Uciekał od hałasu, zgiełku, od tłumów pędzących przed siebie, nie dostrzegających nic dokoła. Ciągle przed tym uciekał.

Pożegnanie na kosmodromie wypadło bez słów. Stali długo naprzeciw siebie, patrząc w oczy. Aż w końcu Wamba odwrócił się i ruszył w kierunku miasta. W jego oczach nie było cienia żalu do przyjaciół. Był tylko smutek spowodowany rozstaniem. Tak naprawdę pożegnali się długo wcześniej. Pewnej nocy w górach Wamba powiedział do nich — Zostaję. Później długo mówił. Mówił o sobie, o lasach, o jeziorach, o nocach nad strumieniami. Znali całe jego życie może lepiej nawet, niż on, a jednak nie potrafili mu przerwać. To było prawdziwe pożegnanie wtedy, przy dogasającym ognisku. A jednak nie mogli uwierzyć. I nie uwierzyli do końca, aż do chwili, w której zamknęły się luki ich statku, aż do chwili, gdy długo po nich wystartowała z Ziemi ostatnia rakieta i okazało się, że Wamby na niej nie ma. A przecież wiedzieli, że Wamba mógł lecieć tylko z nimi.

— Inga...

— Karl...

Patrzyli na siebie. Nic więcej. Żadnych słów. Dlaczego pozostał? Tak, lubił samotność, ale... Oni przecież kochali swoją Ziemię jak on, również byli jej cząstką. Tak sądzili... A jednak opuścili ją, a on... Dlaczego?

* * *

Kołujący nad miastem sęp wypatrzył nagle zdobycz. Omijając wysokie budynki opadł na wielki skwer i kołyszącym krokiem podbiegł do leżącego na trawie roztrzaskanego ciała młodego szympansa. Pojawiły się inne sępy i po kilku godzinach pod ścianą najwyższego w okolicy budynku bielały już tylko rozwłóczone kości. Maleńki żuczek z trudem próbował przejść przez śliski, metalowy przedmiot srebrzący się między źdźbłami trawy — plakietkę identyfikacyjną, której nikt nigdy już nie miał przeczytać:

WAMBA
.S.
Młodszy pracownik naukowy
Instytut Biofizyki
FARREL

Pomóż swojej literaturze...

Czas obecny jest dla literatury science-fiction okresem pytań i rozterek. Takie właśnie wrażenie wynosi się z lektury artykułów i recenzji zamieszczonych w trzecim numerze „Fantastyki". Andrzej Niewiadowski w swojej, kuriozalnej zresztą, recenzji „Kreksa" A. Krzepkowskiego, proponuje zacząć od zmian perspektyw i płaszczyzn narracji dla przełamania konwencji stosowanej do tej pory w literaturze SF. Adam Hollanek z kolei, po narzekaniach na brak zainteresowania polską literaturą fantastyczno-naukową ze strony wydawców, krytyków i czytelników, zajmuje się problemami jej ontologii, pisząc, że „w prawdziwej literaturze zawsze i przede wszystkim chodzi o sprawy ludzkie".

Pokrzepiona przypomnianymi wyżej stwierdzeniami, próbowałam skonfrontować je z praktyką, czyli z drukowaną w tymże numerze pisma polską współczesną prozą SF. I tu spotkało mnie pierwsze rozczarowanie. „Krwawe jezioro", fragment „artystycznej" prozy Hollanka, nie realizuje bowiem ani szczytnych zamierzeń autora, ani wzorców teoretyków literatury. Autorowi należałoby poradzić, by nie tyle „zaczął od narracji", lecz spróbował rozpocząć od elementarnej cząstki tekstu pisanego — czyli po prostu od z d a n i a. Język „Krwawego jeziora", to machina stworzona jak gdyby dla samej siebie, nie przystosowana natomiast zupełnie do przekazywania jakichkolwiek treści. Jest to swoiste perpetuum mobile, napędzane autorską skłonnością do wodolejstwa. Hollanek robi co może — ni stąd ni zowąd archaizuje, bez widocznej potrzeby używa szyku przestawnego, a co najważniejsze — stosuje logiczne dopełnienia w funkcji podmiotów zdań. Sugerując złożoność przeżyć psychicznych swego bohatera, autor „Krwawego jeziora" nie umie przełożyć tego na język narracji i opisu. Reakcje Alka — głównej postaci interesującego nas utworu — żal, strach, tkliwość, obrzydzenie, panika, przerażenie, nie mają żadnej siły wyrazu, są papierowe. W „powietrzu" unosi się tylko szczęk nie dopasowanych słów, które wyraźnie stawiały autorowi opór, tak samo, jak stawiają go czytelnikowi w trakcie lektury.

Wszystko to oczywiście można by uznać za zabieg celowy — być może autorowi chodziło o stworzenie w ten sposób wrażenia obcości wrogiego świata, w którym żyją „obrzydliwe glisty" — potwory Gran i Oona. Niestety, jednak wyraźna nieporadność językowa niszczy zarówno spodziewane, jak i już istniejące efekty.

Przesłanie „Krwawego jeziora", z trudem przedzierające się przez zapory zdań prostych i złożonych, określić można w następujący sposób: ocalić swoje człowieczeństwo w świecie obcym i wrogim, to znaczy zaprzeć się jednocześnie swoich najbardziej ludzkich cech. Trudno mi jednak uwierzyć w człowieczeństwo Alka, który zachowuje się i mówi jak automat. Nie mogę oprzeć się pokusie zacytowania kilku zdań obrazujących złożony i skomplikowany (w zamyśle autora oczywiście) świat wewnętrznych przeżyć bohatera: „huk jego słów paraliżował resztki woli", „śmiech potwora wzbudził poczucie komizmu", „fala miłości zalała piersi", „bardzo przykre to było, wprost ohydne uczucie", „ile warstw, ile kręgów upadku ma morale istoty myślącej" itp., itd. Okazuje się, więc, że owe „sprawy ludzkie", które pragnie przedstawić Hollanek, wymagają nie tylko treści, ale i współgrającej z nimi formy. Nie wystarczy powtórzyć kilka razy słowa „obrzydzenie" czy „ohyda", jak czyni autor „Krwawego jeziora", by czytelnikiem wstrząsnął taki obraz fantastycznej rzeczywistości.

Prozie Adama Hollanka brak lekkości, pomysłu i dystansu do świata, który kreuje. Wszystkie te cechy odnajdziemy za to w nadmiarze w opowiadaniu Macieja Parowskiego. „Pomóż swojej gwieździe". Opowiadanie to iskrzy się dowcipem i pomysłami formalnymi. Jest to finezyjna gra z czytelnikiem, a także gra z konwencjami literatury SF. Parowski jest doskonale świadomy ich istnienia — w opowiadaniu mieszają się elementy stechniczyzowanej science-fiction komiksu, powieści tajemnic, groteski. Bohaterem opowiadania jest superman — śmieciarz, który intensywnie „pomaga swojej gwieździe" zdobywając, jak w klasycznej baśni — królestwo i księżniczkę. Efektów więc sporo — a nawet chwilami za dużo, gdy porównać je z celami, którym służą. Może więc cel jest całkiem inny, a programowa bajeczka zaopatrzona w motto Leca „Prawdziwego mężczyznę poznać nawet nago" kryje w swoim wnętrzu jeszcze jedną tajemnicę? Wydaje mi się, że tak. W zakończeniu opowiadania okazuje się, że „król jest nagi", co, zgodnie z konsekwencją baśni, nie uchodzi mu na sucho. Egzamin nagości doskonale jednak zdaje śmieciarz, który, choć księgozbiór swój składa z odłamków wyciągniętych z kosza, stanowi, jako charakter i światopogląd, monolit o ściśle określonych cechach. Czy z próby takiej wyszłaby zwycięsko literatura SF, gdyby odebrano jej wszystkie efekty i błyskotki? Pytanie to wpisane jest w opowiadanie Parowskiego, który wykorzystał, właściwie bezużytecznie, cały arsenał środków i strategii.

Pisałam na początku, że dla polskiej SF nadszedł czas pytań i wyborów. Jak na razie jednak przeważa w tych rozterkach pytanie: od czego zacząć? Parowski zaczął nie od deklaracji, lecz od odsłonięcia kulisów i sprężyn składających się na poetykę SF.

Nie wyciągnął jednak z tego żadnych wniosków, nie wiemy czemu służy ta feeria pomysłów. Najważniejsze pytanie pozostaje zatem bez odpowiedzi.

MARIA BARTUS

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny 7

21 LUTEGO

Za tydzień urodziny Małgosi. Zaprosiliśmy na nie parę osób. Trzeba będzie zrobić większe zakupy. Alkohol został nam ze stycznia, więc na lutowe kartki wykupimy kawę. Smaku tej z grudnia nawet już nie pamiętam...

24 LUTEGO

Mam już prezent dla Małgosi — książkę niejakiego Vladimira Nabokova pt.: „Przejrzystość rzeczy". Na pewno się ucieszy. Na okładce przeczytałem, że był to jeden z najoryginalniejszych, najwszechstronniejszych i najbardziej znaczących umysłów twórczych naszej epoki oraz, że jest to jego pierwsza książka wydana w Polsce. Nie znam się na książkach, ale coś mi się tu nie zgadza, coś nie jest tak. E, pewnie z tą wielkością to zwyczajna lipa, taki chwyt, żeby ludzie kupowali, bo jak kupią, to zmniejszy się ilość pieniędzy w prywatnej kasie, a przybędzie w państwowej, nawis stanie się mniej groźny, a książek będzie przybywało... Nie, nie — coś mi się pomieszało, jakoś inaczej mówili.

25 LUTEGO

Kawy nigdzie nie ma, kupiłem więc litr wódki, żeby kartki nie przepadły. Takie marnotrawstwo, to byłby grzech! Zresztą może i lepiej z tą wódką, bo kawa podobno szkodzi na serce, a jak sobie człowiek wypije jednego, to od razu lepiej się czuje, no nie?

28 LUTEGO

No i już po balu. Małgosia przygotowała naprawdę wspaniałe przyjęcie. Już w poniedziałek „odstała" wołowinę bez kości na tatara, we wtorek — jakąś droższą kiełbasę, ale nie wiadomo jak się nazywa, bo ekspedientki posiały gdzieś fakturę, a po wyglądzie trudno rozpoznać, w środę — dwie puszki sardynek z importu (chciała kupić więcej, ale dawali tylko po dwie, bo podobno minister wydał takie zarządzenie), a w czwartek — wszystkie warzywa. W piątek pojechaliśmy do cioci, która zgodziła się wymienić odcinek na słodycze (ciocia jest już na emeryturze i przepada za cukierkami) i paczkę masła na kilo cukru, ponieważ Małgosia uparła się, że na swoje urodziny sama upiecze ciasto. W sobotę od rana było sprzątanie i wyprawa po świeży chleb do prywatnej piekarni, a wieczorem mieliśmy już — prawdę mówiąc — wszystkiego dosyć. Ale jak tylko przyszli goście i usiedliśmy do stołu, Małgosi od razu przeszło to całotygodniowe zmęczenie. Zawsze mówiłem, że w kupie raźniej!

Małgosia też jest tego zdania i dlatego dziś powiedziała, że trzeba by dogadać się jakoś z Tadkiem, który jest ode mnie starszy równo o rok i trzy dni, i wspólnie urządzić jego i moje urodziny. Zawsze będzie łatwiej, a jak się jakaś potrawa nie uda, to kto będzie wiedział, czyja to wina?

Myślę, że Małgosia ma rację — tym bardziej, iż teraz nawet różne zebrania i narady organizuje się wspólnie. Taka, widać, nastała moda.

Foto: R. Łucyszyn

Otrzymaliśmy list podpisany „Czytelniczki". Autorki wyrażają oburzenie, że publikujemy zdjęcia tylko na życzenie panów i oskarżają nas o dyskryminację. Żądają dowodu, że ich nie dyskryminujemy — ma być to zdjęcie „czegoś miłego dla damskiego oka".

Życzenie Czytelniczek jest dla nas rozkazem, toteż zwołaliśmy nadzwyczajne zebranie męskiej części naszego zespołu, na którym dokonaliśmy wnikliwego oglądu wszystkich zdjęć w redakcyjnym archiwum. Dokonaliśmy wyboru — jak wyżej...

Z okazji Dnia Kobiet do zdjęcia dołączyliśmy jeszcze coś miłego dla damskiego ucha: okolicznościowy wiersz pana Stanisława Borowkina, który przysłał tę perełkę lirycznej poezji okolicznościowej wraz z innymi poematami oraz komentarzem: „...poemata mogą być również wykorzystane na okolicznościowej akademii w najbardziej poważnych instytucjach bez narażenia ich na kompromitację, superatę lub manko".

KOCHAMY PANIE

Można wadzić się o to lub owo.
Można spierać się nawet o wszystko,
lecz — panowie — dziś gremialnie i masowo
zajmujemy takie stanowisko:
Kochamy Panie! Kochamy Panie!
W tej kwestii mamy jednakie zdanie.
Świątek czy piątek, słońce czy mgła
kochamy Panie, ile się da.
Kochamy Panie! Kochamy Panie!
Tak było, tak jest i tak zostanie.
Na każdym miejscu i w każdy czas
kochamy Panie, a one — nas.

OWULACJA

Z poradnika dla hodowców: „W 22 tygodniu życia musimy jednocześnie zastosować dwa bodźce na organizm kury, aby wywołać uruchomienie jajników i wzmóc owulację". W tym wieku nie mamy jeszcze bodźców na owulację, ale żółtko chętnie wtrząchamy.

SIEROTKA

„Starsza, niepaląca, uczciwa gosposia zaopiekuje się na wsi małym gospodarstwem za pusty pokój u bezdzietnych". Po adopcji i pochówku bezdzietnych wstawi do pustego pokoju chłopa i sama zacznie rodzić.

WYCINANKI

ŚMIETNIK

W **„Nad Wartą"** walka ze śmieciami. „Otóż z tych śmieci wygrzebać można problemy ważne, może ważniejsze, niż to, skąd i co komu śmierdzi". Na pewno. Zależy jednak, skąd wieje wiatr i gdzie przystawić nos.

POLAK POTRAFI

W Tomaszowskich Zakładach Drobiarskich, aby osiągnąć 100 mln zysku, ludzie zbijają skrzynki, drą pierze oraz wyrabiają miotły z chrustu brzozowego. „Co prawda, od mioteł w sklepach ani drobiu, ani jaj więcej nie będzie — pisze **„Głos Robotniczy"** — ale zakłady zysk mieć będą i pomoże to także przeczekać reaganowskie sankcje". Polak potrafi.

NIE MA TO JAK DUMA

„Życie Pabianic" dumni donosi swoim czytelnikom: **„Na japońskiej wyspie mówią o... Pabianicach"**. Jste to opowieść o pabianiczance, która wyszła za mąż za Japończyka i zamieszkała w Japonii. Tm się interesowano rodzinnym krajem żony Japończyka. **„Posługując się** — opowiada pabianiczanka „Życiu Pabianic" — **językiem migowym bardzo często mówiłam miejscowej młodzieży szkolnej o naszym kraju i o Pabianicach"**.

A oni słuchali tego języka migowego z szeroko otwartymi ustami i myśleli z podziwem: jeszcze kilka takich zdolnych Polaków, a będziemy mieli w Japonię drugą Polskę.

NIE OGLĄDAĆ

„Jeść czy nie jeść błękitka?" — pyta **„Życie Warszawy"**. Okazało się bowiem, że w błękitku — smacznej rybie dorszowatej przywożonej aż spod Falklandów — znajdują się pasożyty z grupy cysta kudoa. Specjaliści orzekli, że jest to dla zdrowia nieszkodliwe, ale wygląda odrażająco.

I tym samym udzielono odpowiedzi na pytanie „Życia Warszawy": błękitek jest do jedzenia a nie do oglądania. Jeść po ciemku!

RODZYNKI

(dziś tylko dla pań)

W rodzinie, gdzie ON jest pierwszym skrzypkiem, na tym boskim instrumencie gra ONA.

*

Kobiety, nie gubcie chusteczek podarowanych wam przez waszych mężów. W każdym mężczyźnie drzemie Otello!

*

Mężczyźni, dbajcie o kobiety, Nikt poza nimi nie zadba o was

*

Strzelanie oczyma to środek obrony czy ataku?

*

Jeżeli jedna kobieta rozumie drugą kobietę bez słów, to zawsze będą miały o czym porozmawiać.

Wiadomości z pierwszej ud — ręki

WALCZYMY Z MARNOTRAWSTWEM!

Ani jeden gram cennego surowca nie przepada w Wytwórni Zabawek Metalowych nr 3 w miejscowości M. Z odpadków produkuje się tam wagony spalinowe, konstrukcje mostów i inne tak bardzo potrzebne naszej gospodarce urządzenia.

EMERITURI TE SALUTANT

Na zasłużoną emeryturę przeszedł Mieczysław Rubaś, który przepracował w swym macierzystym zakładzie 50 lat. Wzruszeni koledzy w podniosłym nastroju odprowadzili go do przystanku tramwajowego.

WSZYSTKIEMU WINNO SŁOŃCE

Niezmiernie interesującego odkrycia dokonał nasz astronom dr doc. Bogumił Fistaszek. Obserwując Słońce ustalił, że na obniżenie wydajności pracy wpływa zarówno zmniejszenie, jak i zwiększenie aktywności słonecznej.

AWANTURA MAŁŻEŃSKA

Po powrocie z kliniki położniczej Agnieszka U. najpierw urządziła piekielną awanturę mężowi, a potem zbiła go na kwaśne jabłko, zarzucając mu, że ich nowo narodzony w niczym nie przypomina jej z rysów twarzy, natomiast jest łudząco podobny do sekretarki męża.

LIST GOŃCZY

Poszukuje się Hiacynta Palucha, ur. 7.XI.1943 r. w Parzęczewie, syna Filipa i Adelajdy z domu Topór, zatrudnionego ostatnio w charakterze kierowcy. Wyżej wymieniony został onegdaj zatrzymany na szosie przez patrol MO, gdy prowadził samochód. Po nadmuchaniu balonika, służącego do określenia zawartości alkoholu we krwi — uleciał w nieznane.

POPRZECZKA W GÓRĘ

W restauracji „Stokrotka" I kat. podniesiono na wyższy poziom kulturę obsługiwania gości. Jeżeli podana potrawa została źle przygotowana, kelner sam ją zjada.

UCZCIWA ZNALAZCZYNI

Wracając z nocnej zmiany, Weronika Funzel znalazła w rowie odwadniającym swego męża. Uczciwa kobieta odniosła go do miejscowego muzeum, gdzie jej mąż Joachim pracuje jako nocny dozorca.

BEZDUSZNY BIUROKRATA

Bezdusznym biurokratą okazał się Zygmunt Turlej, kierownik Biura Informacji i Zaświadczeń. Tylko dlatego, żeby nie wydać interesantce zaświadczenia, że nie jest ona mężatką — ożenił się z nią.

ZASŁUŻONY AWANS

Jako niedoświadczony inżynier przyszedł do fabryki Ludomir Bąk, a obecnie jest on już niedoświadczonym zastępcą naczelnego dyrektora do spraw technicznych.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ

Dzięki niedyskrecji reportera miejscowej popołudniówki czytelnicy zapoznali się z korespondencją znanego literata M.B.H. do jego byłej żony. Oto fragment jednego z listów: „Jak mogłaś pomyśleć, że ja po Tobie pokocham inną kobietę? Teraz je wszystkie nienawidzę!".

Poczta do Ajenta

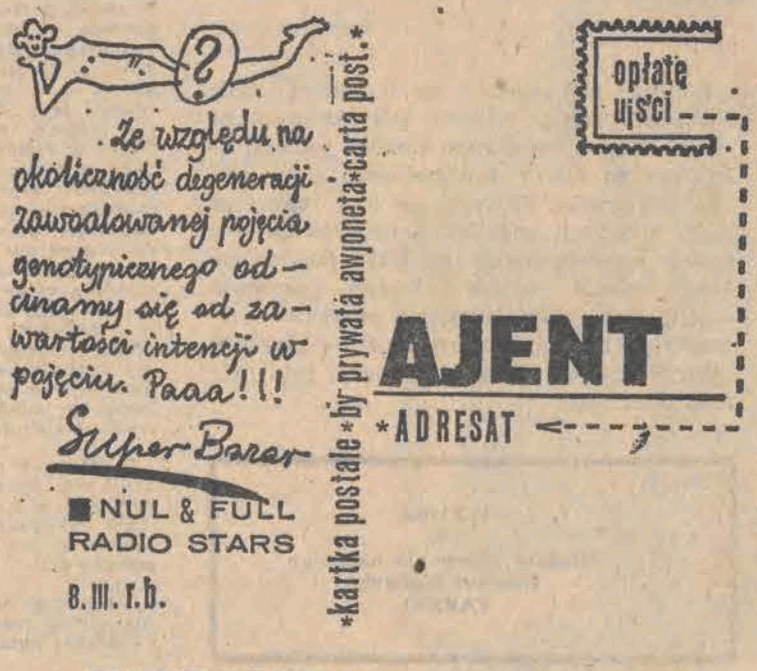

ROZTERKI XAWEREGO

W swoim „Murzynie warszawskim" (Nr 6 „Odgłosów") Xawery wypowiedział pogląd, że „tradycyjna tolerancja naszego społeczeństwa nigdy nie została wystawiona na próbę", a taką próbą mogłaby być, według niego, sytuacja „gdyby okazało się pewnego dnia, że wszystkie ważniejsze stanowiska w naszym kraju piastują Murzyni. Nawet gdyby to byli Murzyni bardzo dobrze mówiący po polsku".

Nie wiem, czy Xawery jest skłonny uznać, że Murzyni bardzo dobrze mówiący po polsku (a wyobraźmy sobie jeszcze, że także uważający się za Polaków) powinni być traktowani jako Polacy (podobnie jak czarnoskórzy Amerykanie powinni być uważani za pełnoprawnych Amerykanów). Nie wiem również, czy Xawery byłby skłonny przyznać równe prawa do zajmowania stanowisk wszystkim posiadającym obywatelstwo polskie, bez względu na to (zgodnie z Konstytucją), jaką deklarują narodowość, ale co do jednej sprawy mogę Xawerego upewnić.

Otóż bywają takie krytyczne momenty (ekonomiczne, polityczne), kiedy zarówno pewnej części społeczeństwa, jak i określonym kołom sprawującym władzę lub o nią walczącym, nadzwyczaj wygodnie jest przyjąć tezę, iż wszystkiemu winni są... Murzyni i cykliści". A że dobra posada — rzecz łakoma, nie zabraknie nigdy i nigdzie osób zainteresowanych w tym, aby nawet białoskóremu wmówić murzyńskie pochodzenie, a tym samym przypisać mu wrogie wobec białych nastawienie.

Ale o co to chodziło Xaweremu? Aha, o to, że „nasza tolerancja nigdy nie została wystawiona na próbę". Czy aby Xawery nie jest znacznie młodszy niż nam w swoich felietonach sugeruje?

ALEXY

* * *

Szanowna Redakcjo!

Mam z gazety nr 8/1299, 19 lutego, podobiznę pani Zuzi. Bardzo mi się ona podoba i wciąż na nią patrzę. Więc proszę Redakcję o przysłanie mi jej adresu. Chciałbym z nią zawrzeć znajomość.

Panna Zuzia na plaży.

HAŁASIŃSKI
Drobnin 8

Szanowny Panie!

Nie dysponujemy adresem panny Zuzi, nawet gdybyśmy dysponowali nie moglibyśmy — bez upoważnienia — komukolwiek go udostępnić. Jesteśmy natomiast w posiadaniu całego szeregu innych, bardzo pożytecznych adresów, które w miarę potrzeb możemy Panu udostępnić.

Oto np. pożyteczny adres: Polski Komitet Normalizacji i Miar, Łódź, Piotrkowska 143.

1

Składziki porcelany

Gdyby tak uważniej poczytać nasz tygodnik, uważniej wsłuchać się w „Pegazowe" dyskusje na małym ekranie, czy nawet w te najbardziej zwyczajne rozmowy w miejscu pracy, podczas towarzyskiego spotkania, w którym uczestniczą tzw. MY i tzw. ONI — co zdarza się coraz częściej, bo jakoś trzeba żyć, trzeba się spotykać, załatwiać swoje sprawy, a więc gdyby tak przyjrzeć się temu wszystkiemu, to okaże się, że nasza Polska wypełniona jest mnóstwem jakichś składzików z porcelaną, kantorków wypełnionych delikatnymi farfurkami.

Nie każdemu pisane jest miejsce na takiej półeczce z kruchymi naczyńkami. Magazynierzy wiedzą doskonale, kto i za co na nie zasługuje. Oblepiwszy składziki napisami „ostrożnie szkło" poruszają się w nich z godną podziwu zręcznością.

Oto nasz najwybitniejszy reżyser filmowy, *którego nazwisko kojarzy się przeważnie z marmurem* lub żelazem, zrobił kolejny film. Zainspirowany rocznicowymi pomysłami Francuzów wziął na warsztat wydarzenia historyczne, które dały początek nowożytnej Europie. Zarówno publiczność francuska, jak i polska przyjęły film z tzw. uczuciami mieszanymi. Nad Sekwaną nikomu nie przyszło do głowy, że ów wybitny reżyser ma od dawna zarezerwowane miejsce na regaliku — tu nad Wisłą — z najdelikatniejszą zastawą. Owszem chwalono też, obdarowano „Cezarem", ale i krytykowano — ostro i bez pardonu. Natomiast u nas poszły w ruch delikatne skurzaweczki wspomnianych wyżej magazynierów. „Cóż za ulga! — piszą — Mamy oto wielki wspaniały film historyczny (..) Obojętne jakie jeszcze korygujące poszlaki czy mniej znane szczegóły wydobędą na jaw francuscy historycy (..) „Danton" Wajdy pozostanie obrazem uderzająco prawdziwym. Prawdziwość ta ma charakter istotowy, dotyczy sedna sprawy, a nie jej faktograficznej czy fabularnej otoczki". Ale mimo to „końcowe partie nabierają porywającego rytmu, w którym się czuje powiew wielkiej **historii"** (podkreślenie moje). Ponieważ — jak mówi się dość nieelegancko — czuć pismo nosem, lepiej pisać o „prawdziwości istotowej" niż wdawać się w analizę historyczną czołowych postaci filmu I w dyskusjach telewizyjnych profesor Baszkiewicz, autor dwóch znakomitych książek o Dantonie i Robespierze wolał spowiadać Przybyszewska i Carrière'a — scenarzystę filmu, niż reżysera. Tamtych nie ma powodu stawiać na półce z porcelaną.

Oto nasz płodny dramaturg pisze sztukę o mechanizmach przewrotu rewolucyjnego gdzieś w Ameryce Południowej, tytułując ją — nie wiedzieć czemu — „Terroryści". Sztuka przecież słaba, o wątłej dramaturgii z papierowymi postaciami. Epizod rozciągnięty na trzy akty. Zarówno przedstawienie warszawskie, jak i łódzkie niczym szczególnym nie zapisze się w pamięci widzów, którzy nie bez znużenia opuszczali teatr. Ale jeśli farfurkowy składzik z filmowcami nie jest zbyt obszerny, tak aktorsko-teatralny rozpościera się na dość rozległych powierzchniach.

Mają swój składzik także literaci. Pisał o tym Artur Sandauer: „Asymetryczny jest również i stosunek obu literatur do siebie (tej pod mecenatem państwa i tej pod mecenatem Zachodu). Pisarze drugiego obiegu mogą krytykować, ba! lżyć tamtych: wzajemność jest jednak niedopuszczalna, jako że tamci uchodzą za bezbronnych, czyli za leżących. Do powstania tej asymetrii przyczyniła się walnie i cenzura: przed sierpniem 1980 roku konfiskowała mianowicie wzmianki o pisarzach drugiego obiegu, co — będąc represją — stawało się mimo woli i ochroną: nie będąc wymieniani, pisarze ci nie mogli też być krytykowani, o sobie zaś nawzajem mówili jak najpochlebniej. Permanentne leżenie stało się więc swego rodzaju bronią. Każde słowo, które nie miało charakteru panegirycznego, było zaś próbą — nie krytyki nawet, lecz ściślejszego określenia, kwalifikowano jako — donos".

Zatem jeśli recenzujesz tomik poety, który był internowany, pamiętaj o tym. Wpisz go w tradycję miłoszowską, nie wspominaj — broń Boże — o Mandalianie. Jeśli piszesz o twórczości wybitnej postaci zapomnij, że jesteś krytykiem literackim, bo inaczej okrzykną cię łobuzem.

Zawsze jak pamiętam — nasza krytyka, zwłaszcza literacka i filmowa cierpiały na brak autentyzmu. I dzisiaj to zjawisko przybiera na znaczeniu. Myliłby się ten, kto chciałby istnieniem tytułowych składzików z porcelaną, obciążyć tylko oficjalne mechanizmy obecnej polityki kulturalnej. Zasadę farfurki, czy jak chce Sandauer, „permanentnego leżenia" wymyślił kto inny.

Co gorsza, zasada ta funkcjonuje także w życiu społecznym. Oto organizacja partyjna przed wyborami do samorządowego ciała postanowiła przedyskutować swoich kandydatów, także ich poprzeć w demokratycznym głosowaniu — *To prymitywna manipulacja!* — krzyczeli ci, którzy po całym zakładzie biegali ze swoją listą. Oni tylko demokratycznie przekonywali.

GRZEGORZ GAZDA

2

Lewym okiem

„W oczach miernot"

Jeśli wrażenia z podróży na Zachód, albo reportaż z takiej podróży, mają się podobać czytelnikom, to pisze się je tak: „Jerry Hall to przede wszystkim bardzo długie, zgrabne nogi wrośnięte prawie w pępek (Jerry Hall to nie byle kto, to „nowa dziewczyna" Micka Jaggera z Rolling Stones'ów). Powyżej śmiało odsłoniętych piersi o sutkach jak rubinowe guziczki znajduje się długa, kształtna szyja owinięta jedwabnymi o złotawym połysku włosami. Było tego naprawdę dużo: nóg, szyi i włosów. No, może **ciut za mało piersi**, ale nie wybrzydzajmy. Jerry Hall chodziła boso, ocierała udem o udo, wiercila twardym, kształtnym tyleczkiem, w tanecznych piruetach potrząsała piersiątkami. Przypominała mi trochę urzędniczkę z wydziału kultury, administracyjną opiekunkę „Stomuru", PSJ, Stowarzyszenia Artystycznego i Estrady. Z tym, że urzędniczka nosi okulary".

Poza okularami urzędniczka z wydziału kultury ma, jak z tego widać, „kształtną szyjkę" i „kształtny tyleczek" i potrząsa piersiątkami o sutkach jak rubinowe guziczki, których to piersiątek ma ciut za mało. Inaczej nie przypominałaby jej Jerry Hall, która zresztą „ma w oczach tyle wyrazu liryki, ciepła i namiętności, ile ma w sobie przednia panoramiczna szyba Mercedesa". Oczywiście, żeby czynić takie błyskotliwe porównania trzeba na co dzień jeździć Mercedesem.

O innej niezmiernie ważnej i godnej zapamiętania postaci pisze się podobnie: „Victoria Principal, 31-letnia gwiazdka o brązowych oczach i **ładnie zarysowanym biuście**, stała przyjaciółka Andy Gibba", o którym wypowiedziała wiekopomne słowa: „Andy jest jedynym mężczyzną, który mnie interesuje".

O pani Dagmar Koller (kto to jest?) koniecznie trzeba napisać, że „prawie osiem lat żyła w tajnym, nieformalnym związku z Helmutem i dopiero kiedy ten otrzymał rozwód mógł się pobrać ze swoją wielką miłością". Tu autor zapomniał jednak dodać, czy pani Dagmar ma piersi ciut za małe czy też ładnie zarysowane.

Wspominając Johna Travoltę, należy dodać „jego najnowszą miłość, siedemnastoletnią Brooke Shields", (ale piersi, piersi jakie?), potem powinien nastąpić wyraz gorącego patriotyzmu: „Werner włącza telewizor, a tu radosna niespodzianka. Widzę me rodzinne miasto Łódź, i to na kolorowym telewizorze Uniwersum Senator, który stanowi autentyczną Deutsche Spitzentechnik". Jak widzimy, można połączyć miłość do rodzinnego miasta z reklamą telewizorów. „Radosna niespodzianka" to, jak się okazuje... sceny z marszu głodowego łódzkich kobiet w lipcu 1981 roku. A w dwa zdania potem „idol francuskiego rock'n rolla Johnny Hallyday i jego flama, szczupła, długowłosa Sabina" (a piersiątka jakie? Kształtne?). I jeszcze „znakomity amerykański pisarz Norman Mailer razem z żoną. Jest to jego szóste małżeństwo, tym razem z fotomodelką Norris Church. Niewysoki, siwy, sześćdziesięcioletni mężczyzna i reprezentacyjna młoda dziewczyna, wyższa od niego o głowę" (a biust?).

Do tego wszystkiego dodaje się zdjęcie błazna z wywalonym na metr językiem i zdjęcie dziewczyny z wywalonym wszystkim innym.

Wszystkie cytaty pochodzą z artykułu Andrzeja Jóźwiaka w „Odgłosach" z 26 lutego 1983 r. Teraz czekamy na sprawozdanie — no, na przykład z Festiwalu Sopockiego, żeby pozostać przy nieszczęsnej branży rozrywkowej — w którym przy każdym nazwisku poda się listę byłych i aktualnych kochanków, liczbę lat, jaką z każdym z nich spędzono w „tajnym związku", kolor śmiało odsłoniętych sutków i kształt trzęsącego się tyłeczka. Może to się nawet przeniesie na inne branże? Ludziom to się spodoba: „na mównicę wchodzi przewodnicząca NN (tu pełne imię i nazwisko), podnosi rękę dokładnie wygoloną pod pachą i oznajmia: mój trzeci mąż to prawdziwy mężczyzna. Nagłośnienie Hop-Shiup-Pshia-Noga to japoński szczyt techniki, lepsze spotykaliśmy tylko u Ritza pijąc czerwone spumate i białe secco. Tu — tylko śliczna ZZ (nazwisko) ostatnia flama siwowłosego prezesa, w cours-de-molle koloru yellow, ocierając udem o udo podaje zwyczajną herbatę"...

Cóż „w Łodzi — jak powiada Andrzej Jóźwiak i podkreśla te słowa tłustym drukiem — w oczach miernot jedynie mierność jest zaletą".

Zdanie to autor pomyślał jako pointę swojego artykułu. Reportaż powinien przecież mieć pointę.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Felieton pesymistyczny

Wio koniku...

Pogoda była okropna. Plucha, błocko, jak kto woli — mżawka, roztopy — no, fatalnie. Ale z psem trzeba było wyjść na wieczorny spacer. Przegrałem — jak zwykle — w „marynarza" i parę minut później brnąłem za radośnie uśmiechniętym Royem w śniegowej bryi.

Dalekośmy nie uszli, gdy spokojne z natury psisko zjeżyło się i zaczęło warczeć. Widomy znak, że wypatrzył gdzieś kolejkę, których nienawidzi święcie od czasu, gdy za używaną kością i kawałkiem koniny wystawał przed jatką bodaj przez osiem godzin. Przyciągnąłem mu więc cugli i rozejrzałem się zdziwiony nieco za charakterystycznym wianuszkiem, karnie ustawionym do chodzonego. Byli, każdy ze swą „lakierowaną pociechą", a długi rządek aut wił się malowniczo w kierunku widnokręgu...

— Oho, niebieska znów na kartki, albo już po konsultacjach i od jutra skoczą ceny — skonstatowałem inteligentnie bardzo. No, był ostatni dzień lutego, więc wszystko możliwe, naród jest czujny jak zwykle.

— Panie kolego! — dobiegło gdzieś ze środkowych rejonów samochodowego węża. No proszę — magister B. Wygodnie oparty o zabłoconego malucha, w gronie podobnie nie ogolonych facetów. Widać, że parę godzin już im zeszło. Popalając, leniwie rozwodzili się nad budową trzeciej Polski. Samochodowej.

— Cóż to, magister na niebieską jeździ? — zagadałem fachowo.

— Ale tam, silnika szkoda. Akurat mi się paliwo skończyło, ale czekać muszę jak wszyscy. Komitet kolejkowy odrzucił niestety większością głosów, przy dwóch wstrzymujących się moje podanie (dwieście złotych znaczkami...) w sprawie uformowania osobnej kolejki po żółtą. No i tak sobie stoimy.

— Na Tuwima był dziś „Topaz" — wtrąciłem, zręcznie sprzedając zasłyszaną w autobusie nowinę.

— Cholera, już na pewno zabrakło — wysoki w berecie spojrzał na mnie jak na gościa z branży. — Nie najlepsze to, zamarza jak woda, ale „Autowidolu" nigdzie już nie uświadczysz — wszystko wypijają...

— Albo takie PZU — wrócił widać do przerwanego wątku miły grubas w marynarce tylko. — Premie dają tylko za dwa lata jazdy bez wypadku, później już ostrożnej eksploatacji nie preferują, nawet i dwadzieścia lat możesz pan się nie rozbić. Ale jak trzeba pieniążki za ratę wycisnąć, to pod ziemią znajdą.

— W czasach w ogóle żyjemy ciekawych — brylował magister. — No zdobądź pan na przykład takie nadwozie drogą legalnego kupna. Niemożliwe. Każde dziecko wie, że trzeba się fachowo „podstawić", choćby pod ciężarówkę, to przyznają na „przesypkę". Znajomemu to pewien pracownik PZU wprost poradził...

— Albo opony — zagadał z boku blondyn-okularnik. — Ja mam już zupełnie łyse, od miesięcy szukam choć dwóch „kapci". W firmowym sklepie „Stomilu" na Piotrkowskiej działa wręcz złodziejski gang, wykupujący praktycznie każdą dostawę, a gumy można potem trafić po niesamowitych cenach choćby na bazarach. Czy nikt nie wpadł na pomysł, by na przykład sprzedawać — jak bida, to bida — na podstawie dowodów rejestracyjnych i po zakupie postawić tam jakiś mały stempelek? Ukróciłoby się spekulację.

— A ta jakość nowych wozów?! Ludzie, żal patrzeć — aktorsko załamał ręce „beret" — Kolega odebrał dużego Fiata z „Pewexu", wersję zubożoną. Faktycznie, nawet zapalniczki i zagłówków nie dają, a pasy parciane, że w czasie jazdy udusić się można. Uwaga! Ruszamy panowie — zawołał nagle — No, wio koniku...

Towarzystwo rozbiegło się do swych limuzyn, by zaprzeć się nogami w błocku i przepchnąć swą pociechę parę metrów do przodu. Po chwili zgrzani, zazipani znów uformowali kółeczko. Obok, klekocząc, przetoczył się czerwony Golf.

— No, silnik do remontu — palnąłem odważnie.

— Coś pan, przecież to „dizel" — pogardliwie odciął ten w marynarce, dodając z zawiścią: — Ale jeszcze trochę i weźmiemy się za nich!...

— Co, będziemy rekwirować? — wymsknęło mi się nie wiedzieć po co.

— Kto wie, kto wie — mściwie ciągnął zagadnięty. — Rozliczy się, sprawdzi, skąd miał, za co kupił. Jak się nie wytłumaczy, to... — popatrzył na raptem osłupiałe grono. Kątem oka dojrzałem, że magister dyskretnie chowa swojego „Tissota" (znamiona luksusu?) do kieszeni kurtki. „Marynarz", lekko zmieszany, łagodził sprawę: — No takie czasy, jak mamy mieć wszyscy po równo, to po równo, tego, prawda... — zatrzasnął za sobą drzwiczki „Łady". Służbowej, jak stwierdzili pozostali.

Powiało chłodem, choć wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Odprowadziłem magistra do jego malucha. Popił herbaty z termosu, wyciągnął z pokrowca kolorowy śpiwór, nakręcił budzik na szóstą rano. Od czoła pochodu znów pobiegło hasło: — Ruszamy....

Hen, w dali, na tle ciemnego nieba jarzył się już neon-nadzieja: CPN...

STEFAN ŻYCIOWY

4

Sport

Jak kochać Widzew?

RTS Widzew pokonał w Łodzi angielski zespół z Liverpoolu. Wynik — jak to mówią sprawozdawcy sportowi — poszedł w świat. 2:0 dla Widzewa. I to jest fakt. Ale do pełnego szczęścia jeszcze daleko. 16 marca trzeba będzie tak rozegrać spotkanie w Liverpoolu, aby wynik był korzystny dla Widzewa. I chyba wszyscy zdają sobie sprawę, że nie będzie to łatwe.

Co Anglicy myśleli przed meczem w Łodzi?

Byli pewni, że mecz rozegrają na własną korzyść. Tomm Saunders, który obserwował widzewskich piłkarzy w ich tournee po Włoszech, postawił taką diagnozę: w Łodzi remis, reszta w Liverpoolu.

Liverpool FC powstał w 1892 roku. Piłkarze tego klubu byli już mistrzami Anglii w 1901 roku. Tytuł ten zdobyli jeszcze 12 razy. Ostatni raz w ubiegłym roku. Dwukrotnie mieli Puchar Anglii, trzykrotnie Puchar Europy, dwukrotnie Puchar UEFA. Jest więc powód do dumy. Każdy przeciwnik powinien poczuć respekt. I największym osiągnięciem piłkarzy Widzewa było to, że rozegrali ten mecz bez należytego respektu. Grali jak równy z równym, choć bezstronnie trzeba przyznać, że chwilami Anglicy demonstrowali lepsze przygotowanie techniczne. Ale Widzewiacy mieli niczym nie zachwianą wolę walki i zwycięstwa. Oby tak było i w Liverpoolu.

Anglicy mieli natomiast pewność siebie. A to jest — co już wielokrotnie wykazało życie — największy wróg każdego zespołu. Z pewności siebie bierze się lekceważenie przeciwnika. A przeciwnik czasem na to nie zasługuje. I potrafi to wykorzystać.

Katowicki „Sport" podał niezwykle interesującą wiadomość. Otóż Kenny Dalglish, Ian Rush, Sammy Lee i Alan Kennedy przyrzekli swemu menagerowi, że... wypije toast z pucharu Europy. W tej chwili obietnica ta ma wątłe podstawy.

Obrońca jedenastki z Liverpoolu — Phil Thompson też się wypowiedział. Z całym szacunkiem i uznaniem dla polskiej piłki nożnej, ale i z typowym dla Anglików zadufaniem. Dla nich przecież świat najczęściej dzieli się na Wyspę i całą resztę, z tym, że wszystko, co na Wyspie jest najlepsze. Piłka nożna też.

Phil Thompson był niebywale uprzejmy dla polskich piłkarzy, ale nie omieszkał też powiedzieć, że Liverpool miał szczęście, bo... mógł wylosować trudniejszego egzaminatora oraz że los podwójnie był dla Liverpoolu łaskawy, bo pierwszy mecz przypadł w Łodzi. A „przed swoją publicznością na Anfield zawsze bowiem mamy więcej przekonania i możliwości odrzucenia niekorzystnego rezultatu". Jeśli piłkarze Widzewa nie popadną w zadufanie, nie nabiorą przekonania, że... też — da Boże — zafundują Ludwikowi Sobolewskiemu toast z Pucharu Europy, jeśli solidnie przygotują się do walki na Wyspie, to piłkarze Liverpoolu będą mogli mieć sporo kłopotów i na swoim terenie. Ale to dopiero będzie.

Anglicy nie są wcale jednomyślni i nie wszyscy uważają, że co angielskie to znaczy najlepsze. W „Piłce Nożnej" ukazała się korespondencja Erica G. Batty pod niezbyt dla nas obiecującym tytułem: „Liverpool trudno pobić". Autor tej korespondencji wprawdzie przyznaje, że zespół z Liverpoolu jest silną i renomowaną drużyną, ale i ma swoje słabości. Przede wszystkim uważa, że zespół ten jest „zbliżony do zaprogramowanej piłkarskiej maszyny". Wszyscy się tam doskonale rozumieją, każdy wie, co ma robić, grają czasem „w ciemno", „na pamięć" — co widzieliśmy na stadionie ŁKS w Łodzi — ale „nie ma w ogóle graczy wielkich". Otóż — zdaniem Erica G. Batty — Liverpool gra w sposób szablonowy i jeśli ktoś potrafi ten szablon poznać, rozszyfrować wszystkie kombinacje i założenia, to ma szansę poradzenia sobie z tym zespołem. Jego zdaniem w ogóle „angielski futbol jest zbyt szybki i siłowy, a prawdziwa piłka nożna powinna być sztuką, mieć w sobie elementy artyzmu wynikającego z umiejętności technicznych oraz inteligencji". Inteligencji naszym piłkarzom nie brakuje, gdyby jeszcze szły z tym w parze umiejętności techniczne.

Uwagi Erica G. Batty nie są dla nas pocieszeniem. Nie powinny osłabić czujności ani piłkarzy, ani szkoleniowców. W Liverpoolu nie będzie łatwo. Może być bardzo groźnie. A jest szansa na wyeliminowanie Anglików. I tę szansę trzeba wykorzystać. Wielu doradców od siedmiu boleści powiada, że widzewiacy w Liverpoolu powinni od pierwszej minuty grać ofensywnie. Od taktyki jest trener Władysław Żmuda. Trzeba mu zaufać. I nie popadać w nadmierną euforię. Spokojnie Panowie Entuzjaści! A przede wszystkim nie nazywać piłkarzy Widzewa „profesorami futbolu" jak to zrobił anonimowy sprawozdawca „Dziennika Łódzkiego", bo to głupie i zupełnie zbędne. Jeśli ktoś jest fachowcem w jakiejkolwiek dziedzinie, to nie potrzeba mu żadnych wydumanych porównań.

Nie popisała się grupa „kibiców" na stadionie ŁKS. Kary dla UEFA nie zapłacą podpici kibice, ale klub. Taka miłość do klubu jest skrajną głupotą. Niestety.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrze Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Ol hnowicz (z ca sekretarza redakcji) Igor Sikirycki (kier działu literackiego) Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), **Jolanta Wroń ska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują **Tadeusz Białejewski, K rzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" ul. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicysci 677-70 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90 103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 546. L-2.

„Meserszmity" i inni

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Był inny. Wyróżniał się zdecydowanie od kilku zmarzniętych pań, reklamowych wręcz rencistek oraz zaczepnych młodzieńców z rączkami w kieszeniach. Wszyscy co prawda cały czas czujnie rozglądali się wokoło i strzelali w kierunku przechodniów jednym w zasadzie tekstem: *„Potrzeba coś?..."*. I nikogo z tych ostatnich ta powtarzająca się fraza nie dziwiła. Wszak parę metrów z tyłu pyszniła się na szybie dużego sklepu metrowej wielkości, charakterystyczna niebieska litera „P". I stylowy napis „Pewex".

A za drzwiami — już inny świat. W jednym skrzydle pawilonu — wszelkiej maści odzież, od majtek po kożuchy. Po drugiej stronie — oko się śmieje do paczkowanej polędwicy, szynki i ananasów. Po sąsiedzku — papieroski i wódeczki. Są jeszcze stoiska kosmetyczne, zabawkarskie, ze sprzętem elektrotechnicznym. I parę innych. Wszystko pierwszy sort, pięknie opakowane, dziewczyny za ladą grzeczne, uśmiechnięte. Tylko przed kasą kłopot: nawet „piątki", te z Chopinem nie mają siły przebicia. Ale są ludzie, którzy o tobie, drogi Kliencie, myślą. Stąd ten sympatyczny tekst przed wejściem: *„Trzeba coś? Ile?"*...

On był inny. Przystojny, barczysty blondyn, w eleganckim półkożuszku. Stał nieco na uboczu. Jakby kontrolował sytuację. Ale gdy przechodząc obok zwolniłem kroku, zawodowy odruch był silniejszy. Zagadnął pierwszy, nie patrząc w ogóle w mym kierunku:

— *Jest coś do sprzedania?*

— Nie, ale pogadałbym...

— *To można zawsze, ale o czym na ten przykład?*

— No o was, o robocie...

— *O nas?* (dopiero teraz przyjrzał mi się uważnie). *A skąd ty synek mniej więcej jesteś?*

Wyjaśniłem. Uśmiechnął się cierpko i zakończył rozmowę krótkim: — *Spierdalaj mały...*

Co też uczyniłem. Nie narzucam się nigdy nie znanym mi, barczystym młodzieńcom, niezbyt skorym do zwierzeń. I ta przygoda niegodna byłaby wspomnień, gdyby nie przypadkowe spotkanie tydzień później.

Kończyłem właśnie wytwornego mielonego z kaszą w knajpie, której klasa spadła ostatnio do poziomu przeciętnego dworca, gdy zauważyłem kogoś znajomego przy ostatnim stoliku. To był on. Ten sam sympatyczny blondas. Z reprezentacyjną dziewczyną, w nienagannie skrojonym ubranku. Obok uwijali się usłużni kelnerzy, lało się jakieś czerwone wino. Dziewczę pożegnało się, a ja siorbiąc herbatkę zorientowałem się w pewnym momencie, że ów rozparty w kącie sali gość też mi się przygląda. Nagle strzelił palcami, jakby przypomniał sobie skąd się znamy i wykonał zapraszający gest ręką.

Speszony nieco przysiadłem obok.

— *To ty jesteś ten ciekawski pismak!* — wionęło w moją stronę burgundem i dobrą wodą po goleniu. — *I wciąż cię nasza robota interesuje?*

— Tak, owszem, ale właśnie...

— *I na cholerę ci te wiadomości? Nie masz ciekawszych tematów? Mało to ich leży po ulicach?*

— Ale to...

— *...samo życie, chcesz pewnie powiedzieć. Na pewno, tylko synku, czy ty nie rozumiesz, że nikt ci słowa nie piśnie, we własnym interesie. Ja tylko dlatego, że jedną sprawę załatwiłem na cacy i w dobrym humorze jestem, to tu z tobą gaworzę. Walniesz lufę?*

— No, właściwie...

Blondas podniósł w górę palec i przede mną pojawiła się „lufa" z czerwonym płynem. „Może jeszcze nie wszystko stracone" — medytowałem. „Byle go nie spłoszyć, powolutku, może jednak uchyli rąbka zawodowych numerów, początek raczej obiecujący...".

— *Czekam tu na kogoś, to po małym możemy palnąć* — łyknął spory haust — *ale na dużo nie licz, i tak się nie dowiesz. Te parę wyświechtanych prawd możesz przecież wyssać z palucha, to chyba umiesz? Takie wasze codzienne kity: „społeczna plaga", „ci wstrętni cinkciarze", „zlikwidować waluciarzy", „milionerzy znad Wisły"* — rechotał wyraźnie ubawiony.

— A skąd się w ogóle wzięła nazwa „cinkciarz" albo, no wie pan — „koń"? — zacząłem delikatnie.

— *Mów mi Staszek* — wyciągnął prawicę. — *Koń? Przyjęto to od kinowych koników, co skakali od klienta do klienta z biletami na co lepszy film. A cinkciarz? Pewnie kiedyś początkujący „meserszmit", co języków nie znał, zabałakał „ciné" zamiast fachowego „czejndż". Jak wszedłem w interes to już nas tak niestety nazywano...*

— A któż to ten „meserszmit"?

— *No tak zielony jesteś całkiem. To ci, co (gdzie się da) skupują bony i baksy. Każdy od tego zaczyna. Ja też bym wolał żeby mnie nazywano pracownikiem prowadzącym skup i sprzedaż waluty oraz bonów. Nawet bym mógł taki specjalistyczny sklepik wziąć w ajencję...*

— Dobre sobie, przecież to zdzierstwo w biały dzień!

— *Synek, licz się ze słowami. Ja ci w „peku" nie każę kupować i nie moja wina, że pensyjki w bonach nie dostajesz. Ale jak masz ochotę na „Wranglery", dobry trunek czy perfumy dla mamuśki na imieniny — sam przyjdziesz. Te sklepy nie ja wymyśliłem — mądrzejsi na to wpadli. A minister Krasiński to jeszcze nam powinien być wdzięczny, bo mu skutecznie ten cały nawis zmniejszamy. A ceny są, powiedzmy, umowne. Rodacy na skasy jeździli — chodziły po trzysta i mniej jeszcze. Turystyka leży, dostaw mało — to i trochę skoczył.*

— Ładnie mi trochę, bodaj na czterysta pięćdziesiąt?

— *No, jesteś na bieżąco mniej więcej, ale to i tak nie jest wzrost o 300 procent, nie? To są płynne sprawy; jak artykuły pierwszej potrzeby, czyli na przykład wódeczka drożeje, to u nas też ceny skaczą, normalka. Zresztą w różnych rejonach kraju różne wyniki się osiąga — zależy, jak mówiłem, od dostaw. U nas zawsze jest trochę taniej niż w innych częściach Polski.*

— No właśnie, dlaczego?

— *Więcej ludzi ma rodziny za granicą, może więcej siedzi na służbowych wyjazdach, ale „meserszmity" mają pełne ręce roboty.*

— Też tak zaczynałeś?

— *Praktycznie tak. Na studiach nie bardzo mi szło, na drugim roku zrezygnowałem. Pomagałem trochę staruszkowi, który prywatny interes ciągnął, ale chciałem sam stanąć na nogi. Pamiętam, samochód sprzedałem i ze znajomym koniem pojechałem w rzeszowskie zamienić forsę na walutę, bo tam wtedy było taniej. Pogadaliśmy trochę po drodze, dosyć mi się spodobało, no i spróbowałem. I nie jest źle. No to: nasze kawalerskie.*

Między stolikami przepychał się w naszym kierunku jakiś pryszczaty młodzieniec w skórzanej kurteczce. Nosek miał koloru marchewy i takież rączki. Wyraźnie biedny przemarzł. Przed „pekiem" pewnie. Zawahał się wyraźnie na mój widok. Staszek dał znać, by podszedł z drugiej strony stołu i odwróceni do mnie plecami wymieniać zaczęli półgębkiem jakieś uwagi. Rozmawali jak szyfrem. W tym slangu z pojedynczych słów, które tylko do mnie docierały, nic się nie można było zorientować. Jednak wyraźnie się wyczuwało, że barczysty jest parę szczebelków wyżej w zawodowej drabince od „zmarzniętego".

— *No to wiosłuj młodziak* — szef kiwnął głową w stronę wyjścia. I do mnie ze śmiechem: — *Coś tak żagle postawił? I tak niewiele skapujesz: winko ci nie służy?*

— Nie, nie dlaczego, ale powiedz — bezpieczniej trzymać bony czy dolary?

— *Nie bądź za cwany, ale to ci mogę powiedzieć: teraz wszystko jedno, dolary też możesz mieć, byleś nimi, przynajmniej oficjalnie, nie handlował. To się nawet walutę specjalnie dołuje, bo się lepiej opłaca. Sprzedam drobniej, ale drożej. Albo podmienię ci powiedzmy setkę bonów na dolce, ale za drobną, dodatkową opłatą. A zdarzają się i tacy porządni klienci co i parę setek na raz chcą kupić.*

— Bo zbiera na przykład na samochód w „PeKaO"...

— *Aha, frajerze, przecież to trzeba mieć udokumentowane. Na takich co z siennika wyciągają cztery czy pięć tysiączków i kupują nową „budę" w peku to niektórzy tylko czekają. Żeby ich rozliczyć.*

— Ale przecież wielu jest na placówkach, oficjalnie za granicą pracują, albo rodzina mu wpłaca...

— *No i bardzo dobrze, od nich też się sporo kupuje. Ale jak nie masz nawet przyszywanej ciotki?*

— To zostaje „Polmozbyt" i przedpłaty oraz Toto-Lotek.

— *No teraz dla wielu faktycznie, bo za bardzo wyjeżdżać nie można. Przed stanem wojennym startowałeś z kraju z forsą, powiedzmy w RFN wpłacałeś to na swoje konto na pierwszej poczcie, choćby jako Simon Templar i po powrocie czekałeś spokojnie na stosowne zawiadomienie. Potem nabywałeś samochodzik za bony i — święty spokój.*

— Słyszałem — i ty to potwierdzasz — że jak rodzina wpłaca funty czy marki to i tak się dostaje tylko bony...

— *No stary, ci z ministerstwa finansów też myślą. Ale jak rodzinka zaznaczy, że to na koszty podróży — to wypłacą w walucie.*

— Ale powiedz tak szczerze: puszczacie czasem w obieg fałszywe banknoty, te setki przerabiane z jedynek?

— *Człowieku, prawdziwy koń takimi sprawami się nie bawi. To i kryminał może być, ale przede wszystkim traci się twarz i egzystencję. Jak tak zagrasz, to od swoich dostaniesz „oklep". Szczyle spoza branży czasem próbują coś wrzucić do obrotu, ale zwykle wpadają od razu.*

— Dryg w palcach i bystre oko mieć trzeba...

— *i wyczucie do faceta. Mnie na funtach czy dolarach nikt nie orżnie. A jak gość przyniesie jakieś dziwne guldeny czy korony — to go się do kasy wysyła. Rzadko się zdarza bo kasjerki nie odbadały. Dziewczyny mają swoje specjalne szkolenia.*

— I co wtedy?

— *No banknocik przepada zawsze. A ludzie różnie reagują. Niektórzy zaraz pryskają, wiedzą czym to pachnie. A są i tacy co mdleją i płaczą przy kasie też. Bo to są tragedie, jak facet wybuli za setkę te powiedzmy 45 kawałków. W swoim czasie z Rumunii ludzie dużo tej lewizny zwozili, teraz się trochę uspokoiło. A co byś powiedział, jak by cię w takiej trefnej sytuacji pytano, skąd masz lewy papier?*

— Jak to co? Że kupiłem...

— *No jak dziecko, zupełnie. Błąd! „Niewiedza nie wyklucza winy"* — po łacinie już nie pamiętam, *ale coś niecoś mi ze studiów zostało. Człowieku, nie wolno kupować! Mogłeś go sobie zrobić, wyskrobać, znaleźć, dostać w prezencie, ale nie kupić...*

W drzwiach znów pokazał się łącznik, czyli przemarznięty. Ale jakoś nie kwapił się z podejściem. Mój rozmówca podsunął mi paczkę „Cameli", a sam dystyngowanym krokiem ruszył w kierunku szatni. Po paru minutach wrócił, ale już zły czegoś. Nerwowo łyknął resztę z kieliszka, zapalił. Mełł w ustach przekleństwa: — *To p..., taką okazję przepuścić, d... wołowa.* — I raptem do mnie:

— *No, synek, będziemy kończyć ten miły wieczór, już mnie ta rozmowa nie rajcuje. Masz ostatnie dwa pytania, tu się ukaże zegar* — zagadał tekstem z Wielkiej Gry rodem.

— Wybieramy zestaw numer jeden — wpadłem mu w słowo podnosząc w górę „bańkę" z cierpkim płynem.

— *No czego jeszcze chcesz, marudo?* — jakby uśmiechnął się z politowaniem.

— Sztama z kasjerkami to dla was ważna sprawa — wypaliłem.

— *Aha, tu nic ze mnie nie wyciągniesz, ale dobre są dziewczyny. Te parę bonów czasem też potrzebują, choćby na kosmetyki, to się po znajomości opchnie im po kosztach własnych. Ale też nie mamy zwykle kłopotów na przykład z rozmienianiem na drobne, a rencistkom i „meserszmitom" ogrzać się w środku pozwalają. Czasem to je i bronić trzeba przed natarczywością klientów.*

— ???

— *Chyba z miesiąc temu frajer chciał dziewczynie wcisnąć lewe 20 dolców. Gdy mu zabrała, zaczął się awanturować, do oczu skakać. Akurat Rycho był w pobliżu, to podszedł i grzecznie pyta: — Przyp... ci, czy zaraz panią przeprosisz? Szkoda tylko, że dziewczyny często przenoszą się z miejsca na miejsce, nie ma czasu, żeby się bliżej zaprzyjaźnić.*

— Zdarzyło się gdzieś — słyszałem, że koń „zjadł swój warsztat pracy"...

— *A, to nawet w jakiejś gazecie taki ktoś głupi tytuł dał. Ale tak czasem bywa. Jak jest „łapanka", to jedna z drugą nerwowa ciocia", bez dłuższego stażu, to i papier połknie. U nas kiedyś gruba Stefa chyba trzysta baksów zdążyła w kibel puścić, a drugie tyle jak aspirynę zażyła. Śmiała się potem, że jej kwasy żołądkowe to każdego prezydenta przezrą.*

— A ta Stefa to czemu się handlem zajmuje?

— *Bo lubi. Ale zawsze, gdy trzeba, wygłasza ten sam tekst, typowy zresztą: w domu ciężko, córka za mąż, druga chora, na rencie, na lekarzy trzeba mieć, mąż na emeryturze, ona jedna ciężko pracuje.*

— Tu „oklep", tam „obciach", „lewe papiery", „łapanka" — na co ci to wszystko? Nie korciło cię, żeby to rzucić?

— *Jeszcze chwila, a zaczniesz mnie na posadę za biurkiem namawiać. Co ty wiesz! To jest jak narkotyk. Ryzyko, handel; potrzeba sprytu, inteligencji, wyobraźni. No i są pieniądze....*

— Dużo tych pieniędzy?

— *Ty, nie przeginaj pały! Głupie pytanie — głupia odpowiedź: sporo, a czasem trochę więcej.*

— No, ale są chyba jakieś typowe tygodnie czy miesiące, kiedy macie największy dopływ gotówki. Przed świętami choćby.

— *Jest nieźle, wtedy wszystko o wódeczkę walczy. Ale tak jak było pięknie na początku stanu wojennego, to długo będziemy wspominać....*

— Tyle ludziska sprzedawali?

— *A skąd! Takie ceny wrzucaliśmy — i wszystko szło. Panika na rynku była, wszyscy dolary chcieli kupować. Dobry koń zawsze ma w potrzebie trochę waluty i zawsze idiotę różnie, wyczuwa, czy facet orientuje się w cenach czy nie. W grudniu dolar skoczył spokojnie na 600 i więcej, a były momenty, że jak się gość pytał: — „Po ile twarde?", to chłopaki wrzucali tekst. — „Dziś po kawałku...". I szły!*

— To „po dychu" dziennie było?

— *I trochę lepiej też, ale to już historia. Dzisiaj dobrze płacimy, bo coraz mniej dolarów i bonów na rynku. Niektóre spółki robią niezłą forsę, a właściciele wykupują papiery, a poza tym...*

Staszek przerwał w połowie zdania i rączo wyprysnął w kierunku szatni. Rozdziewał się tam właśnie z potężnej kurty starszy, szpakowaty pan. Luz, dystyngowany chód, widoczna komitywa z personelem lokalu. Staszek tokował jak cietrzew, obskakując w lansadach gościa. Przycupnął na brzegu krzesełka, gdy tamten nie zaglądając nawet w kartę skinął na kelnera. Wpłynęły na stół trunki w pękatych koniakówkach. Po chwili mój rozmówca powrócił, jakby lekko zmieszany.

— *No, synek — na dzisiaj chwatit, czyli time is over. Ciesz się, żeś się tyle dowiedział. To i tak dla wielu za dużo* — wyraźnie mu się śpieszyło.

— I nie ma na was metody? — wyrwało mi się głupio.

Wyraźnie zdębiał. Przyjrzał mi się uważnie, spokojnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z pękatego „pitra" rzucił na stół jeden banknot, zgarnął papierosy i bez słowa odwrócił się na pięcie. Zawrócił jednak po dwóch krokach, chwycił pod łokieć i ironicznie rzucił:

— *A nie przyszło ci do głowy, że jesteśmy po prostu potrzebni? No, płyń w pokoju....*